



Monika
Sawicka

Znajdź
mnie
jeszcze
raz

Chciałam być
kochana tak, jak ty.
Ale jak już dostałam
tę miłość, miłość
tak piękną i wielką,
jak tylko można
sobie wyobrazić,
nie umiałam
jej przyjąć.
Nie wiedziałam,
co z nią zrobić.


Replika

Sawicka Monika

Znajdź mnie jeszcze raz



Drogi Czytelniku,

jeśli oczekujesz po tej książce relaksu, to rozważ, czy na pewno chcesz ją przeczytać.

Jeżeli natomiast jesteś ciekawy świata oraz ludzi, a także tego, co sprawia, że są tacy, jacy są - dobrzy, źli, zagubieni, radośni, szczęśliwi, przygnębieni, życzliwi lub wrogo nastawieni do innych bądź siebie samych, niepewni siebie, niezdolni do podejmowania wyzwań lub do miłości - możesz śmiało wrzucić książkę do koszyka. Podobno wszystkie odpowiedzi są w nas - trzeba tylko zadać odpowiednie pytanie, by odmienić swoje życie. Ale czasami bywa znacznie bardziej pod górkę i niezbędna jest pomoc. Ważne jest również to, czy mamy kogoś, kto będzie przy nas trwał bez względu na wszystko.

Dochodzenie do przyczyny, diagnozy, nieraz zajmuje całe lata. Oswojenie się z nią też wymaga czasu. Podjęcie terapii wymaga odwagi, determinacji i niezachwianej woli wyzdrowienia. To decyzja, która ma poprawić jakość naszego życia, wspomóc budowanie relacji z innymi, a co najważniejsze - z samym sobą.

Nie ma gwarancji, że się uda, że terapia zakończy się sukcesem, ale niepodjęcie próby oznacza złożenie broni, wywieszenie białej flagi.

A życie i świat są zbyt piękne i na zbyt krótko nam podarowane, byśmy mogli sobie na to pozwolić.

Bohaterka tej powieści sprawi, że spojrzysz na ludzi, których mijasz codziennie w drodze do pracy, całkiem inaczej.

Ale największą wartością dla mnie będzie, gdy spojrzysz inaczej na siebie - z większą tolerancją dla własnych słabości, z większą sympatią i zrozumieniem.

Temat, który poruszyłam w tej historii, być może będzie dla Ciebie szokujący i sprawi, że gdy dotrzesz z Moną do ostatniej strony, nie będziesz mógł ukryć zdziwienia, zaskoczenia, a na usta zaczną cisnąć Ci się pytania: Ale jak to jest możliwe? Dlaczego? Czy to prawda?

Tak. To prawda. Udokumentowana. Trafiłam na nią chyba nie przypadkiem, przyszła do mnie ta historia i wstrząsnęła do tego stopnia, że przez wiele miesięcy mój umysł był zaprzątnięty wyłącznie nią.

Niezwykle trudny temat, dla wielu nieznany, przedstawiłam w formie opowieści, ponieważ chciałabym, aby problem, który poruszyłam, stał się społeczeństwu bliższy lub bliski - świadomość jego istnienia jest dramatycznie niska.

A ludzie, których to dotknęło, cierpią, miotają się, nie mają pojęcia, co się z nimi dzieje. Ani oni, ani ich bliscy.

Wierzę, że po poznaniu historii Mony spojrzysz życzliwszym okiem na „dziwnych sąsiadów”, a być

*może nawet na kogoś dla Ciebie ważnego. Może na samego siebie?
Życzę Ci dobrej podróży po świecie mojej bohaterki.
Wyjdiesz z niego odmieniony.*

Dla Ciebie, Kochanie

spojrzał w okno bardzo mglisty poranek: „o, nie ma świata...”

Maria Duszka

Prolog I

Zdarzyłaś mi się, mamó. Dziecku może zdarzyć się ospa wietrzna, różyczka, świnka lub wspaniała mama.

Zawsze jesteś ze mną - cokolwiek robię, gdziekolwiek jestem. Przyznam, że czasami jest to trochę męczące i czuję się zakłopotana, zwłaszcza w sytuacjach intymnych. Przyznasz sama, że to dość krępujące, prawda? To może przy okazji tej rozmowy - proszę cię, mamó, chociaż wtedy mogłabyś zrobić sobie wolne. Tak, tak, ja to wszystko wiem i całymi latami się z tym oswajałam - z twoim oddechem na moim karku. Nawet teraz. Mamó, tak bardzo martwiłaś się o mnie, że zapomniałaś zatroszczyć się o siebie. Jedyne, co mnie trzyma przy zdrowych zmysłach, to myśl, że jesteś szczęśliwa. Nie mam czego się chwycić, to tej myśli, całkiem irracjonalnej, się złapałam.

Wyobrażam sobie, że siedzisz w wygodnym, dobrze wygniecionym fotelu, otulona czerwonym kocykiem (a może tam mają niebieskie?), z laptopem na kolanach, i piszesz kolejną książkę. Niewykluczone, że tam wszystko jest dużo mniej skomplikowane i wystarczy, że tylko pomyślisz w głowie historię,

a ona od razu się gdzieś zapisuje, może na niewidzialnych niebieskich (niebiańskich) serwerach. Popijasz herbatkę z miodem, po kryjomu zajadasz ptasie mleczko. U twoich nóg leży zwinięty w kłębek wierny Kajetan, Kajtek. Najmądrzejszy psiak rasy kundel europejski jakiego znałam. Odszedł niedługo po tym, gdy zniknęłaś. Wierzę, że jest z tobą. Kiedyś wierzyłam, że wrócicie razem. Jednak odkąd wiem, że nie, przestałam cię szukać TAM i... znalazłam TU. Korzystam z narzędzi, o których mi opowiadałaś, ale wtedy jakoś to do mnie nie przemawiało - szczerze mówiąc, to miałam cię za lekko szurniętą. Matka artystka, pisarka, żyje pomiędzy światami, nieistniejącymi ludźmi, z którymi rozmawia.

Teraz ja robię to samo. Rozmawiam z tobą. Z tą różnicą, że ty istniejesz, mammo. Zawsze będziesz.

Prolog II

To był piękny czas dla Marilyn Monroe. W październiku miały rozpocząć się zdjęcia do *Something's got to give*, a ona sama wynegocjowała wyższą gażę. Tę dobrą wiadomość przekazała aktorce 1 sierpnia Evelyn Moriarty, jej dublerka i przyjaciółka. Marilyn była w doskonałym nastroju, szalenie się cieszyła, że wraca do pracy. Miała jeszcze w perspektywie role w dwóch filmach, m.in. *Opowieść o Jean Harlow*, więc jej przyszłość rysowała się w jasnych barwach. Jednak głównym powodem szczęścia były przygotowania do ponownego ślubu z Joem DiMaggio, który miał odbyć się 8 sierpnia w Los Angeles.

Był środek nocy, zbliżała się godzina trzecia nad ranem 5 sierpnia 1962 roku, gdy gosposia Marilyn Monroe, Eunice Murray, dostrzegła światło pod drzwiami jej sypialni. Gdy zapukała, odpowiedziała jej tylko cisza. To ją zaniepokoiło, postanowiła wezwać psychiatrę, który w tamtym czasie opiekował się aktorką. Ralph Greenson przyjechał natychmiast. Gdy wszedł do sypialni Marilyn, ujrzał aktorkę leżącą na łóżku ze słuchawką telefoniczną w dłoni. Monroe

była naga i nie dawała znaków życia. Wezwał policję, która przyjechała dopiero po ponad pół godzinie. Była 4.30 rano. Detektywi znaleźli w sypialni piętnaście buteleczek leków na receptę i pustą butelkę szampana. Dziwi fakt, że nie zabezpieczono, gdyż wcale nie szukano, śladów linii papilarnych. Zastanawiające jest także, dlaczego gospoia robiła nad ranem pranie, a łóżko Marilyn, na którym wciąż leżała, wyglądało jak świeżo pościelone.

„O 5.30 rano ciało Marilyn Monroe zabrano do kostnicy w Westwood Village - nie wiadomo dlaczego, gdyż okoliczności śmierci wymagały sekcji zwłok, którą można było przeprowadzić tylko w biurze koronera w centrum miasta. O 10.30 zastępca koronera, doktor Thomas Noguchi, zakończył sekcję zwłok Marilyn. Nie było zewnętrznych objawów przemocy, we krwi wykryto 8 miligramów wodzianu chlorku oraz 4,5 miligrama nembutalu, w wątrobie było 13 miligramów nembutalu”¹. Przyczyny śmierci Marilyn do dziś są niejasne, niejasne były od samego początku. Ciało aktorki zostało obejrzone pod lupą milimetr po milimetrze i nie znaleziono na nim śladów po igle. Niesłychanie dziwi fakt braku analizy toksykologicznej żołądka i jelit aktorki - próbki rzekomo zaginęły. W swojej pierwszej opinii koroner

¹ [https://sites google. com/site/wielkamarilyn/ostatnie-dni-zycia-i-smierc-marilyn-monroe](https://sites.google.com/site/wielkamarilyn/ostatnie-dni-zycia-i-smierc-marilyn-monroe)

twierdził, że przyczyną śmierci było przedawkowanie barbituranów. „Duża dawka leku, wstrzyknięta domięśniowo lub dożylnie, musiałaby doprowadzić do natychmiastowej śmierci i o wiele wyższego poziomu leku we krwi. Pozostaje więc ostatni sposób przedostania się barbituranów do organizmu. Miner stwierdził: »Na dużej powierzchni okrężnicy widać było znaczne przekrwienie i sinawe zabarwienie«, objawy występujące przy wprowadzaniu barbituranu lub wodzianu chlorału przez odbyt. Doktor Abrams powiedział: »Nigdy nie widziałem czegoś podobnego podczas autopsji. Coś dziwnego działo się z okrężnicą tej kobiety (...). Jeśli człowiek chce się zabić barbituranami, to połyka prochy i popija je wodą, a nie przygotowuje sobie roztwór i robi lewatywę!«. (...) Tu należy podkreślić, że Marilyn przez długie lata robiła sobie lewatywy »ze względów higienicznych i po to, by schudnąć«, w dużej mierze było to kwestią chwilowej mody panującej wśród aktorek. Wciąż nie wiadomo, co wydarzyło się w sypialni Marilyn między 19.20 czy 19.25 a 19.40 lub 19.45, gdy mamrotała coś podczas rozmowy z Peterem Lawfordem. Wstrząsające jest to, że gdy rozmawiała z nim przez telefon, zdawała sobie sprawę, że nie odchodzi w sen, tylko umiera, i ani sama nie mogła wyjść z tego stanu, ani wezwać pomocy: »Pożegnaj...«. (...)

Przede wszystkim należy pamiętać, że Ralph Greenson przestał zapisywać Marilyn nembutal.

Jak powiedział: »Zmniejszyłem jej uzależnienie od nembutalu, przestawiając ją na wodzian chloralu jako środek nasenny«. Poprosił Hymana Engelberga, by nie zapisywał nembutalu bez jego pozwolenia: mieli informować się nawzajem o podawanych jej lekach. Lecz poprzedniego dnia Engelberg, bez wiedzy Greensona, dał Marilyn receptę na nembutal, po którym w sobotę, była »nieco oszołomiona«. Chociaż nie wiedział dokładnie, jaką ilość nembutalu zażyła, to zdawał sobie sprawę z nieskuteczności działania leku - jego pacjentka nie spała, była zła i rozdrażniona, dlatego też polecił jej wodzian chloralu.

Jak wykazała analiza toksykologiczna, wodzian chloralu został wprowadzony do organizmu później niż nembutal. Greenson przeoczył chyba jeden zasadniczy fakt - szkodliwość wzajemnego oddziaływania leków. Wodzian chloralu przeszkadza w wytwarzaniu enzymów, które umożliwiają metabolizm nembutalu. To przez wodzian chloralu Marilyn przekroczyła granicę snu. Pewna ilość nembutalu została przetworzona przez wątrobę, lecz większość (4,5 miligrama, więcej niż wynosi dawka śmiertelna) pozostała w organizmie. Milton Rudin wspominał, jak w nocy po śmierci Marilyn Greenson powiedział: »Niech to szlag! Hyman dał jej receptę, a ja nic o tym nie wiedziałem!«. John Miner mówił o podobnym, niedokończonym stwierdzeniu: »Gdybym tylko wiedział o tej recepcie...«.

Ralph czuł się zdenerwowany, oburzony i odrzucony, uświadomił sobie, że Marilyn uwolni się spod jego kontroli, wybrał więc prostszą drogę. Rudin powiedział o nim: »Miał dosyć, był wykończony, spędził z nią cały dzień«. I tak, przed wyjściem Green-son namówił swoją pacjentkę na wlewkę ze środków uspokajających, skoro jej organizm odrzucał leki przyjmowane doustnie. Po wodzieniu chloralu będzie mogła zasnąć. Skoro Engelberg nie mógł przyjechać, aby dać jej zastrzyk, Greenson stwierdził, że trzeba zrobić Marilyn lewatywę. Lecz aktorka nie wiedziała, że połączenie leku z nembutalem może być niebezpieczne. John Miner powiedział: »Pewnie uważała to za normalną lewatywę (...). Po kilku minutach zapadła w nieświadomość. Proces wchłaniania leku trwał, i choć Monroe jeszcze żyła, to już umierała«. Jediną osobą, która mogła zrobić aktorce lewatywę, była jej gosposia i to była rzeczywiście ostatnia czynność, jaką wykonała w charakterze pracownicy MM i strażniczki najętej przez Greensona.

30 lat po śmierci aktorki John Miner powiedział: »Zawsze mi się wydawało, że kluczem do wyjaśnienia zagadki jest pani Murray«. Greenson, przyzwyczajony do zlecania innym osobom podawania leków pacjentom, poprosił więc Eunice o wykonanie tego zabiegu. Bez względu na to, jak obsesyjnie był przywiązany do swojej sławnej pacjentki, jego własne ego nie pozwalało mu na tak intymny czyn. Wykazał

natomiast zawodową nieostrożność, a wręcz lekkomyślność, prosząc kobietę bez dyplomu pielęgniarki o podanie leku w sposób, który grozi śmiercią. Nie da się również niczym wytłumaczyć prania rzeczy i bielizny przez gospozię w środku nocy. Doktor Abrams powiedział: »Kiedy Marilyn zapadła w śmiertelną śpiączkę, płyn z lewatywy musiał zostać wydalony, stąd pranie prześcieradeł«, co, jak dodał Miner, »było szczególnie trudno zrozumieć, nie wiedząc, że pani Murray niszczy dowody rzeczowe«.

Ku przerażeniu ludzi wciągniętych w tę sprawę, stan, w jaki Marilyn zapadła, który w zamierzeniu miał być długim, głębokim snem, skończył się jej śmiercią. Panika powstała w związku z tą sytuacją tłumaczy pięciogodzinną zwłokę z wezwaniem policji po przybyciu około północy Greensona do domu Monroe. Później odszukano Engelberga. Około północy - według Eunice - wezwano pogotowie, ale zwolniono je po przyjeździe, ponieważ aktorka już nie żyła, a w Kalifornii nie przewozi się zwłok karetką.

Kiedy stało się jasne, że Marilyn nie da się przywrócić do życia, Greenson i Murray musieli pomyśleć o sfabrykowanych zeznaniach, trzeba było uprać prześcieradła, zbić okno, odsunąć grubą tkaninę, by uzasadnić zmyśloną historię Eunice, która pogrzebaczem rozsuwała zasłony. Szybko obydwój osiągnęli straszliwe, tajemnicze porozumienie. Greenson nigdy nie wyjawiał tego, co wiedział o Murray, bo to

oznaczałoby koniec jego kariery, z kolei Eunice nie mogła wskazać winnego, bo sama popełniła ten zbrodniczy czyn. John Miner powiedział: »Doktor Greenson odebrał jej śmierć bardzo osobiście, gdyż był niezwykle silnie z nią związany. Był zdruzgotany tym, co się stało«. Greenson sam powiedział, że próbował jej pomóc, lecz skończyło się na tym, że ją skrzywdził. Psychoterapeuta dał tym stwierdzeniem idealną ocenę swojego postępowania.

John Huston, reżyser m.in. *Misfits*, gdy dowiedział się o jej śmierci, powiedział ze złością: »Hollywood nie zabiło Marilyn. To ci pożałowania godni lekarze ją zabili. Jeśli była lekomanką, to tylko za ich sprawą«. Eunice Murray była natomiast popy-chadłem doktora Greensona - określenie stosowne w przypadku nie zrównoważonej psychicznie, uzależnionej od niego kobiety, która tak właśnie musiała się czuć, kiedy w 1987 roku, mając 85 lat, rozpaczała: »Och, dlaczego w moim wieku muszę trzymać to w tajemnicy?«.

W ciągu ostatnich miesięcy życia Marilyn Monroe przeistoczyła się w zupełnie inną, odważną, dojrzałą kobietę, jak dowodzą jej wszystkie czyny, wywiady, kontakty z ludźmi i występy. Wreszcie sama decydowała o własnym życiu. Nigdy nie potępiała tych, którzy ją zranili lub oszukali, teraz miała jeszcze życzliwszy stosunek do świata. Miała cudowne projekty na przyszłość: powrót do Joego, nowe role

filmowe, zerwanie z nieprzychylnymi jej osobami i złymi wspomnieniami z przeszłości. Marilyn Monroe zmarła z winy ludzi, którzy uważali, że ich powołaniem jest jej ocalenie - nie robili tego dla jej dobra, ale dla własnych korzyści. Pragnęli ją mieć na własność"².

Pogrzeb Marilyn był bardzo kameralny, wzięła w nim udział garstka najbliższych jej osób. Taka była decyzja Joego DiMaggio. Marilyn chciała, by na jej grobie wyryto napis: „Tu leży Marilyn Monroe, 95-57-90". To życzenie nie zostało spełnione. 8 sierpnia 1962 roku o godzinie 13.00 Norma Jeane Mortenson alias Marilyn Monroe zamieszkała na cmentarzu Westwood Memorial Park.

² [https:// sites .google.com/site/wielkamarilyn/ostatnie-dni-zycia-i-smierc-marilyn-monroe](https://sites.google.com/site/wielkamarilyn/ostatnie-dni-zycia-i-smierc-marilyn-monroe)

Prolog III

Ogień wesoło tańczył w kominku. W pokoju panował półmrok, tylko lampka nocna świeciła dość jasnym światłem, po to, by siedzący w bujanym fotelu starszy mężczyzna mógł czytać bajki swojej wnuczce.

Fotel lekko trzeszczał przy każdym ruchu, ale obecni w pokoju ludzie nie zwracali na to uwagi, tak bardzo pochłonięci byli sobą.

Dziewczynka miała sześć lat i była dla niego całym światem.

Dziadek trzymał małą na kolanach i snuł opowieść...

- Dawno, dawno temu, za siedmioma górami, za siedmioma lasami, za siedmioma morzami i za siedmioma rzekami, w dalekim kraju zwanym Ameryką przyszła na świat śliczna dziewczynka. Maleństwo miało bardzo jasne, gęste włosy i niezwykle jasną karnację. Dziewczynka nazywała się...

- Śnieżka! - rezolutnie przerwała wnuczka. Dziadek uśmiechnął się łagodnie i powiedział:

- Nie, kochanie, miała na imię Norma. Norma Jeane Mortenson. To nie będzie opowieść o królownie Śnieżce. To będzie opowieść o innej królowie,

bardzo, bardzo samotnej. O królowej kina, którą świat poznał jako Marilyn Monroe, moja kochana wnusiu. A jak ty się nazywasz? - spytał przekornie dziadek - Mona Moorea. Nazywam się Mona Moorea.

*Musi być ktoś, kogo nie znam, ale kto zawładnął Mną: moim życiem,
śmiercią; tą kartką.*

Rafał Wojaczek

Mona Moorea

Chcę usiąść, ale nie mogę. Za ciasno. Podnoszę głowę, ale z łoskotem uderzam o drewniane wieko. Ile centymetrów dzieli moją mokrą od potu grzywkę od powierzchni, w którą uderzyłam? Zdrętwiałymi palcami macam pomieszczenie, w którym się znalazłam. Nie mam najmniejszych wątpliwości, że leżę w trumnie.

Boli mnie całe ciało, dotykam palcami spierzchniętych ust - są pokryte jakąś skorupą. Po chwili orientuję się, że to zaschnięta krew. Dotykam delikatnie swojej twarzy, na czole wyczuwam duże guzy, łuk brwiowy jest rozcięty, krew zasklepiła mi lewą powiekę. Włosy są sklezione, ale to krew wymieszana z błotem. Powoli dotykam swoich piersi - bluzka jest rozerwana, piersi bolą przy najmniejszym dotyku. Chyba mam też połamane żebra. Dłoń zsuwam niżej, zatrzymuję na podbrzuszu - ból wykrzywia mi

twarz. Zaciskam mocno powieki, płaczę bezgłośnie, łzy mieszają się z krwią z rozciętych warg.

Histerycznie szarpię się z wiekiem, próbuję je otworzyć. Zaczynam kopać, ręce próbują unieść wieko. Nic, opór. Zaczynam krzyczeć. Nie! Spokój, zachowaj spokój, oszczędzaj powietrze.

Zawsze byłem kiepska z matematyki, ale próbuję sobie przypomnieć wzór na obliczanie objętości równoległościanu. Powierzchnia podstawy razy wysokość. Ale to chyba nie jest równoległościan, bardziej wielościan nieregularny. Nie obliczę. Założmy jednak, że szerokość to siedemdziesiąt centymetrów, a długość dwa metry. Czyli powierzchnia wynosi około półtora metra kwadratowego. Pomnożyć przez pięćdziesiąt centymetrów wysokości, to daje... zero przecinek siedem metra sześciennego. Siedemset decymetrów. Wewnątrz znajduje się siedemset litrów powietrza. Kiedyś przeczytałam, że dorosły człowiek w stanie spoczynku zużywa cztery litry powietrza na minutę. Sto siedemdziesiąt pięć minut. Tak długo będę żyła, zanim się uduszę.

O czymś zapomniałam przy obliczeniach! O sobie! Od objętości pudła muszę odjąć objętość własnego ciała. Jak to obliczyć? Nie mam pojęcia, może mam trzysta litrów powietrza mniej, niż zakładałam. Czyli niecałe dwie godziny. A przecież jeszcze nie wiem, ile czasu tu leżałam, zanim się ocknęłam.

Leżałam pólżywa, w dole, który dla mnie wykopał, a jednak oddychałam. Wiedziałam, że umrę.

Ciemność, strach, brak powietrza. To elementy najgorszych koszmarów. Strach przed pochowaniem żywcem, przed tym, że obudzimy się w trumnie, z której nie będziemy mogli się wydostać. Nasze krzyki, płacz i błagania pozostaną bez odpowiedzi. Nikt nas nie usłyszy.

Strach przed pochowaniem żywcem jest tak stary, jak ludzkość.

Tyle tylko, że to nie nocny koszmar, ale rzeczywistość. Umrę. Już za chwilę.

Czyja też pójde do Nieba? Za godzinę, dwie czy może o północy? Niebo musi istnieć, bo Ziemia nie pachnie jak dom. To Peter Kreft. Ja nie jestem taka mądra. Nie jestem też dobra. A całe moje życie myślałam, że jestem dobrym człowiekiem. Myliłam się. Nie po raz pierwszy zresztą. Okazało się, że żaden dobry ze mnie człowiek, tylko chory. Jeśli bardzo chcesz mnie jakoś w myślach nazywać, mów mi Smutna. Tak jak bohaterka jednej z moich książek. Bo taka właśnie jestem. Na drugie mam Samotna. Kto by pomyślał? Sukces, sława, pieniądze - z tym raczej się kojarzę, a nie z depresją i smutkiem. A ja cała jestem smutkiem. Znasz ten stan, prawda? Kiedy smutek wypełnia cię od koniuszków palców do czubka głowy, łzy napływają do oczu i występują z brzegów dolnych powiek, zalewając policzki, zostawiając niewidoczny

dla innych, ale tak naprawdę krwawy ślad, wdzierają się do ust i zaczynasz czuć ich metaliczny smak. Jak Matka Boska płaczesz krwią. Ja tak mam. Patrzę na swoje dłonie i widzę rany na ich wewnętrznej stronie. Otwarte rany ciemne od czerwieni. Jestem naznaczona. Stygmaty na moim ciele nie pozwalają zapomnieć. Zaciskam zęby, żeby szloch nie wyrwał się z gardła, żeby przypadkiem ktoś nie usłyszał. Duszę się w tym płaczu. Czasem, tak jak stoję, w piżamie lub koszuli, nie zamykając za sobą drzwi, wybiegam z domu i biegnę do lasu. Nie. Nie zatrzymujcie mnie. Nie pytajcie, czy coś się stało, bo będę musiała powiedzieć prawdę. Pozwólcie biec, pędzić przed siebie, przecież w końcu się zatrzymam. Gdy mi braknie tchu, stanę zdyszana na polanie, sama, tylko ja i sosny, i gdy serce wyrówna rytm, mój dławiony dotąd krzyk rozedrze ciszę, padnę na kolana i, zatapiając dłonie we włosach, ucichnę. Odpocznę. Może nawet zasnę zmęczona. A potem wstanę i nie otrzepując się z trawy, wrócę do domu. Wariatka z twarzą mokrą od łez, włosami zlepionymi od potu, bosa.

Masz tak czasami? Uciekasz? Choćby w myślach? Jesteś mną, a ja jestem tobą. I chciałam być kochana, tak jak ty. A jak już dostałam tę miłość, miłość tak piękną i wielką, jak tylko można sobie wyobrazić, nie umiałam jej przyjąć. Nie wiedziałam, co z nią zrobić. Opowiem ci o niej. Opowiem ci o tobie. Mam mało

czasu. Dzisiaj umrę, ale mam nadzieję. Ciągle mam nadzieję. Ze zdążę. Ze ty zdążysz....

Leżę półżywa w trumnie, w dole, który dla mnie wykopał, a jednak wciąż oddycham. Słyszałam, jak mnie zakopywał, ziemia z hukiem spadała na wieko. Niewyobrażalne uczucie. Uczucie Strachu, który zaciska ci swoje zimne, spocone dłonie na szyi jak stalową obręcz...

Nie znalazł telefonu - ta jedna myśl rozsadza mój mózg. Dopóki mam jeszcze trochę tlenu, muszę sobie to powtarzać, żeby nie zapomnieć. Nie zapomnieć, zanim jakimś sposobem zdołam go wyjąć...

Jeśli Mitch ma mnie odnaleźć, jeśli mam zaznać spokoju po śmierci, jeśli moja córka ma wiedzieć, gdzie leży matka, za wszelką cenę muszę wykorzystać tę odrobinę tlenu. Pamiętałam z lekcji biologii: człowiek wdycha tlen, a wydycha dwutlenek węgla. Ten w małych stężeniach nie jest trujący, w większych - szkodliwy dla zdrowia, a nawet zabójczy, a jego działanie powoduje powstawanie hiperkapnii, a co za tym idzie kwasicy oddechowej i w następstwie obrzęku mózgu. A zatem tak umrę.

Telefon. Co pamiętam z trasy, którą mnie wiozł? Myślał, że jestem nieprzytomna. Co widziałam, co słyszałam? Każdy szczegół jest ważny.

Udało mi się wyjąć telefon. Nie, nie zadzwonię, ale mogę napisać. Ostatnią rzeczą, jaką zrobię przed śmiercią, będzie to, co robiłam przez całe moje życie.

Coraz ciężiej się oddycha. To chyba koniec. Bardzo pragnę przypomnieć sobie jego słowa, choć jest to trudne, mózg bez tlenu umiera...

Mitch, mój Mitch, tak pięknie do mnie mówił...

Zawsze chciałem, żebyś mi się zdarzyła. Nie miałaś jeszcze imienia, nie miałaś tych wielkich oczu, ale wiedziałem, że ciebie chcę. Nie miałaś twarzy, wieku, ale wiedziałem, jakich cech będę w tobie szukał.

Myślałem, że kobiety takie jak z moich marzeń nie istnieją, i kiedy po bardzo wielu latach przestałem szukać - zjawiałaś się ty.

Z oczami wielkimi jak dwa jeziora, śliczną buzią, mądrością, inteligencją, całą paletą kolorów i emocji. Wielorakość - tego chciałem. To takie męskie - chcieć wielu kobiet w jednej. Taka jesteś. I jeszcze ten seks -bez kurtyn, bez barier i fałszu. Zdarzyłaś mi się, jesteś moja, codziennie cię dotykam, pachniesz mi cała i pachniesz mi wszędzie, to już trzy lata, a ja pragnę cię coraz mocniej. Jesteś moją ukochaną dziewczyną, a gdybym wierzył w Boga, powiedziałbym: Dzięki ci, Boże, za taką nią. Jest w tobie większość sennych marzeń, zatem śnić o czymkolwiek już nie warto. Jesteś z moich snów. Snów pamiętać nie warto, przypominasz je wszystkie. Jesteś klejnotem w moim życiu.

I tylko przyjdź. Dotknij mnie czule i przytul tak, abym zapomniała o wszystkim. Pocałuj tak, abym na przekór samej sobie poczuła się szczęśliwa. A wtedy pójdę za tobą na koniec świata. W. Szekspir, *Makbet* (tłum. P. Kamiński)

Mona Moorea

Drżącymi palcami włączyłam telefon. Usłyszałam dźwięk sygnalizujący aktywność i wewnątrz trumny rozbłysło światłem samsunga. Jeszcze chwila i zaloguje się do sieci. A jeśli nie będzie zasięgu? Telefon znalazł sygnał i wyraził gotowość do pracy. A po sekundzie pojawił się stan baterii - pięć procent. Zaraz się wyłączy.

Jeden krótki esemes napisany do dwojga odbiorców. Słony smak na wargach.

Wysłano. Uśmiecham się. To mój ostatni uśmiech w życiu.

Zdażyłam. Znajdzie mnie. Nawet gdybym nie zdołała wysłać wiadomości, znalazłby mnie,

ustalając lokalizację - ostatnie logowanie do sieci. „Szczęśliwego zakończenia nie będzie. A może szczęśliwe zakończenie to pewność, że mimo wszystkich nieodebranych telefonów, złamanych serc, błędnie interpretowanych znaków, cierpienia i wstydu - nie straciło się nadziei...”³ Dla mnie już jej nie ma.

Umieram jak ona, moja Marilyn, sama, z telefonem w ręku...

To nic. To tylko przystanek przed dalszą podróżą.

Dzisiaj jest ostatni dzień mojego życia. Nie pytaj, skąd to wiem. Nigdy nie zdarzyło ci się wiedzieć, przeczuwać i nie umieć tego wytłumaczyć? Wiem i już. Nie skupiaj się na tym, bo umknie ci to, co najważniejsze. Teraz i zawsze. A skoro już przy tym jestem, to muszę ci powiedzieć, że to najczęściej popełniany przez człowieka błąd. Skupianie się na tym, co nieistotne, a pomijanie rzeczy naprawdę ważnych. Spytasz - skąd ludzie mają wiedzieć, co jest ważne, a co nie? Jak to skąd? Są przecież ludźmi. A człowiek to istota doskonała. Może wszystko. Kocham cię. Ileż to razy chciałaś to usłyszeć? A ile razy usłyszałaś? Zamknij na chwilę oczy, na dziesięć sekund,

³ *Kobiety pragną bardziej I* reż. K. Kwapis; scen. A. Kohn, M. Silverstein.

i przypomnij sobie najpiękniejsze chwile w twoim życiu. Jeśli dziesięć sekund to za mało, to znaczy, że niczego pięknego nie przeżyłaś. Ale nie martw się. Jak dotąd nie przeżyłaś, ale wszystko jeszcze przed tobą. Tak naprawdę nieważne, jak mam na imię i kim jestem. Jestem trochę sobą i trochę tobą. Jestem dobra i zła. Piękna i szpetna. Mądra i głupia. Zmieniam się zależnie od okoliczności, ale zawsze jestem sobą, jestem prawdziwa. Niczego nie udaję, bo nikt mnie tego nie nauczył. Szczerłość nie raz prowadziła mnie ku zgubie. Nie raz kroiła duszę i serce na kawałki. Ale nigdy z niej nie zrezygnowałam, nawet wtedy, gdy nie było już czego kroić. A moje serce i dusza były jak wątroba Prometeusza. Jestem męczennicą. Tak jak ty, nie zaprzeczaj. I to nasz wybór, bo gdybyśmy chciały, zostałybyśmy grzesznicami, ale nam się marzy aureola. Święta nie jestem, ale nawet święci, zanim ich beatyfikowano, mieli grzeszki na sumieniu. Kim jestem? Człowiekiem czy aniołem? Zresztą, czasami między jednym a drugim nie ma różnicy. Czasami... Prawie nigdy. Ale jednak, mimo wszystko, się zdarza.

„Oto Ja posyłam anioła przed tobą, aby cię strzegł w czasie twojej drogi i doprowadził cię do miejsca, które ci wyznaczyłem. Szanuj go i bądź uważny na jego słowa. Nie sprzeciwiaj się mu

w niczym, gdyż nie przebaczy waszych przewinień, bo Imię Moje jest w nim"⁴.

⁴ *Biblia Tysiąclecia - Pismo święte Starego i Nowego Testamentu, Stary Testament, Wj 23,20-21; Pallottinum, Poznań 2000.*

Wiesz, temu jednemu mężczyźnie chciałabym dać, tak zwyczajnie, tak najzwyczajniej w świecie -jak podarek imieninowy czy urodzinowy - całe moje życie. Bez reszty.

Edward Stachura, *Pokocham ją siłą woli*

Mona Moorea

Życie to test wyboru. Czasem wybieramy dobrze, a czasem źle. Jednak nie sam wybór jest najważniejszy, lecz jego konsekwencje, których często nie jesteśmy w stanie przewidzieć. Gdyby udało się cofnąć czas i podjąć decyzję jeszcze raz - czy nie byłoby wspaniale?

Nazywam się Mona Moorea. Tak jak wyspa wulkaniczna w archipelagu Wysp Towarzystwa, wchodząca w skład Polinezji Francuskiej, położona siedemnaście kilometrów na północny zachód od Tahiti. Ma kształt serca.

Jestem pisarką. Siedzę na łóżku, ubrana tylko w moje ulubione perfumy, i zajadam stres. Najbardziej lubię mleczną czekoladę. Ale uzależniona jestem od nutelli.

Na wprost łóżka wisi ogromne lustro. Patrzę. Widzę siebie - ją.

Jestem dorosłą kobietą z przeszłością, małą zagubioną dziewczynką w zwiewnym przezroczystym peniuarze, włosy zaplotłam w dwa warkoczyki i związałam kokardkami. Jestem małą dużą dziewczynką. Na moim nocnym stoliku leży mnóstwo kolorowych tabletek - wymieszały się z emenemsami i skittlesami. Połykam je na zmianę. Tabletki połykam, cukierki ciumkam lub gryzę. Ciumkam, gdy mi się nudzi i nie wiem, co ze sobą zrobić, ze swoim ciałem i językiem. Już jest ze mną na tyle dobrze, że nie krzywdzę siebie - nie trzeba wiązać mi rąk, nie próbuję też przegryźć sobie języka. Jestem prawie zdrowa. Prawie robi różnicę, dlatego w pokoju są kamery, a za ścianą w sąsiednim pokoju siedzi moja kapo-pielęgniara. Tak. Pielęgniara, a nie pielęgniarka.

Ta mogłaby wystartować w MMA z Pudzianowskim i zmiotłaby go w pierwszej rundzie.

Gdy jestem zniecierpliwiona, pobudzona - wtedy emenemsy gryzę. Metodycznie i z wielkim zaangażowaniem. Kto by pomyślał, że można poświęcić tej czynności więcej niż jedną myśl i jedno zdanie. Ja byłam w tym mistrzynią. Potrafiłam, rozgryzając jednego cukierka po drugim - najlepsze były te orzechy w polewie - wyobrażać sobie, że rozgryzam jaja każdego fiuta, który mnie skrzywdził... Każdy cukierek to jeden palant, który mnie przeleciał, zwiódł, uwiódł i zostawił z rzuconą jak ochłap z pańskiego stołu obietnicą załatwienia czegoś tam. Kiedyś. Jak to

dobrze, że firma Mars Incorporated wyprodukowała ich tak dużo. Emenemsów rzecz jasna. Tak dużo, ilu podłych gnoi kręci się po tym świecie. A ja wiem, że jestem spełnieniem marzeń każdego faceta. Ale nie wiem, kim jestem. To znaczy: kim jestem naprawdę. Choć gdy patrzę w lustro, to widzę kogoś całkiem innego niż ci, którzy patrzą na mnie. Patrzę w lustro i staram się dostrzec to piękno, o którym mówią.

Patrzę w lustro i widzę oczy - zajmują większą część twarzy. To oczy wystraszonego szczeniaka. Widzę nastolatkę - była antymiss w wyborach, które zorganizowali chłopcy w ósmej klasie.

Widzę niepewną siebie kobietę, która umiera ze strachu, że ktoś się zorientuje, że ta nieprzystępność, niezachwiana pewność siebie i oziębłość to tylko pozór. Ochrona przed tymi, którzy, dowiedziawszy się, jak jest ultraczula i wrażliwa, z pewnością by ją zniszczyli.

Wątpię, czy dożyję dnia, gdy zobaczę w lustrzanym odbiciu tę samą osobę, którą widzą inni.

Jestem numerologiczną siódemką z dwójki i piątki.

To prawdziwy koszmar.

Jestem pisarką. Ale chyba już to mówiłam. To jest akurat fantastyczne. Piszę powieści obyczajowe i dzięki temu moje życie jest niesamowicie ciekawe, pełne historii prawdziwych i wymyślonych, ludzi realnych i papierowych. Jednym i drugim towarzyszą emocje, a te są zawsze. Wywołują trzęsienie myśli, wdzierają się w układ krwionośny i powodują erupcję serca.

Cisza krzyczy, pył wulkaniczny opada. I nie ma już nic.

Umaluję oczy. Czarna kreska na górnej powiece. Coś lub ktoś prowadzi moją rękę, tuszuje rzęsy, na powiekach kładzie beżowy cień.

Usta wyraźnie zaznaczone czerwoną pomadką.

Jestem, a jakby mnie nie było. Mówię, a jakbym nie mówiła. Marzę o herbacie. Samo myślenie o tym, że już za trzy minuty usiądę w fotelu, podwinę nogi, przykryję się pledem i obejmę dłońmi kubek z gorącym napojem, napawa mnie rozkoszą.

Rozkosz wzrośnie, gdy pomyślę jeszcze o tym, że włączę muzykę. Zgaszę światło, zapalę świece. I będę tak sobie siedziała cichutko, sama w tej ciszy.

Uwielbiam to. Ten stan. Oszczędnie piję tę herbatę, uważając przy tym, by nie uронić ani kropelki. Dzisiaj jest miętowa z czekoladą. Bo skończyła się o smaku grzanego wina.

O Boże, jak ja uwielbiam ten stan.

Żeby jeszcze można było przy tym o niczym nie myśleć.

Albo... albo chociaż o niczym nieprzyjemnym.

Nigdy wcześniej nie pomyślałabym, że takie siedzenie w ciemnościach, przyglądanie się płomieniom świec w rytm płynącej muzyki i popijanie herbatki może dostarczyć mi takich doznań. Orgazm to nic w porównaniu z tym. Nic nie odda tego nastroju.

Ja - sama ze sobą.

Żeby jeszcze miała sobie do powiedzenia coś miłego. Albo... albo chociaż cokolwiek.

Coś upadło. Ostry, metaliczny dźwięk zakłócił tę moją prywatną ciszę. Tę psychiczną „izolatkę”, do której uciekam wtedy, gdy moje skołatane, oszalałe, zdezorientowane myśli nie są już w stanie usiedzieć na miejscu, w głowie, i za wszelką cenę chcą się wydostać.

Żeby jeszcze chciały się wydostać naprawdę. Albo... albo chociaż chciały zostać.

Wiem, co upadło na podłogę. Wiem, co rozdarło moją ciszę. Nawet nie muszę się schylać, żeby mieć tę pewność.

Uwielbiam siadać z podwiniętymi nogami w fotelu. Zapadać się w nim. Jeden łokieć na oparciu, drugi na kolanie. Ten z oparcia ułożył się jakoś inaczej. Nienaturalnie.

Dłoń puściła już kubek z herbatą. Ale to nie było gwałtowne rozstanie. Bez żadnej szamotaniny, bez łez jak w kłótni kochanków.

Pełen spokój... Kontrola.

Nadgarstek lekko opada za brzeg oparcia.

Jest ciemno. Ciemno w pokoju i w duszy. I ta dusza się wierci. Chce się uwolnić. Bo nie lubi ciemności. Dusza nie lubi mroku.

Patrzę na płomień świecy, a w jego blasku widzę cztery poprzeczne kreski na nadgarstku. Widzę, jak nabiegają krwią. I nic. Oprócz czerwonej kreski nic się nie dzieje.

Podnoszę to, co upadło.
Robię kolejne cztery nacięcia. Nawet nie boli.
Żeby bolało. Albo... albo żeby chociaż już przestało boleć coś innego.
Te nacięcia w moim sercu.
Uwielbiam tę ciszę. Chcę być sama. Już tak do końca chcę być sama.
Siedzieć w ciemności, słuchać muzyki i sączyć herbatę.
Sama ze sobą. Ja i ja. Ona i ona... Ja i ona.
Nic mi ostatnio nie wychodzi. Nawet noże były zbyt tępe.
Coraz mniej rozumiem z tego, co dzieje się wokół mnie. Chociaż się staram. Za słabo? Zrobię znowu osiem nacięć i tym razem się uda.
Łatwo jest się unicestwić. To proste, choć trudne.
Ale co z tymi, którzy zostają?
Można brać odpowiedzialność za swoje życie, ale czy można żonglować życiem najbliższych?
Pora wstać z fotela. Włączyć światło. Zamiast Ordonówny słuchać hip-hopu.
Tylko dlaczego tak ciężko mi się podnieść?
Płyta się skończyła. Świece zgasły. Herbaty już nie ma. I cisza jakby inaczej brzmi.
Flesz. Budzę się i nie wiem, co stało się przed chwilą.
Tylko rząd nacięć na nadgarstkach świadczy o tym, że przed chwilą stało się coś, czego nie pamiętam. Kto mi to zrobił?

Godzinę później...

Ocknęłam się w hotelowym pokoju, przerażona rozglądałam się po obcym miejscu, poszukując odpowiedzi na pytanie, gdzie jestem. Menu hotelowej restauracji leżące na biurku rzuciło trochę światła na moją sytuację. Podbiegłam do okna, ale było już ciemno i niewiele zobaczyłam. Nie mam pojęcia, skąd wzięłam się w Krakowie. Mam płytkie nacięcia na nadgarstkach. Kto mi to zrobił? Skąd się tutaj wzięłam?

Telefon, gdzie jest mój telefon? W panice biegam po pokoju, który chyba muszę jednak dobrze znać, bo poruszam się bardzo sprawnie. Wiem, gdzie jest łazienka, szafa, gdzie leżą moje rzeczy.

Jest, nareszcie. Przebiegam obok szafy w przedpokoju, szafy z lustrem, i hamuję w miejscu na widok kobiety w odbiciu.

- Kim jesteś? -pytam, patrząc na łaciną blondynkę.

- No wiesz, jak możesz zadawać mi takie pytania? Jestem Marilyn, nie poznasz mnie? Nie poznasz siebie? Przyjrzyj się uważnie - platynowe włosy, lekko falujące, koralowa pomadka na lekko wydętych wargach, jasny cień na powiece i czarna kreska. Pieprzyk na prawym policzku. Natura dała mi go w kolorze cielistym, ale bardziej sexy jest czarny, więc maluję go kredką - odzywa się głos w mojej głowie.

Telefon. Dzwoni. Szukałam go, a teraz ktoś szuka mnie.

- Halo, kochanie, nareszcie odebrałaś! Gdzie jesteś? Tak bardzo się martwimy o ciebie. Wszyscy cię szukamy.

Jeżu, jacy wszyscy - myślę gorączkowo, próbując przypomnieć sobie, do kogo należy głos w słuchawce. Bezskutecznie.

- Bardzo przepraszam, kto mówi? - Czuję się zagubiona.

Zapada cisza. Rozłączył się? Nie, słyszę ciężki oddech, głębokie westchnienie.

- To ja, Mitch. Kochanie, co się z tobą dzieje? Lustro, w które patrzyłam przed chwilą, pokrywa

się siecią pęknięć, wędrują po nim od góry do dołu cienkie linie, każda w swoją stronę. Nie widzę już tam siebie, nie umiem dostrzec nikogo. W moje ciało, skórę wbija się w sto, dwieście, może trzysta cienkich ostrzy sztyletów.

- Kochanie, to ja, Mitch. Nie ma cię w domu od trzech dni! - Podnosi głos.

Mitch! Mój Mitch! Intensywnie szukam w pamięci. Oddycham płytko i szybko, zaczyna kręcić mi się w głowie. Boże, tylko nie teraz, nie gdy jestem tak blisko. Serce nieco zwalnia, już sobie przypominam. Ponownie patrzę w lustro, które na powrót jest czystą, jednolitą taflą, w której odbija się atrakcyjna, pewna siebie blondynka.

On wciąż krzyczy w słuchawkę. Nie rozróżniam słów. Mówię całkiem spokojnie:

- Przyjedź po mnie, proszę. Jestem w hotelu... -znowu spoglądam na leżącą na biurku firmową papeterię - ...Fortuna, w Krakowie. I naprawdę nie wiem, jak się tu znalazłam.

Jestem samolubna, niecierpliwa i trochę niepewna siebie. Popelnam błędy, tracę kontrolę i jestem czasami ciężka do zniesienia. Ale jeśli nie potrafisz znieść mnie, kiedy jestem najgorsza, to cholernie pewne, że nie zasługujesz na mnie, kiedy jestem najlepsza.

Marilyn Monroe

Marilyn Monroe

Często miewałam wrażenie, graniczące z pewnością, że nikt mnie nie rozumiał. Może Joe ~ mimo rozvodu, pozostaliśmy przyjaciółmi. Gdy na konferencji prasowej ogłosiłam, że się rozstajemy, płakałam szczerze nad tą miłością, która nie umarła, choć przegrała z zazdrością. Joe pozostał mi wiernym przyjacielem także po mojej śmierci. Śmierci, która była nieszczęśliwym zbiegiem okoliczności. Nie samobójstwem, lecz wypadkiem podczas zażywania leków. Piekielna, śmiertelna kombinacja pozbawiła mnie szansy na nową rolę w filmie i na kolejny ślub. Tak, planowaliśmy z Joem pobrać się po raz drugi. Byłam taka szczęśliwa! Wżyciu brakowało mi miłości, dzieci, stabilizacji i poczucia bezpieczeństwa. Mieszkałam w czterdziestu trzech domach, ale żaden nie był

mój. Poza tym - Brentwood w Los Angeles przy 12305 Fifth Helena Drive. Kupując go, płakałam ze szczęścia, nie wiedziałam tylko, że spędzę w nim zaledwie sześć miesięcy, by umrzeć we własnej sypialni. Urządzanie domu dawało mi wielką radość - radość i ekscytację małej dziewczynki, która dostała domek dla lalek, pierwszy w życiu. Lubiłam prostotę i minimalizm, dlatego też w moim domu mebli i dodatków było naprawdę niewiele. Można nawet pokusić się o porównanie mojej sypialni do szpitalnej sali. Zamiast w szafach czy na regałach, wolałam stawiać płyty i książki na podłodze. Mój psychiatra stwierdził, że powinnam zapuścić korzenie, a na to pozwoli mi kupno domu. Dom urzekł mnie od pierwszego wejrzenia - ogród i spokojna okolica. Poruszyła mnie także łacińska sentencja widniejąca na płytkach ceramicznych, które były wyłożone przed głównym wejściem: Cursum pérfido, co oznacza: „Moja podróż się skończyła”. Okazało się to być przepowiednią. Jestem domatorką, tak naprawdę nie lubię tłumów, sztucznych uśmiechów i nieszczerých gestów. Musiałam jednak „bywać” na bankietach - tego oczekiwała ode mnie wytwórnia, taką mnie chcieli widzieć moi fani. Kiedy magazyn „Life” zwrócił się do mnie z propozycją wywiadu, bez namysłu zaprosiłam ich do domu. Widziałam zaskoczenie na twarzy dziennikarza, gdy zobaczył mój dom. Nie krył zdziwienia. Sama nie wiem, czego się spodziewał. Ja miałam swoje tajemnice, ten dom także. Tak mi się wówczas wydawało. Gdy kilka lat po mojej śmierci,

w 1972 roku, aktorka Veronica Hamel kupiła mój dom, twierdziła, że podczas prac remontowych odkryto tam aparaturę, cały system podsłuchowy.

Robert Kennedy lubił mnie tu odwiedzać, nieoficjalnie rzecz jasna. Codziennie przychodził do mnie mój psychiatra Robert Greenson, to on wypisywał mi recepty na leki, bez których nie mogłam się już obyć. Był moim dilerem, dilał mi barbiturany. W sobotę 4 sierpnia 1962 roku, około 9 rano, ubrana w biały peniuar weszłam do kuchni, naląłam sobie sok z grejpfruta. Bardzo źle spałam ubiegłej nocy. Biorę tabletki, by zasnąć, i biorę tabletki, by się obudzić. Piję też zbyt dużo wina i jeszcze więcej szampana. Od lewatyw pupa boli mnie tak bardzo, że nie mogę siedzieć. Dziś jednak to się skończy. Cursum perficio - moja podróż się skończyła. Od 5 sierpnia 1962 roku moim domem stanie się Westwood Memorial Park w Los Angeles. Za kilka godzin umrę naga w swoim łóżku, z telefonem w ręku.

Na zawsze pozostałam małą, zamkniętą w sobie dziewczynką, szum oklasków ani blask kosztownej biżuterii nie zagłuszył moich koszmarów i tęsknot. Nie wyleczyły mnie też czułe słówka zachwyconych mężczyzn, alkohol ani leki. Po mojej śmierci zdiagnozują u mnie między innymi zaburzenie osobowości typu borderline - określając mnie jako emocjonalnie labilną, wymagającą nieustannej uwagi, impulsywną, ze skłonnością do teatralnych, przerysowanych zachowań.

Kogo widzisz, patrząc na moje fotografie? Piękną, roześmianą, szczęśliwą, spełnioną kobietę, za którą szalały miliony mężczyzn, i której miliony kobiet zazdrościły życia we fleszach aparatów fotograficznych i świetle reflektorów? Istotnie, może to tak wyglądać. Zdaniem wielu, Pan Bognie mógł podarować mi urody, talentu, mądrości i inteligencji, dlatego też tych dwóch ostatnich mi odmawiano - zwłaszcza mężczyźni woleli widzieć we mnie głupiutką blondynkę. Trudno było im pogodzić się z faktem, że moje IQ wynosiło 168. Byłam mądra i czytana, moja biblioteczka liczyła czterysta książek. Pomimo sukcesów, pozostałam neurotyczną, introwertyczną dziewczynką. Być może dlatego, że zbyt mocno czułam, że dla matki byłam pomyłką - nie chciała ani mnie, ani mojego starszego rodzeństwa. Gdy po śmierci dziadka mama wpadła w depresję i trafiła do szpitala psychiatrycznego, ja znalazłam się w kolejnej rodzinie zastępczej. Depresja nigdy nie opuściła mamy, a ja panicznie bałam się, że choroby psychiczne odziedziczę po niej lub po innych członkach naszej rodziny. Byłam skazana na jej zmiany emocji, czułam się, jakbym przez całe życie siedziała na huśtawce lub na wahadle zegara. Od euforii do depresji. Nigdy nie dowiedziałam się, kto jest moim ojcem, i nigdy też nie przestałam „szukać” ojca w swoich życiowych partnerach.

Na moim ulubionym zdjęciu leżę na łóżku otulona jasną tkaniną. Zwoje materiału nie zasłaniają ramion i na lewej łopacie widać pieprzyk. Ja, Marilyn, do piersi

przyciskam goździk. Uśmiecham się lekko - nie na tyle wyraźnie, by napisać, że jestem zadowolona, można się tego jednak domyślać. Zdjęcie zrobił Cecil Beaton 22 lutego 1956 roku w pokoju hotelu Ambassador w Nowym Jorku. Dlaczego ten portret podobał mi się najbardziej spośród setek innych? Może dlatego, że dowodził moich zdolności aktorskich - w rzeczywistości łóżko kojarzyło mi się jak najgorzej. Od lat cierpiałam na bezsenność⁵.

⁵ Fragment inspirowany tekstem ze strony [http://film.onet.pl/artykuly-i-wywiady/chce-tylko-zeby-mnie-kochano-czyli-młodosc-marilyn-monroe/](http://film.onet.pl/artykuly-i-wywiady/chce-tylko-zeby-mnie-kochano-czyli-mlodosc-marilyn-monroe/) z5eqh.

Och jak ja bym chciała być martwa - wcale nie istnieć - odejść daleko stąd - daleko od każdego miejsca ale jak ja bym to zrobiła Zawsze są mosty - Brooklyński most -

Jednak lubię ten most (stamtąd wszystko jest ładne a powietrze takie czyste) kiedy się po nim idzie wydaje się spokojny pomimo samochodów które pędzą jak szalone pod spodem. Więc to musiałby być jakiś inny most brzydki i bez widoku - tylko że lubię szczególnie wszystkie mosty -jest w nich coś a poza tym nigdy nie widziałam brzydkiego mostu⁶

Mona Moorea

Przyjechałam najszybciej jak mogłam, natychmiast gdy się dowiedziałam. Całą drogę w autobusie

⁶ Marilyn Monroe, *Fragmenty. Wiersze, zapiski intymne, listy*, tłum. A. Kozak, Wydawnictwo Literackie, Kraków 2011.

płakałam, jednocześnie mając nadzieję, że to pomyłka, że kiedy stanę w drzwiach, weźmiesz mnie w ramiona i szepniesz do ucha: „Tęskniłem. Jak dobrze, że jesteś”. Więc już jestem, Kochany. Stoję w progu i wołam, ale ty nie przychodzisz, nie witasz się, nie biegniesz do restauracji po zamówiony wcześniej obiad. Zastanawiam się, kiedy to się stało. Co przegapiłam, co zrobiłam źle, a co zbyt dobrze. Ale wiem, że się nie mylę. Byłam tak pewna tego, że mnie Kochasz, że straciłam czujność. Słuchałam, co mówisz, ale nie widziałam twoich oczu z bliska. Nie mogę się już w nich przejrzeć. Nie patrzysz na mnie tak, jak kiedyś. W ogóle na mnie nie patrzysz. Nie jesteś spragniony dotyku, nie przytulasz jak kiedyś. Leżeliśmy obok siebie, czekałam, aż otoczysz mnie ramieniem, wtulisz twarz w moje włosy, powiesz, że Kochasz, że nigdy wcześniej nikogo... Teraz siedzę naprzeciwko ciębie, ledwie opanowując drżenie serca, cała przerażona, bo wiem, że stało się coś nieodwracalnego. Siedzę tak i patrzę na ciębie z napięciem i nadzieją, czekając, aż położysz głowę na moich kolanach, chwycisz moją dłoń, bym głaskała twoje włosy. Siedzę i patrzę na twoją twarz bez wyrazu, z trudem powstrzymuję łzy, bo przecież nie lubisz, gdy płacę. Nieśmiało dotykam twojej dłoni, tak głodna twego ciepła. Ale czuję tylko chłód. Jestem tu już trzecią godzinę, a ty nawet mnie nie zauważyłeś. A przecież dawno mnie nie widziałeś. Podchodzę

niecو bliżej, choć bardzo się boję. Pytam, czy coś się stało. Czy może przestałeś mnie kochać, skoro mnie zostawiłeś. Wydaje mi się, że zaprzeczyłeś ruchem głowy, ale nie wiem, czy to złudzenie, czy naprawdę to zrobiłeś. No tak, powiedzcie kobiecie wprost, że się jej nie kocha - to zbyt okrutne, lepiej ją karmić nadzieją i oszukiwać. To jest bardziej humanitarne. Czy pozwalanie, by ktoś konał w męczarniach, jest także bardziej ludzkie niż strzelenie mu w tył głowy? Ale kobiety i tak to czują. Te wasze słabe kłamstewka. Widzą, jak uciekacie ze wzrokiem, jak się po prostu oddalacie, by w końcu odejść na zawsze. Czasem bez uprzedzenia, bez słowa, tak jak ty teraz. Wiem, że cię straciłam, nie wiem tylko dlaczego. Mówię więc powoli, modląc się, byś zaprzeczył:

- Mam rację, prawda? Proszę, byś mnie nie zwodził, nie okłamywał tylko dlatego, że nie masz odwagi przyznać, że już mnie nie kochasz. Zrozumiem. Przecież wiesz, że ja wszystko potrafię zrozumieć, usprawiedliwić, wytłumaczyć. Teraz wstanę i spakuję swoje rzeczy. Zajmie mi to jakieś trzydzieści minut i to jest czas dla ciebie. Jeśli nadal mnie kochasz, wstań wreszcie, no rusz się, do cholery, powiedz choć słowo albo chociaż westchnij. Zatrzymaj mnie. Nie musisz wiele mówić, po prostu wypowiedz moje imię. Mam na imię Mona i miałam być twoja do końca życia. Miałeś mnie kochać i nigdy nie opuścić, więc, do jasnej cholery, dotrzymaj słowa! Kiedy

skończę się pakować, pójdę w stronę drzwi i położę rękę na klamce. Odwróć się jeszcze, chcąc po raz ostatni spojrzeć na miejsce, w którym byłam tak bardzo szczęśliwa. Będę się żegnać z kanapą, dywanem, z nocną lampką. Dużo za długo, ale to czas dla ciebie. Jeśli chcesz mnie zatrzymać, po prostu wypowiedz moje imię. Mam na imię Mona i jestem twoja. Nie chcę miłosnych wyznań, deklaracji, zapewnień. Bo jeśli mnie zawołasz, będę wiedziała, że mnie kochasz, tylko dziś masz gorszy dzień. No zawołaj, proszę. Stoję już z ręką na klamce i naprawdę dłużej już stać nie mogę. Ta cisza mnie zabije. Naciskam klamkę, drzwi jęczą cicho i już owiewa mnie chłód z korytarza. A może to twój chłód i może to jęk mojego serca? Wychodzę. Za chwilę zamknę drzwi z drugiej strony. A później pojedę w naszą ostatnią podróż. Wrócę do siebie, napuszczę wody do wanny. Wyjmę z kosmetyczki jednorazową maszynkę do golenia, ułamię przód tak, żeby odsłonić ostrze. Zrezygnuję z kąpieli. Chcę zatrzymać twój zapach na mojej skórze, zabrać go ze sobą. Usiądę na podłodze w łazience i zrobię kilka nacięć na nadgarstku. Krew zacznie spływać cienkim strumieniem na kafelki, zmiesza się z moimi łzami. Odejdę szybko, tak chcę, bo bardzo za tobą tęsknię. Serce boli i się skarży. Spokojnie, moje serce, już nigdy więcej cię nie skrzywdzę. Zamknęłam drzwi i weszłam w chłód, który mnie przeniknął od stóp do głów. Nie usłyszałam swojego imienia. Nie

zawołałeś mnie. Nie zawołałeś mnie, bo przecież nie mogłeś. Umarli nie mówią.

Taki miałam sen. Gdy spojrzałam na ciebie leżącego na kanapie, zorientowałam się, że patrzę na siebie.

To jest jakaś kpina, że widzę jedno twoje zdjęcie i wszystko mnie boli. Ochocki, Vithren

Mitch

Pierwszy raz zobaczyłem ją na spotkaniu autorskim, na które poszedłem z uprzejmości z moją koleżanką z pracy. Założyłem, że będę się straszliwie nudził, bo przecież literatury kobiecej nie czytam. Jak bardzo się pomyliłem, przekonałem się już po kwadransie.

Ona - Mona Moorea - nie skorzystała z przygotowanego dla niej wygodnego, pięknego fotela, stała przed przybyłymi gośćmi na środku sali. Ubrana była jak guwernantka - czarna sukienka z białym kołnierzykiem, na nogach czarne, lakierowane, niewysokie szpilki, włosy miała spięte, zebrane po bokach, a rozpuszczone z tyłu. To sprawiało, że wyglądała niemalże jak nastolatka, choć, jak powiedziała mi Ola, moja koleżanka, kobieta, na którą patrzyłem, skończyła czterdziestkę.

Stała i uśmiechała się. Nie był to uśmiech z listy tych obowiązkowych, przyklejonych. Jej spokój

udzielał się wszystkim. Szmery i szepty powoli cichły, a ona stała i patrzyła. Wodziła wzrokiem po publiczności, wciąż życzliwie i przyjaźnie się uśmiechając. Śmiały się jej usta, ale przede wszystkim oczy. To one przykuły moją uwagę, nie mogłem się oderwać od tego spojrzenia.

Jej oczy, tęczówki, były w dwóch różnych kolorach! Jedno było niebieskie, a drugie zielone!

- Dobry wieczór - powiedziała ciepłym, serdecznym, miękkim głosem. - Jak to dobrze, że państwo jesteście.

Z jej ust zaczęła płynąć opowieść. Nie tego się spodziewałem. Nie tego spodziewali się ci, którzy regularnie przychodzą na takie spotkania.

Mona zahipnotyzowała wszystkich, bez wyjątku. Niewysoka, szczupła, skromna, pełna pokory, ale i będąca żywym świadectwem wszystkiego, o czym mówi, sprawiała, że ludzie niemal przestawali oddychać.

Słuchali, toczyli walkę ze wspomnieniami, wracały schowane gdzieś głęboko emocje. Niektórzy płakali. Dyskretnie wyciągali chusteczki i ocierali łzy.

A ona wciąż mówiła. Prowadziła publiczność ścieżkami pełnymi traumy, by za chwilę rozbawić ich także do łez. Była inteligentna, miała ogromną wiedzę, doświadczenie i dzieliła się tym wszystkim w sposób niezwykle - bez patosu czy moralizatorstwa. Jej historia, historie jej bohaterów, to sto procent najczystszej prawdy, i to się czuło.

Półtorej godziny dzieliła się sobą. Co jakiś czas upijała łyk wody. Chłonałem każde jej słowo, była jak magnes, który przyciąga opiłki metalu - my wszyscy byliśmy jak te opiłki. Lgnęliśmy do niej.

Dolała sobie wody i przytoczyła pewną anegdotę.

- „Pewien profesor podczas wykładu na temat zarządzania stresem podniósł szklankę z wodą i zapytał swoich studentów: Ile waży ta szklanka? Odpowiedzi były różne, od dwieście gram do pół kilograma. Odpowiedź profesora wszystkich zaskoczyła: Nie jest istotne, ile waży ta szklanka. Zależy, ile czasu będę ją trzymał. Jeśli potrzymam ją minutę, to nie problem. Gdy potrzymam ją godzinę, będzie mnie boleć ręka. Gdy potrzymam ją cały dzień, moja ręka straci czucie i będzie sparaliżowana. W każdym przypadku szklanka waży tyle samo, jednak im dłużej ją trzymam, tym cięższa się staje. Zmartwienia i stres w naszym życiu są jak ta szklanka z wodą. Jeśli o nich myślisz przez chwilę, nic się nie dzieje. Jeśli o nich myślisz dłużej, zaczynają boleć. Jeśli myślisz o nich cały dzień, czujesz się sparaliżowany i niezdolny do zrobienia czegokolwiek. Pamiętaj by odłożyć szklankę”⁷.

Ludzie kiwali głowami i toczyli wewnętrzną walkę, analizując na gorąco wszystko, czego się dowiedzieli tego wieczora.

Na zakończenie Mona opowiedziała historię o Trzech Mędrkach. Opowieść zakończyła słowami: „I takiej miłości, za którą idzie wszystko, państwu życzę”.

Ludzie zaczęli klaskać, nie kryli wzruszenia. Nikt nie miał zamiaru wstać i wyjść. Siedzieli i powoli zaczynali znowu oddychać. Niektórzy ukradkiem wycierali łzy. Ja nie kryłem zachwytu. Oczarowała mnie, zaczarowała, spotkanie się skończyło, a ja trwałem w hipnozie. Od tamtego dnia myślałem tylko o niej.

Kilka dni później ośmieliłem się do niej napisać:

„Kilka lat temu, podczas rozmowy z bardzo mądrą kobietą, usłyszałem te oto słowa: »Nawet jeżeli żyjąc, tracimy życie, nie musimy robić tego idiotycznie, nerwowo i głupio. Ważne, aby czasami przystanąć. To chwila dla nas, nadwrażliwców, tak ważna i potrzebna, jak dla innych obiad w najlepszej restauracji«.

A to, co Pani myśli i tworzy, jest często deserem, ale tylko dla arystokratycznych podniebień. Po naszym ostatnim spotkaniu nietrudno zauważyć, że jest ich przynajmniej czterdzieści:) - jakaś pani ze swoimi uczniami, podbudowane rozmową kobiety, kilku nawróconych światopoglądowo mężczyzn.

Kontemplacja kawałka Pani wewnętrznej rzeczywistości, jakże subtelnej, całej z półtonów utkanej, choć na chwilę wybudziła nas z ośpienia towarzyszącego pogoni za codziennością, uświadomiła jej wielowymiarowość, efemeryczność, a także wyjątkowość każdej chwili. Zastanawiam się, czego pragnie taka kobieta jak pani?"

Odpowiedź mnie zaskoczyła:

„Chciałabym, żeby ktoś znał mnie w całości, żeby mnie poskładał, żeby wiedział o mnie wszystko. Ze herbatę piję tylko czarną i słodzę wyłącznie miodem malinowym. Kawę piję tylko rozpuszczalną z dużą ilością spienionego mleka. Bez cukru. Żeby wiedział, że nawet latem marzną mi stopy i czubek nosa. Żeby pamiętał o mojej tachykardii. I żeby wiedział, po czym mam tę bliznę na lewym przedramieniu i prawym kolanie. Chciałabym, żeby ktoś nauczył się mnie na pamięć, od czubków palców stóp aż po niewidzialne cebulki włosów. I żeby wiedział, że moje ulubione lody to słony karmel, a zaraz po nich guma balonowa. Że nie mogę jeść owoców pestkowych i dlaczego. Że po fasoli rośnie mi ciążowy brzuch. A mój naturalny kolor włosów to ciemny blond. Chciałabym, żeby istniał ktoś taki, kto będzie, kiedy będę go potrzebowała. I żeby on też mnie potrzebował. Ale przede wszystkim... Przede wszystkim

chciałabym, żeby ten ktoś mnie pokochał w całości. Żeby mnie... znalazł"⁸.

Od tamtego dnia minęło wiele listów i dziewięćset czterdzieści dni. Każdy jeden z nich to najbardziej niezwykły czas. Wszystko zdawało się nierealne, a jednak działo się naprawdę. Ona jak ze snu, całkowicie nierealna, a była. Bo nawet te dni, gdy znikła i szukaliśmy jej niekiedy i przez tydzień, a mogła być wszędzie - były niepowtarzalne.

Przywykłem nawet do tego wszystkiego, co się w głowie nie mieści. Miałem bardzo pojemny umysł, choć przyznam, że wielu rzeczy zrozumieć się nie dało, trzeba je było zaakceptować i z nimi żyć.

Z niekontrolowanymi zakupami, o których nawet nie pamiętała, że je zrobiła. Z bałaganem w mieszkaniu, ze zniszczonymi przedmiotami, rozbitymi lustrami - wtedy, gdy walczyła z tym, kto w niej mieszkał.

Nawet listy mnie zadziwiały, wyglądały, jakby pisały je różne osoby, nagle w połowie zmieniał się charakter pisma, ale przede wszystkim treść i styl.

Parafraza tekstu Mikołaja Bajorka.

Słabi nigdy nie potrafią przebaczać. Przebaczenie jest cnotą silnych.

Mahatma Gandhi

Mona Moorea

Znowu napisał.

„Spróbuję usunąć choć parę kamieni z Twojej ścieżki, tak jak ci, od których się uczyłem, usuwali je z mojej. Mimo że podobno całą wiedzę wszechświata mamy w sobie i wędrując przez życie, jedynie przypominamy sobie wszystko, zawsze będziemy szukać mistrzów, którzy pokażą nam drogę. Dla mnie najważniejszym nauczycielem jest po prostu drugi człowiek, bo kontakt z inną osobą jest największą inspiracją. Warto przejrzeć się w lustrze kogoś, kto staje obok nas. To, co w nim razi, to nasze ukryte lęki, nasze własne wady. To, co zachwyca, to nasze wewnętrzne światło odbite w jego duszy. Warto posłuchać, co ma nam do powiedzenia. Krytyka uczy, akceptacja wzmacnia poczucie własnej wartości, a relacje z osobistych doświadczeń innego człowieka pokazują

ogromną różnorodność życiowych ścieżek, pomagając jednocześnie określić poziom naszej empatii. Dlatego tak bardzo cenię sobie spotkania z drugą osobą, a mój dom jest zawsze otwarty. Można do mnie zapukać niemal o każdej porze dnia i nocy, bo każdy gość przynosi ze sobą nowe doświadczenie, każdy gość w jednej chwili może stać się moim nauczycielem, dzięki któremu odkryję coś zupełnie nowego.

Jestem świadomy, że moje myśli wpływają na rzeczywistość, więc biorę odpowiedzialność za wszystko, co mnie spotyka, biorąc odpowiedzialność za swoje myślenie.

Trudno jest przyciągnąć szczęście, jeśli uważa się siebie za kogoś gorszego, kto na nic dobrego nie zasługuje. Warto zatem i dlatego mieć pozytywny stosunek do własnej osoby. Poza tym kiedy kocha się siebie, wszystko robi się z miłością. Człowiek rozwija się, promienieje miłością, przyciąga więcej pozytywnej energii".

Być może pod wpływem listu od - przecież - nieznajomego lub też wzruszenia Whartonem, albo jednym i drugim, skreśliłam słowa, których znaczenia nie rozumiałam. Mogły być początkiem mojej nowej książki, marzeniem, fantazją lub po prostu mogły nie mieć żadnego znaczenia. Jednak to napisałam. Splotłam litery w słowa, ze słów utkałam zdania, a ze

zdań zaczęłam dziergać życiorys, według którego chciałam żyć.

Miał rację. Czy nie wystarczy, że inni próbują nam dokopywać? Po co się do nich dołączać? Uważa, że ja boję się wyjść z piekła. Wyjście z „piekła” budzi lęk. To naturalne. Bo za drzwiami jest zupełnie nieznaną świat. Boję się, że będę chciała więcej normalności? Ależ mam dostęp do nieprzebranych jej zasobów! Dostaję kluczyk, a to, w jakim zakresie z niego skorzystam, ile normalności, czyli spokoju, pogody ducha, szczęścia, ukojenia - ile tego sobie wezmę, zależy w ogromnym stopniu ode mnie samej. Jestem płaczliwa. A może po prostu mam powód do płaczu. Jezu mój, mam. Ale to nie znaczy, że jestem płaczliwa. Jeśli chce mi się płakać, mam powód i płaczę. Jeśli nie, mogę przecież zmienić uwarunkowania, usunąć przyczyny i nie płakać.

Są chwile, takie jak ta, że chciałoby się po prostu usiąść i zapłakać... Nad światem. O ten płacz go spytałam. W swej bezgranicznej arogancji chciałam wiedzieć, dlaczego przepłakał tak wiele, wiele dni. A teraz marzę tylko o tym, żeby ktoś wyciął mi tę część mózgu, na której ta informacja jest zapisana. Żeby mi to wyrwał z korzeniami. Bez znieczulenia. Tak, żebym poczuła ból konsekwencji zadawania nieprzemyślanych pytań.

To był nawet całkiem dobry, słoneczny dzień. Lato było w pełni, choć mogłoby być piękniejsze,

ale najwyraźniej nie chciało się w tym roku postarać. Widocznie miało taki plan. Może za to zima będzie łagodna, nie lubił zim, zwłaszcza że patrzył na nie z punktu widzenia użytkownika pojazdu. Nigdy nie chciał tak pracować. Ale przy takim bezrobociu nie ma co wybrzydzać. Na pieniądze nie może narzekać. Najwyżej na rozłąkę. Zona też pracowała, więc, statystycznie rzecz biorąc, mieli o wiele lepiej niż większość polskich rodzin. Córka pięknie rosła. W zasadzie wszystko w porządku. Tylko że... Ostatnio wydawało mu się, że Iza stała się jakaś dziwna. Nieobecna. Potrafiła wyłączyć się na wiele godzin. I myślał, że się ucieszy, że będą teraz więcej czasu spędzać razem. A ona jakby odwrotnie. To chociaż z córką nadrobił zaległości ojcowskie. Kino, zoo, ogród botaniczny. To w ubiegłym tygodniu. Jutro sobota - obiecał jej, że pojedą do Aquaparku.

Tego dnia postanowił rozruszać rozleniwione ciało jazdą autem mięśnie i wyjątkowo wracał do domu piechotą. Pogoda w sam raz. Niezbyt gorąco, ani duszno, ani parno. Lekki wiaterek przyjemnie kołysał gałęzie drzew, które z kolei oddawały ten chłód ludziom. Do domu kilka kroków. Dzień wyjątkowy także z innego powodu. I z innego powodu niż zastałe mięśnie i kości postanowił wrócić do domu spacerkiem. W mocno zaciśniętej pięści trzymał maleńkie pudełeczko. Pierścionek kupił Izie. Za kilka dni ich rocznica ślubu. Siódma. Szczęśliwa liczba.

Nie wie, co się dzieje w ich małżeństwie, nie rozumie zachowania żony, ale wie - bo czuje tak, bo wszędzie o tym piszą i mówią - że jeśli się tylko bardzo chce, to wszystko można naprawić. I jeszcze może być dobrze. Bo może to jego wina? Że tak dużo pracował? Dwie kobiety liczyły się w jego życiu: Iza i Amelka. Tak. Dzisiaj da Izie pierścioneł i powie, jak bardzo ją kocha. Jak zawsze do nich tęskni. Szedł równym krokiem, ani za szybko, ani za wolno. Dokładnie tak, aby zczekać na swoją żonę. Dokładnie tak, by upadła mu prosto pod nogi. A tuż obok niej Amelka. Najpierw usłyszał straszliwy huk, zaraz po chwili coś uderzyło o beton. Coś. Ktoś. Obydwie umarły od razu. Iza - jego żona. Amelka - jego mała córeczka. Spadły tuż pod jego nogami. Zupełnie tak, jakby Iza wyglądała za nim przez okno i precyzyjnie obliczyła szybkość i kierunek lotu. Ale przecież nie mogła mu tego zrobić specjalnie. Przecież nie robi się bliskim takich rzeczy. Nie skazuje się kogoś na męki duszy i ciała do końca jego dni. Dni, z których każdy bez wyjątku wypełniony będzie już tylko widokiem leżącej z rozłupaną czaszką żony i nienaturalnie wygiętego ciała córeczki. Nie robi się innym takich rzeczy, prawda? Ktoś potem powiedział, że widział, jak kobieta stała na parapecie z dzieckiem na ręku. Widział. I też będzie miał te koszmarne wspomnienia do końca życia. Cienka strużka krwi wypływała z lewego kącika ust Izy. Miała takie piękne, zmysłowe

usta. Amelia wyglądała tak, jakby spała. Mówią, że podobno spała, gdy Iza z nią skoczyła.

Nie pamięta, co stało się po tym, gdy kobiety jego życia upadły tuż koło jego nóg, skacząc z dziesiątego piętra wieżowca. Nie pamięta, bo upadł tuż obok nich. Ale tylko zemdłał. Dziś mówi, że żałuje, że nie umarł. Pisali o tym później w różnych gazetach.

Wszystko wskazuje na to, że matka wzięła na ręce śpiące dziecko i razem z nim wyskoczyła z mieszkania na 10. piętrze. Kobieta zostawiła długie, pożegnalny list.

Matka z córką mieszkały w wieżowcu przy ulicy Gorkiego od roku. Kobieta pracowała i nie utrzymywała bliskich kontaktów z sąsiadami. Dlatego o przyczynach tego desperackiego kroku nie potrafią nic powiedzieć, a o tragedii rozmawiają niechętnie. Mieszkańcy budynku niczego nie słyszeli. O tym, że coś się stało, dowiedzieli się, kiedy pod blok na sygnale podjechała karetka pogotowia i radiowozy. Tuż po zdarzeniu na chodniku nie było zbiegowiska, tylko kilka osób wyjrzało przez okna, potem wrócili do łóżek lub przed telewizory. „To duży budynek. Ludzie raczej nie interesują się tym, co robią inni. Znamy się tylko z widzenia. Chyba że ktoś ma w bloku przyjaciółkę” - mówi jedna z mieszanek wieżowca. Podobnie jak inni lokatorzy, chce zachować anonimowość. „To ogromna tragedia. Ile trzeba desperacji, żeby zabić własne dziecko? Z tą kobietą z 10. piętra spotykałam się czasami w windzie. Miła i spokojna. Myślę, że to nie było

samobójstwo z ubóstwa, bo kobieta i dziecko nie wyglądały na biedne" - dodaje jedna z mieszkanek wieżowca.

Samobójczyni zostawiła długi list pożegnalny adresowany przede wszystkim do męża, którego nie było w domu. Wynika z niego, że kobieta planowała samobójstwo. Wcześniej przygotowała ubrania dla siebie i córki, w których mają zostać pochowane. Były tam również inne dyspozycje dotyczące miejsca pochówku, pogrzebu i kilku wartościowych rzeczy, które pozostały po desperatce. Kobieta nie do końca podała w liście przyczynę samobójstwa. Napisała, że ma wszystkiego dość i nie chce się jej żyć. Stwierdziła również, iż zdecydowała się skoczyć razem z dzieckiem, ponieważ obawiała się, że po jej śmierci zostanie bez opieki. Mężowi zostawiła podobno w kuchni tabletki uspokajające.

Trzy miesiące później próbował popełnić samobójstwo. W pokoju był sam. Nie lubił towarzystwa. Zresztą w „tego rodzaju” pokojach zazwyczaj jest się w pojedynkę i nikogo to nie dziwi. To dla bezpieczeństwa. Tak mówią. W oknie gruba gęsta krata. Białe ściany wyłożone materacami. Żeby sobie krzywdy nie zrobił. A on o niczym innym nie marzy, tylko o tym, żeby mu się stała krzywda. Już nie może żyć z obrazem Izy i Amelki przed oczyma. I nieważne, czy ma oczy otwarte czy zamknięte. Gdy je otwiera - one tam są. Gdy je zamyka - są nadal. Leżą na chodniku. Iza na niego patrzy. Wydaje mu się, że

w tym martwym spojrzeniu jeszcze żyło pytanie: „Dlaczego?”. Pytanie, czy może wyrzut: „I popatrz, co mi zrobiłeś!”. Wciąż ścisła w dłoni małe pudełeczko. Pozwolili mu je zostawić. Co jakiś czas wyjmuje z niego pierścionek i mówi: „Ja naprawdę nie wiem dlaczego. Ani nie wiem, co takiego wam zrobiłem. Co takiego zrobiłem tobie, że ty zrobiłaś coś takiego mnie?”. Dziś uwolni się od tego wracającego koszmaru. Nie będzie musiał zadawać sobie wciąż tych samych pytań i szukać odpowiedzi. Iza i Amelka odejdą. Odeszły już jakiś czas temu. Teraz on dołączy do nich. I nareszcie będzie mógł zapytać żonę, dlaczego to zrobiła. I nareszcie będzie mógł zasnąć. Czy można odebrać sobie życie przy pomocy pierścionka z cyrkonią? Chyba nie. Ale za to można, przegryzając sobie język.

Nie udało mu się.

A ja się tak ogromnie cieszę, że mu się nie udało, bo teraz mogę go mieć dla siebie. Martwi mnie to. Bo nigdy nie można mieć kogoś na własność. Człowiek jest całkowicie wolny i w żaden, absolutnie żaden sposób nie wolno mu tej wolności ani zabierać, ani nawet próbować ograniczać.

Napisałam:

„Dopiero dzisiaj doszłam do siebie po tym, jak opowiedziałeś mi swoją historię. Być może dzięki temu zrozumiesz, dlaczego raz zachowuję się tak, a za

chwilkę inaczej. Ty wiesz na cienkiej linie, mnie ktoś zrzucił ze skały jakiś czas temu. Udało mi się z ogromnym trudem wdrapać z powrotem już prawie na samą górę. Już widzę cel. Ale czasem coś lub ktoś, możliwe, że ja sama, zrzuca mnie w dół. I wtedy jestem słaba, i znowu muszę zebrać siły na ponowną wspinaczkę".

Marcin

Mam na imię Marcin, mam szesnaście lat i jestem silnie związany z Marie. Poznaliśmy się w rodzinie zastępczej. Opowiedziała mi o wszystkim, co przeżyła, a ja obiecałem jej i sobie, że zawsze będę ją chronił. Dlatego się pojawiłem. Zawsze noszę przy sobie nóż. Marie może być spokojna, sprzedam kosę każdemu, kto się do niej zbliży. Wsadzę mu nóż pod żebra i dopchnę, przekręcę. Mógłbym nawet wykroić mu serce. Ale zazwyczaj wystarczają mi gołe ręce. Ta mała jest dla mnie wszystkim. Będę przy niej już zawsze. Stałem się jej cieniem. Gdyby wiedziała, że chodzę za nią wszędzie, byłaby na mnie zła. Mam cel. Nie tylko ten, by jej strzec. Nie tylko ona była krzywdzona, ojców pedofilów, takich zwyrodnialców, jest dużo. Chodzę sobie ulicami, parkami, siadam na ławkach i obserwuję. Nauczyłem się już typować tych, którzy nie trzymają łap przy sobie. Widzę, rozpoznaję symptomy molestowania. Ciągłe przytulanie, przy byle okazji, niby przypadkowe dotykanie, nadmierne okazywanie czułości. Ja to po prostu widzę, czuję i wiem. Idę za takim zboczeńcem, śledzę go, ustalę, gdzie mieszka, i obserwuję. Jednego udało mi się złapać na gorącym

uczynku. Jego córeczce zachciało się siusiu, poszli w pobliskie krzaki, ja za nimi. Widziałem, co jej tam robił. Już był mój. Zajęło mi to trochę, ale dowiedziałem się, gdzie pracuje. Dopadłem go, gdy szedł na nocną zmianę. Taki wyglancowany pan kierownik. Idealny mąż, ojciec, zdyscyplinowany pracownik. Już nigdy nikogo nie skrzywdzi. Dostał to, na co zasłużył. Nigdy go nie znajdą. Uwielbiam im to robić. Zbyt dobrze pamiętam, co opowiadała mi Marie, żeby stać mnie było na litość. A o litość błagają, najczęściej na kolanach. Żaden pedofil nie zasługuje na łagodny wymiar kary. Na początku jest nawet dość zabawnie, gdy nie wiedzą, za co ich dopadłem. Proszą, bym im darował życie, bo mają dzieci. Idioci, nie mają pojęcia, jak mnie tym rozwścieczają. Przecież to właśnie z powodu dzieci znaleźli się w moich rękach. Nie jest trudno mi ich zwabić. Mam szesnaście lat, ale wyglądam na mniej, mam buzię dziecka. Nie wiedzą, że jestem bardzo silny i sprawny fizycznie. Duszę ich jedną ręką. Miażdżę im krtań, patrzę, jak gasną im oczy. Bezcenne jest ich zaskoczenie, gdy orientują się, że wpadli we własne sidła.

*Ona nie jest szczęśliwa. Szczęśliwa kobieta nie śmieje się tak głośno.
Szczęśliwa kobieta śmieje się w środku. Jakby się świeciła.*

Jacek Kaczmarski

Mona Moorea

Moja córka Pati to jedyne, co naprawdę jest moje. Jest częścią mnie. Jak kawałek wątroby, nerka, serce. Gdyby coś jej się stało, umarłabym. Gdy chorowała, chorowałam razem z nią. Nie wiem, naprawdę nie umiem sobie wyobrazić, jak matkom, które straciły swoje dzieci, udaje się normalnie funkcjonować.

To zdarzyło się, kiedy Pati była nastolatką...

Było w cieniach do powiek Diora. Używałam ich rzadko, bo kosztowały majątek, więc oszczędzałam. Tego dnia postanowiłam zaszaleć, otworzyłam swoją torebkę wielkości bagażu podręcznego i z samego dna wydobylam srebrne, prostokątne pudełko. Otworzyłam je i zamarłam. Poczulałam chłodny powiew czającego się nieszczęścia. Lusterko było pęknięte. Lusterko w cieniach do powiek. Staralam się wypędzić ten chłód, tłumacząc sobie, że przecież

mogło się stłuc każdemu. Celnikowi, który niezbyt delikatnie obchodził się z moją torebką podczas kontroli, którejś z koleżanek czy po prostu komukolwiek. Tylko nie mnie. Nieszczęście. A zawsze tak bardzo uważałam na lusterka.

Dwa tygodnie później Pati powiedziała:

- Zobacz, mamó, zmienił mi się pieprzyk. Spojrzałam i poczułam ten sam chłód, który

przenikał mnie, gdy odkryłam, że stłukło się lusterko w cieniach do powiek.

- To nic, kochanie. Nie martw się.

Moja córka. Prawie dorosła, choć dla matki zawsze jest dzieckiem. Bezbronnym. Uśmiechnęłam się do siebie, bo przypomniałam sobie, jak kiedyś pięcioletnia wtedy Patrycja powiedziała z niezwykle poważną miną:

- Mamuś, jak dorosnę, to chcę zostać dinozaurem, tyranosaurusem reksem.

Ale wciąż miałam przed oczami ten pieprzyk - poszarpane czerwone brzegi, środek górkowaty, ciemnobrązowy, nieregularny kształt, a do tego coś się sączyło.

Nie spałam tamtej nocy. A mimo to miałam koszmary. Rano zadzwoniłam do znajomego onkologa i kilka godzin później stawiliśmy się w szpitalu.

Pół godziny potem po pieprzyku zostało tylko wspomnienie. I strach, jaki będzie mi towarzyszył

przez dwa tygodnie, w oczekiwaniu na wyniki histopatologii.

Staralam się nie bać, nie myśleć negatywnie, ale żadna z tych dwunastu nocy nie była spokojna. Budziłam się oblana potem, wystraszona, przerażona. Odebrałam wyniki i choć nie znałam łaciny, to słowo akurat nie było mi obce. Rak. Korytarz, który zawsze przemierzałam w trzy minuty, teraz zdawał się nie mieć końca. Szłam, biegłam, ściany rozsuwały się na boki, korytarz wydłużał, a ja czułam się jak Alicja, która właśnie przeszła na drugą stronę lustra. Lustra. Cholernego stłuczonego lustra. Świat stał się ogromny, a ja malutka. Karta papieru, którą kurczowo trzymałam w ręku, zdawała się ważyć więcej ode mnie. Ten ogromny świat przytłaczał mnie i zabierał oddech. Biegłam wciąż, chcąc jak najszybciej znaleźć się w gabinecie lekarskim, żeby ktoś przetłumaczył mi do końca tę łacińską diagnozę.

Jeszcze jedno piętro, dwadzieścia cztery schody.

Weszłam do pokoju lekarskiego, nie pamiętam, czy wcześniej zapukałam.

Poprosiłam o przetłumaczenie wyniku. Lekarz spojrzał na kartkę, potem na mnie, a potem spytał, czyje to wyniki. Usiadłam.

A może zemdlałam. Nie pamiętam.

Usłyszałam tylko swój głos:

- To wyniki mojej córki.

I patrzyłam na lekarza wielkimi przestraszonymi oczami matki. Matki, która kocha. I która umiera ze strachu.

- Proszę pani, to był rak.

Wielki czarny ptak sfrunął z ciemnografitowego nieba, usiadł na klatce piersiowej. Jego skrzydła przykryły moje ciało, a ogromne ostre pazury wbiły się w samo serce. Poczułam skurcz.

- Powiedziałem: był, proszę pani. Bo już go nie ma. Ten rodzaj raka, choć złośliwy, jest tylko miejscowy i po wycięciu jest całkowicie wyleczony. Nie daje przerzutów. Proszę spać spokojnie, już po wszystkim.

Ptak poderwał się do lotu. Serce znowu zaczęło pompować krew. Świat wrócił do naturalnych rozmiarów. Moja córka, jedyne dziecko, jak dorośnie, będzie dinozaurem. A niech sobie nim będzie. Byleby po prostu BYŁA.

Ale ja, matka, już nigdy nie będę spała spokojnie.

Nigdy nie podniosłam na nią ani ręki, ani głosu. Gdy oglądałam w telewizji programy o maltretowanych dzieciach, zawsze ścisnął mi się żołądek, coś zatrzymywało mi powietrze w płucach, nie mogłam oddychać, paraliżował mnie strach. Nie wiedziałam, dlaczego tak się dzieje, dlaczego moje ciało i mój umysł tak reagują na krzywdę, która działa się dziecku. Sparaliżowana bałam się głębiej zastanowić nad przyczyną tego stanu. Czułam, że w mojej przeszłości jest coś, z czym nie umiem się zmierzyć.

Moja córka jest moim wszystkim. Czytałam reportaż, który mną wstrząsnął.

Dzieci są bite tym, co akurat rodzic-potwór ma pod ręką - kablem od żelazka, smyczą, pogrzebaczem czy nocną lampką. Rodzic-potwór chwyta dziecko za włosy i tłucze jego głową o ścianę. Splot słoneczny to bardzo czułe miejsce - wystarczy celnie uderzyć, by dziecko złożyło się jak scyzoryk, wtedy już łatwo kopnąć w twarz. Rodzic-potwór lubi też stosować wymyślne tortury - zamyka w zimnej komórce na noc bez jedzenia i picia. Dzieci są przypalane, klute, katowane na śmierć. Dzieci boją się ciemności. Boją się też, że któregoś dnia przyjdzie ktoś z opieki społecznej i zabierze potwora, a one zostaną skierowane do rodziny zastępczej. A tego nie chcą, bo paradoksalnie kochają swojego prześladowcę. Dlatego cierpią w milczeniu, łkając bezgłośnie, połykając łzy, których słony smak miesza się ze słodkim smakiem krwi.

Ból głowy.

Pięć lat więzienia grozi kobiecie, która od trzech lat znęcała się nad jedenastoletnim dzieckiem. Policja zainteresowała się sprawą, gdy dziecko po raz kolejny trafiło do szpitala...

Takich przypadków jest, niestety, bardzo wiele. Zbyt wiele. Dzieci są bite, maltretowane, porzucane, a społeczeństwo reaguje oburzeniem dopiero, gdy już dojdzie do tragedii.

Znieczulica ludzka jest okropna. Nie ma czegoś takiego jak „nie moja sprawa”, bo tu chodzi o bezbronne dziecko, które nie ma możliwości poskarżenia się. Jak można biernie przyglądać się katowaniu dziecka i nic nie zrobić przez tyle czasu? Czy ludzie już nie mają sumienia? Tak właśnie wygląda nasz kraj: ciemnota, agresja w stosunku do dzieci i obojętność.

Płacz dziecka za ścianą powoduje u ludzi wzburzenie, ale bardzo rzadko zdarza się, by za tym wzburzeniem szła konkretna reakcja. Jednym z powodów takiej sytuacji jest powszechne przyzwolenie na kary fizyczne. W Polsce nie mówi się, że klapsy są złe, mówi się za to, że tego typu karanie może być skuteczne w procesie wychowywania.

Polska ma opinię kraju, w którym kary fizyczne są powszechnie używane i akceptowane. Bite dzieci widzą świat inaczej. Trzeba wiedzieć, że konsekwencją kar cielesnych są nie tylko urazy ciała i ból. „Najczęściej spotykanymi skutkami psychologicznymi doświadczania kar fizycznych przez dzieci są m.in.: niska samoocena, poczucie winy i wstydu, podwyższony poziom agresji (także autoagresja), trudności w odczuwaniu empatii, poczucie alienacji, poczucie odrzucenia, podwyższony poziom lęku, napięcie, nadpobudliwość, problemy z utrzymaniem koncentracji, zaburzenia snu, skłonność do poniżania innych i przemocy, skłonność do depresji”.

Ból głowy rozrywa mi czaszkę.

Nazywam się Laura Desperado, mam trzydzieści sześć lat, długie włosy w kolorze słońca, niebieskie oczy i mały zgrabny nosek. Noszę klątwę tego nazwiska. Desperado to po trzecim mężu, świeć Panie nad jego duszą. Zakończył swój żywot z rogiem byka wbitym w wątrobę. A jak wszyscy wiemy, wątrobę mamy tylko jedną, nawet jeśli się jest super przystojnym czarnookim Meksykaninem, przypadkiem rzuconym przez los na hiszpańską corridę.

Zostawszy wdową, wróciłam do Polski, gdzie zaczęłam wieść żywot biednej wdowy z hiszpańską wdową rentą.

Długo się nią nie cieszyłam, bo wkrótce odwiedziło mnie trzech śniadolicych - Jezu, jakich pięknych - wielbicieli tacos, bynajmniej nie z matrymonialną propozycją. Domagali się spłaty jakiegoś całkiem dla mnie abstrakcyjnego długu mojego pokonanego na arenie męża, który, jak się dowiedziałam w ciągu następných dwudziestu minut, grał w karty (nie muszę dodawać, że wszystko przegrywał), a ponadto miał drugie hobby o słodkim imieniu Concita.

Po kolejnych dwudziestu minutach dowiedziałam się, że właściwie jestem ciotką dwóch ledwie łączących bobasków, a mój mąż był facetem o sercu jak tramwaj, bo oprócz mnie miał jeszcze dwie inne żony. Pragnę podkreślić, że nie był muzułmaninem, a tym bardziej szejkiem arabskim z pełnoprawnym haremem żon. Wspomniani przystojniacy ogółocili mnie niestety ze wszystkich

pamiątek po moim Antonio oraz pozbawili mnie wdowiej renty, jako że, jak się także okazało, wcale nie byłam zamężna. Jestem więc aktualnie w ciężkiej depresji i rozważam popełnienie samobójstwa. Dziś wieczorem, gdy odbywałam spacer z moim psem, najczystszej krwi mieszkańcem, zwanym przeze mnie wielorasowcem europejskim, byłam świadkiem próby samobójczej mojego Antonia. A tak, tak-gdy już dotarły do mnie wszystkie informacje przekazane przez przystojniaków w sombreros, gdy już zdołałam się jakoś z nimi oswoić, postanowiłam kupić sobie psa, skoro nawet męża nie mogłam mieć na własność, i nazwałam go Antonio. Teraz chodzę dumna jak paw i wołam na psinę, zupełnie jakbym wzywała lokaja albo majordomusa.

Tak między nami mówiąc, to zrobiłam to także z czystego sentymentu, bo Antonio był nieziemsko piękny. Niestety, miał jedną wadę (no, może niejedną, ale zasadniczą): nie był Prometeuszem, któremu odrasta wątroba.

Więc Antonio, pies Antonio, próbował kilka dni temu, w akcie desperacji, rzucić się pod nadjeżdżający samochód. Sytuacja wyglądała prawie beznadziejnie, nie dość, że ślisko, to jeszcze ciemno. Stosunkowo szybko przywiązuję się do wszystkich samców i jestem im oddana, zwykle bez wzajemności, więc nie dbając o własne, chwilowo niewiele warte życie, rzuciłam się na jezdnię, na której Antonio postanowił zrobić sobie sjęstę. Złapałam go i już miałam wstawać z kolan

i uciekać, gdy zdałam sobie sprawą z tego, że przykleiłam się do podłoża.

Nie ma szans, żebym zdążyła wyskoczyć z mojego kozaka, a i nogi nie miałam czym odrąbać.

Oceeniłam więc odległość między mną a zbliżającym się do mnie samochodem terenowym. Z jakiegoś całkiem niewytłumaczalnego powodu moją głowę zajęła myśl, jakiej marki jest to auto. No fakt, jak już mam ginąć tragicznie, to chcę wiedzieć, co i za ile mnie przejechało.

Gdy samochód był blisko, z zadowoleniem odkryłam, że przejedzie mnie czarny mitsubishi pajero, taki, jaki zawsze chciałam mieć. I w jakimś sensie moje marzenie miało się za chwilę spełnić. A ja zaczęłam żałować, że nie marzyłam o rowerze albo o taczce.

Dzielnie szamotałam się z przyklejonym do jezdni butem oraz z suwakiem, jednocześnie własnym ciałem zasłaniając Antonia, który uparł się, żeby ze mną zostać, i żadną siłą nie pozwolił się odgonić.

Zasłoniłam oczy ręką i gotowa byłam na spotkanie z Najwyższym.

Po chwili usłyszałam przeraźliwy pisk hamulców. Otworzyłam oczy, i chyba uszy też mi się otworzyły, bo usłyszałam:

- No i co też pani wyprawia, co ?

Jestem w Niebie. Nie dość, że Bóg okazał się niezłym przystojniaczkiem, to jeszcze ma niezwykle interesujący głos.

Właściciel głosu wyglądał na zdenerwowanego, a ja myślałam, że Pan Bóg ma anielską cierpliwość.

Zamiast powiedzieć coś sensownego, zaczęłam rozglądać się i wołać psa:

-Antonio, Antonio...

- Czy my się znamy ? - zapytał właściciel samochodu moich marzeń. -Ico pani w ogóle wyprawia?- ponowił pytanie.

Patrząc tępo, bez cienia inteligencji na twarzy, co było zapewne wynikiem szoku, powiedziałam:

- Zawsze chciałam mieć takie auto.

-I to jest powód, żeby od razu się pod nie rzucić?

- No nie, mogłam je spróbować ukraść. Wcale się nie rzuciłam.

Na horyzoncie dojrzałam wystraszonego psa i radośnie zawołałam:

-Antonio, kochanie! - Wyciągnęłam ręce w stronę mojego pupilka.

Na ten właśnie moment wychyliła się z samochodu moich marzeń matrona, ubrana w futro z moich marzeń, i patrząc na mnie z niesmakiem, jakby zobaczyła właśnie kupkę gówna, spytała:

-Antoni, czy ty znasz tę panią?

Co za pytanie, pewnie, że zna - myślę. Mówię zaś:

- Pewnie, że zna, przecież ze mną mieszka. Jakimś cudem odkleiłam się od podłoża, razem z butem i nogą.

Futro moich marzeń wzdrygnęło się z obrzydzenia, prychnęło, wykrzychało coś w stylu:

-Antoni, ty świnió, nie przypuszczałam, że prowadzisz podwójne życie.

Postanowiłam ująć się za moim przyjacielem:

- Wypraszam sobie, Antonio to może i zwierzak, ale na pewno nie świnią. To moja kochana psinka.

Coś w futrze wzdrygnęło się ponownie i furknęło:

- Zamilknij już wreszcie, nie chcę słyszeć o waszych zboczonych zabawach seksualnych.

O rany, to ja prawie wpadłam pod samochód, ale to ona bredzi.

Futro wysiadło z samochodu, wyjęło telefon komórkowy i zadzwoniło po taksówkę, a następnie wsiadło i odjechało. Odjechało rydwanem. Rydwanem miasta.

Na środku ulicy - dobrze, że osiedlowej - zostałam ja i osłupiały właściciel mitsubishi. Aha, i mój Antonio.

- No i co też pani wyprawia?

To już gruba przesada. Od faceta w płaszczu od Armaniego (swoją drogą, to interesujące połączenie: samochód terenowy i elegancki płaszcz wyjściowy) spodziewałam się czegoś więcej niż powtarzania w kółko tego samego zdania.

Facet chyba jednak chciał powiedzieć coś więcej, ale nagle zrobił się czerwony i zaczął się krztusić.

Najpierw myślałam, że sobie jaja ze mnie robi, ale gdy spuchł i oczy mu prawie wyszły na wierzch,

postanowiłam interweniować, domyślając się, jak się później okazało, słusznie, że facet się zadławił.

Skoczyłam mu na plecy i zastosowałam chwyt Heimlicha. W końcu facet wypluł gumę do żucia i wrócił do normalnego koloru.

Chciał o coś zapytać, a ja, z obawy, że znowu usłyszę: „No i co też pani wyprawia?”, czego mogłabym nie przeżyć, zaproponowałam:

- No dobrze, skoro nie udało się panu mnie zabić, to może pozwoli pan zaprosić się na herbatkę.

- Z arszenikiem?

- Chwilowo brak, przepraszam. Ale powinnam mieć jeszcze troszkę trutki na szczury.

- Nie, dziękuję, wystarczy cukier.

- Niestety, skończył się jeszcze przed arszenikiem.

Wieczór był bardzo miły, imiennik mojego psa podziękował mi za to, że uratowałam go przed śmiercią od gumy eukaliptusowej, a ja podziękowałam mu za to, że jednak postanowił mnie nie przejeżdżać. Wypiliśmy coś więcej niż herbatkę, wygrzebałam jedną z ostatnich butelek hiszpańskiego wina, trzymanego na specjalne okazje. Tosiek, jak go pieszczotliwie nazywam, okazał się inteligentnym i, wbrew pozorom, elokwentnym facetem, można by rzec - erudytą nawet. Trochę się bałam zapraszać obcego faceta do domu, ale szybko przemyślałam, że skoro mógł mnie rozmaścić na drodze i tego nie zrobił, to chyba mnie teraz nie udusi krawatem. Nie udusił, i może

szkoda, bo teraz nie musiałabym otwierać przedostatniej już butelki na specjalną okazję

To było kilka dni temu, a dzisiaj siedzę nad listem, który właśnie otrzymałam, i nie wiem, co mam robić. Po wizycie nieproszonych gości z dalekiego Meksyku, wypiwszy sobie kilka głębszych, napisałam list do jednej z prywatnych stacji telewizyjnych, zgłaszając tym swoją kandydaturę do nowego programu reality show. I dzisiaj właśnie przyszła odpowiedź. Przyjęli mnie. Mam się zgłosić wyłącznie z osobistymi rzeczami za tydzień.

Dom nie jest tam, gdzie mieszkamy, ale tam, gdzie kochamy i jesteśmy kochani.

Karlheinz Deschner

Mona Moorea

Chciałam zbudować dom. Ale kiepska byłam w budowlance, a już w relacjach damsko-męskich wprost beznadziejna. Miałam tendencję do zagarniania przestrzeni - byłam z kobiet kochających za bardzo. Wypełniałam miłością dziewięćdziesiąt procent przestrzeni, jaka była pomiędzy mną i nim. Chciałam dać jak najwięcej, jak najszybciej i jak najlepiej. Przeszłość szeptała jak szatan do ucha: musisz zasłużyć, musisz zasłużyć, musisz się jeszcze bardziej postarać. Trucizna ukryta w słowach wypełniała naczynia krwionośne i płynęła, płynęła, płynęła, krążąc po całym organizmie. Zatrzymywała się w sercu, rozbijała prowizoryczny namiot, cały z kolców, i szeptała: nikt cię nie kocha, nikt cię nie kocha, jesteś gorsza, naznaczona, masz to wytatuowane w sercu i duszy. Z sercem i duszą sobie jakoś radziłam, gorzej było z oczami. Tam też czerń

tuszu tatuażu wdarła się nieproszona i nie zawsze dało się ją ukryć. I żyłam z poczuciem winy, z przekonaniem, że nic nie jestem warta, próbując rozmyć ten tusz łzami, nawet dość często, w nadziei, że w końcu kiedyś całkiem go wypłuczę.

Chciałam zbudować dom. Ale kto zaczyna od dachu? Kto zaczyna od pięknych zdobień, zamiast od fundamentów? Ja. Bo tak bardzo chciałam pokazać, że jestem dobra, że jednak, że mimo wszystko zasługuję, żeby być kochaną. Pragnęłam zasłużyć na każdy centymetr tego domu, na każdą cegielkę, na zasłony w oknach, kwiatki na parapecie, na kominek i baranią skórę, na lampkę szampana, na wspólne śniadanie. Tak bardzo chciałam widzieć w oczach facetów to, czego nigdy nie dostrzegałam w swoich, gdy myślałam o sobie - szacunek, zrozumienie, miłość.

Chciałam zbudować dom, ale zapomniałam o porządnej zaprawie. O zachowaniu właściwej kolejności prac i jakości materiałów. Nie można budować od słów: KOCHAM CIĘ, i na tym skończyć, bo wszystko się zawali. Musi - mój słodki Jezu! - musi być coś POMIĘDZY. Pomędzy „kocham” na początku a „kocham” na końcu. Jeśli tego nie ma, ten dom to domek utkany ze złudzeń, wyobrażeń, nadziei i oczekiwań. Serce to za mało. Samo nie da rady, zwłaszcza że pełno w nim blizn po wcześniejszych budowlanych katastrofach. Niewielu, ale tragicznych. Ze skutkiem

śmiertelnym. Umierałam kilka razy, odradzałam się i sklejałam serce transparentnym plastrem.

Gorsze od utraty miłości jest zyskanie przekonania, że jest się czymś rozczarowaniem, że zawiodło się kogoś. A najbardziej znowu siebie...

Teraz zacznę budować od komina... Jeśli w ogóle kiedykolwiek jeszcze.

Nie jest łatwo żyć, a tym bardziej normalnie funkcjonować, kiedy twoje serce to tylko krwawy ochłap mięsa, którego nie możesz uleczyć.

Jesteśmy tylko ludźmi i jako ludzie aż kipimy z potrzeby miłości, i myślę, że to właśnie ona trzyma kobiety ranione przy swoich katach. W każdej dziewczynie jest trochę z księżniczki, która szuka swojego szczęśliwego zakończenia, a każdy człowiek szuka domu. Nie mówię tu oczywiście o budynku. Sama kwestia domu jest bardzo skomplikowana. Nie wiem, co możemy nim nazwać, ale wydaje mi się, że dom to miejsce, za którym tęsknimy, do którego wracamy. To ludzie, których kochamy, bezpieczeństwo i spokojny sen. I marzenia. A powodem, dla którego kobiety, na których stosuje się przemoc domową, zostają i cierpią, zamiast odejść, jest nadzieja na to wszystko. Jestem zwolenniczką teorii względności. Nie jestem do końca pewna, czy coś takiego istnieje, ale nie to jest najważniejsze. Wielu ludzi mówi, że kobietom w takich sytuacjach brakuje odwagi. Z jednej strony tak, nie mają odwagi, by odejść. Jednak

mają odwagę, by zostać. Płakać, cierpieć i powoli umierać, wygasać. Nie boją się. Są na tyle odważne, by nie stracić nadziei. Czasem patrzysz na swoje życie i masz ochotę opłakiwać to, co było wcześniej. Widzisz wszystko, co masz, nieszczęśliwych ludzi, których zraniłaś, i marzysz o wehikule czasu. Tak jak powiedziałam, niektórzy są dobrzy, a inni po prostu zgubili swoją drogę. To, czym jesteśmy, jest odbiciem ludzi, którzy nas otaczali, życia, jakim żyliśmy, i tego, czym nie chcieliśmy się stać. Czasem raniemy ludzi tylko dlatego, że nie chcieliśmy ich zranić. Czasem boimy się samych siebie, czujemy się jak potwory. Czasem nie ma przy nas osoby, która poprowadzi nas za rękę. Czasem potrzebujemy kogoś takiego, ale go nie chcemy. Tak bardzo przyzwyczailiśmy się do bycia silnymi, że nie chcemy dopuścić do nas nikogo, chociażby dlatego, żeby go nie zranić. Obawiamy się momentu, kiedy staniemy się uosobieniem naszych lęków. Myślimy, że nie zasługujemy na ochronę, że lepiej będzie, jeśli poradzimy sobie sami. To nasze demony mają nad nami kontrolę, a ja nienawidzę świadomości, że nie na wszystko mam wpływ.

Marcin

Marie miała trzynaście lat, gdy zabrała ją opieka społeczna. Trafila do rodziny zastępczej i spędziła tam osiemnaście miesięcy. W tym czasie matka ochłonęła, ojciec rozpoczął terapię i wszystko wracało do normy. Na świat przyszło też ich drugie dziecko - dziewczynka. Mama Marie zaczęła się starać o odzyskanie starszej córki, mąż mocno ją w tym wspierał. Przed sądem rodzinnym wyrażał skruchę, przekonywał, że jest lepszym człowiekiem, że zrozumiał swoje błędy i je naprawia, i idzie mu nieźle. Że szło mu nieźle, przekonywali sąd psychiatrzy i pracownicy ośrodka terapeutycznego. Marie, już prawie piętnastoletnia, także bardzo chciała wrócić do domu, do mamy, do maleńkiej siostrzyczki i nawróconego ojca. W końcu rodzina to rodzina. Sąd nie znalazł podstaw do odrzucenia wniosku matki o przywrócenie praw rodzicielskich. Nie wziął również pod uwagę zeznań pracownicy opieki społecznej, która prowadziła sprawę Marie od początku i twierdziła z uporem, choć nie potrafiła tego udowodnić, że największym problemem Marie nie był alkoholizm i brutalność ojca, lecz jego dewiacja polegająca na

seksualnym wykorzystywaniu córki. Psycholog dziecięcy nie doszukał się symptomów molestowania podczas kilku spotkań z dziewczynką. W świetle wszystkich dowodów sąd zezwolił na powrót dziewczynki do domu. I wszyscy byli szczęśliwi. Marie, mama, ojciec, opieka społeczna. Tylko pani Ewa, która z takim przekonaniem mówiła w sądzie o tym, że Marie jest molestowana, nie była szczęśliwa. Była natomiast zaniepokojona i wściekła, bo zdawała sobie sprawę ze swojej bezsilności. Próbowwała też wielokrotnie, przed rozprawą, prywatnie rozmawiać z Marie, ale niczego z niej nie wyciągnęła. Niczego poza jednym. Ale to było już po. Kiedy odwoziła dziewczynkę do rodziców, dała jej wizytówkę ze swoim numerem telefonu i poprosiła, by dzwoniła lub przychodziła, kiedy tylko zajdzie taka potrzeba. Dziewczynka podziękowała i powiedziała coś, co utwierdziło Ewę w przekonaniu, że to jednak ona ma rację.

- Jestem dzisiaj starsza. Już się nie boję. Dam sobie radę.

W czwartek przed południem, dwa dni po powrocie Marie do domu, Ewa zastała ją w swoim gabinecie. Dziewczynka czekała na nią, siedząc na krześle, spokojna, skupiona, opanowana. Zmieniona.

Zanim Ewa zdążyła zapytać o cokolwiek, dziecko zaczęło opowiadać swoją historię.

- Zabiłam go, proszę pani. Zastrzeliłam go, bo znowu zaczął mi to robić. Przyszedł już pierwszej nocy.

Mamy nie było, pojechała z siostrą do szpitala, bo mała miała wysoką gorączkę. Kiedy wszedł przez moje zielone drzwi, mój azyl, moją drogę do wolności, kiedy zbliżając się do mnie, deptał moją wiarę i nadzieję, że jednak się zmienił, zmienił naprawdę, to ja już wiedziałam, że znowu się wszystko zacznie. Zaczął, gdy miałam dwanaście lat. Płakałam, prosiłam, żeby mnie nie krzywdził, ale nie słuchał, zakrywał mi ręką usta i gwałcił. Gwałcił moje dzieciństwo, moje usta, ręce, moją niewinność. Gwałcił i bezcześcił moje dziecięce marzenia. Był coraz bardziej brutalny. Najgorzej było, kiedy przychodził pijany, wtedy trwało to w nieskończoność. W końcu odważyłam się powiedzieć mamie. Nazwała mnie niewdzięczną kłamczuchą i uderzyła w twarz. Kiedyś, pewnej nocy, nakrył nas dziadek. Wszedł do mojego pokoju, bo wydawało mu się, że coś słyszy, mój płacz. Wszedł i zobaczył swojego syna, który mnie gwałcił. Nie wiem, co między nimi zaszło, co się stało, ale po kilku dniach znalazłam mojego ukochanego dziadziusia powieszzonego na strychu. Do dziś nie wiadomo, jak i dlaczego...

Któregoś dnia poszłam do sklepu, kupiłam puszkę zielonej farby i przemaalowałam drzwi na zielono. Bo mówią, że to kolor nadziei. Miałam nadzieję, że będą jak barykada, jak stalowa kurtyna, przez którą ON nie przejdzie. Ze ta zieleń ma magiczną moc. Ale że także w końcu kiedyś ktoś mi je otworzy. Moje drzwi do wolności. Chciałam z czarować rzeczywistość. Ale nikt mnie

nie uratował. Zbyt mało wiary? Czyjej? Mojej? Czy można wierzyć jeszcze mocniej?

I zeszłej nocy, kiedy znowu wszedł do mojego pokoju przez te zielone drzwi, kiedy powiedział, że strasznie za mną tęsknił, kiedy położył się obok, włożył mi rękę pod nocną koszulę, a sobie rozpiął spodnie, wyjęłam spod poduszki rewolwer i go zastrzeliłam. Zielone drzwi się nareszcie otworzyły i bez względu na to, co teraz ze mną będzie, jestem wolna. Choć tak naprawdę od tego, co było, nigdy już nie ucieknę.

Marie wyjęła z plecaka rewolwer i położyła na biurku.

Odpowiedziała Ewie na niezadane głośno pytanie:

- Ukradłam go rodzinie zastępczej. Niech pani powie mamie, że ją bardzo kocham i jej wybaczam. Imam nadzieję, że ona wybaczy też mnie. Zrobiłam to dla niej, dla siebie i dla mojej maleńkiej siostrzyczki, do której, jestem pewna, on też by zaczął przychodzić. I jej też mama by nie uwierzyła, skoro nie wierzyła mnie. Niech pani nie płacze. Jestem już szczęśliwa. Teraz już wszystko będzie dobrze...

Ewa nie mogła nie płakać, choć trzydzieści lat w zawodzie powinno ją uodpornić. Widziała przecież już tak wiele nieszczęścia... I właśnie dlatego płakała, bo wiedziała doskonale, że w życiu tej dziewczynki już nic nigdy nie będzie dobrze...

Niektórych tęsknot nie da się ukoić. O pewnych rzeczach nie sposób zapomnieć. Niektóre przeżycia zostawiają w nas siady na zawsze.

Janusz L. Wiśniewski, *Ślady*

Mona Moorea

Poszłam dziś do parku trochę popracować. Usiadłam na ławce i obserwowałam otoczenie - ludzi, zwierzęta, przyrodę. Piękna wiosna do nas przyszła, choć jak na maj było dość chłodno. Słońce pieściło moje policzki, wiatr delikatnie kołysał gałęzie drzew, poprzez których zazielenione liście przedzierał się błękit nieba. Zamknęłam oczy, zatrzymując ten obraz pod powiekami. I już chciałam powiedzieć: „Ufam ci, świecie”, ale... coś wypchnęło mi tę myśl z głowy, cofnęło słowa, do których wypowiedzenia składały się usta. Poczułam ukłucie w sercu i ścisnął mi się żołądek. Serce zaczęło walić jak szalone. Znam ten stan. To był strach. Otworzyłam gwałtownie oczy, bo coś sekundę wcześniej otworzyło mi uszy. Dlaczego ja tak nie znoszę skrzypienia? Moją uwagę przykuła mała dziewczynka kręcąca się na karuzeli.

No, dlaczego ja tak nie znoszę skrzypienia? Podłogi, kredek, śniegu pod butami. Bóle głowy zdarzają się coraz częściej, teraz także. Karuzela kręci się coraz szybciej, skrzypienie jest coraz głośniejsze.

*Mam na imię **Kasia** i jestem szczuplutką, śliczną pięciolatką, ale nigdy nie noszę sukienek, tylko zawsze przy duże spodnie, pod którymi ukryte są jeszcze jedne. To babcia owijała mi nóżki grubymi rajtuzami, a na nie zakładała jeszcze spodnie, mówiąc: „Jak cię tata będzie bił, to mniej będzie bolało”. Moje pierwsze wspomnienia -jest późna wiosna, jest ciepło, jest plac zabaw, a na nim taka stara, żeliwna karuzela. Ija na niej, trzyletnia brunetka, kręcąca się w półokrągłym siodełku, roześmiana i szczęśliwa. Wcale nie z powodu karuzeli, lata czy placu zabaw, tylko dlatego, że jestem u babci. A u babci nie było taty.*

Pierwsze lanie dostałam od niego, jak miałam trzy albo cztery lata. Nie mogłam mieć więcej, to na pewno, bo teraz mam pięć, to już trochę umiem przed nim uciekać, a wtedy jeszcze nie. Za co mnie zbił? Bo za głośno rysowałam i kredki mu skrzypiał. Miała być cisza. Czym mnie zbił? Tym, czym zawsze - szerokim, czarnym wojskowym pasem z ciężką metalową klamrą. Potem bił już regularnie, bez powodu i z powodem, nigdy zresztą tych powodów nie rozumiałam. Uważałam, że dzieci się bije i już. Ze to jest normalne. Tata był normalnym facetem, dużo pracował, bo mama siedziała w wariatkowie i sam mnie wychowywał. Witał się z sąsiadami, rozmawiał

z nimi przyjaźnie o pogodzie i wakacjach. To w domu zamieniał się w bestię. Nie zastanawiałam się dlaczego, nie skarżyłam się nikomu. Świat dorosłych jawił mi się jako świat pełen siniaków, pasa, przemocy. Lądowałam w szpitalu kilka razy w roku, na plecach miałam siniaki i nikt nigdy nie pytał, skąd się wzięły. Nikogo nie zastanawiało, dlaczego ja - chuda dziewczynka o ogromnych, brązowych oczach - nie chcę wracać do domu, mówię, że mocno boli mnie brzusek, i pytam, czy mogę tu jeszcze trochę poleżeć. Obiecowałam, że postaram się być cichutko i wcale, ale to wcale nie przeszkadzać. I nie będę dużo jeść. Mijał dzień za dniem, a ja nauczyłam się żyć ze strachem, z duszą na ramieniu i z siniakami na ramionkach i nogach.

Ja się nie skarżyłam, a wszyscy wokół udawali, że nic nie widzą. Bałam się. Miałam tylko jego. No i jeszcze babcię, która panicznie bała się swojego syna, a mojego ojca. Bałam się też powiedzieć na zewnątrz, co się dzieje, że nikt mi nie uwierzy, a tata jeszcze mocniej mnie skatuje. A co będzie, jak tatę wsadzą do więzienia? Przecież nie chcę, żeby tato szedł do więzienia, chcę tylko, żeby przestał „to” robić.

Kiedyś znalazłam na parapecie okiennym mandarynki. Wgramoliłam się na krzesło, chciałam powyglądać przez okno i zobaczyłam, że tam leżą - cała siateczka pomarańczowych, pachnących mandarynek. Byłam tak strasznie głodna. Zjadłam kilka. Były słodkie i soczyste.

Gdy tata wrócił z pracy, zauważył, że połowa owoców zniknęła. Nawet nie pytał, czy to ja je zjadłam. Zdjął swój wojskowy pas i bił mnie po całym ciele, nawet wtedy, gdy zaczęłam wymiotować. Zbił mnie także za to, że zabrudziłam mu dywan. Potem wepchnął mnie do łazienki pod prysznic i odkręcił wodę. Lodowatą.

Mona Moorea

Do świadomości przywróciło mnie mocne szarpanie i zimny policzek. Jakaś kobieta mnie uderzyła. To dwóch policjantów trzymało mnie mocno za ręce, coś do mnie mówiło. Strzępy słów nie chciały ułożyć się w choćby odrobinę sensowną, logiczną całość.

- Proszę zostawić tę dziewczynkę, niech ją pani puści - usłyszałam, gdy mózg wreszcie odzyskał sprawność.

Jaką dziewczynkę? Nic nie rozumiałam. Nagle poczułam, że tulię mocno do siebie tę małą z karuzeli. Ona płacze, nic nie rozumiejąc, a jej opiekunka histerycznie krzyczy.

W dali spostrzegłam znajomą postać - to Mitch biegł w moją stronę.

Później rozmawiał z policjantami, którzy uwolnili mnie ze swoich stalowych uścisków, gdy ja ze swoich objęć uwolniłam tę dziewczynkę. Zaczęłam rozmasowywać bolące ramiona. Chyba płakałam, bo poczułam tak dobrze mi znany słony smak na wargach.

Czasem patrzę na siebie w lustrze, a nawet nie patrzę, tylko po prostu czuję, że gasną mi oczy. Ktoś wygasił mi oczy, jak reflektory w teatrze. Usta się śmieją, a oczy cierpią.

Agnieszka Osiecka

Mona Moorea

Nie wiem, co się ze mną dzieje. Czuję się, jakby we mnie mieszkał jeszcze ktoś. Czasem jest spokojny, ale zazwyczaj się rozpycha, wierci i kręci, powoduje niepokój i chaos. Wtedy strasznie boli mnie głowa. Martwią mnie też moje coraz częstsze zaniki pamięci.

Znowu ktoś do mnie mówi we śnie. Kobieta. Głos ma delikatny, mówi niepewnie, ale w jej głosie jest mnóstwo emocji, prawdy.

Proszę cię, zamilknij już, bo nie zniosę tego dłużej. Moja głowa, tak strasznie boli mnie głowa! Chętnie dokonałabym dekapitacji, ból jest nie do zniesienia

To ostatnia myśl, którą pamiętam...

Pamięć, pamięć, mam potężne luki w pamięci...

Znajduję w swoim mieszkaniu ubrania, których nie kupiłam, bywa, że wraca mi przytomność

i zauważam zniszczone przedmioty, potłuczone lustra, mam zadrapania na dłoniach, czasem cięte rany. Wydaje mi się, że nie jestem sama, że nie tylko ja mieszkam w moim ciele.

Marilyn

Nareszcie mnie wypuściła! Boże, jaka ona jest nudna z tą swoją życiową filozofią wybaczenia, życzliwości, dobra. Obrzydliwie nudna. Taka niby poukładana, a pojęcia nie ma, że jest rozpieprzona na milion kawałeczków. Zbyt rzadko pozwala mi wyjść. Przez całe życie ktoś próbuje mną kierować, żałośni idioci, wydaje im się, że cokolwiek mogą, że mają na cokolwiek wpływ.

„Najchętniej rozerwaliby cię na strzępy. A ja chcę normalnie żyć, móc robić to, co wszyscy. Czasem przestaję wierzyć, że to kiedyś nastąpi. Poza tym potrzebuję samotności, jak każda twórcza osoba. Dlaczego oni nie umieją tego zrozumieć? Mam prawo do chwil prywatności, do tajemnic, którymi nie muszę się dzielić z całym światem. Lubię się śmiać, grać w gry, czasem poproszę jakiegoś chłopaka, żeby pożyczył mi rower, czuję się wtedy wolna, szczęśliwa, zapominam o wszystkich kłopotach. Kocham wiatr, uwielbiam, jak mnie dotyka.

Jako mała dziewczynka lubiłam bawić się w dom, można było udawać, że jest się szczęśliwą rodziną, tworzyć swoje własne życie, to były piękne chwile.

Nie umiałam być zwykłą kurą domową, miałam zbyt wiele marzeń. A z drugiej strony są takie dni, kiedy chciałabym być nikim - na przykład sprzątać ulice. Często mi się to zdarza, gdy idę spacerem do wytwórni. Ale chyba jest już za późno. Jestem artystką, aktorką, która może grać najróżniejsze role - może kiedy będę starsza, ktoś to wreszcie zrozumie. Ludzie myślą, że po prostu stajesz przed kamerą i zaczynasz grać - tymczasem aktorstwo to walka ze sobą, z graną postacią. Pewien aktor powiedział kiedyś, że całując się ze mną, czuł się, jakby całował Hitlera - jego problem. Jeśli mam grać scenę z kimś takim, włączam wyobraźnię i jego miejsce zajmuje ktoś inny. To też wymaga wprawy.

Prasa wyolbrzymia każdą moją wadę, ale kto ich nie ma? Na przykład nie potrafię być punktualna. Myślą, że moje spóźnianie się jest objawem arogancji. A prawda jest taka, że spóźniam się, bo trudno mi przełamać strach przed wejściem na plan.

Sława? Jest jak kawior - przyjemnie jest skosztować kawioru, ale codziennie, przez cały dzień - szybko się przejada. Sława ma dobre i złe strony - poznałam jedne i drugie. Sława i szczęście - to wszystko mija. Zresztą sierota nie jest w stanie zaznać w życiu prawdziwego szczęścia. Nie tyle sierota, co dziecko, któremu odebrano matkę. Nie miałam normalnego dzieciństwa. Niewiele było w nim zabawy, śmiechu, radosnych chwil. Może dlatego umiałam docenić każdy choć trochę lepszy czas w moim życiu. Zajmowałam się zawsze sobą, świat nie bardzo mnie

pociągał, wydawał się szary i ponury. Poza tym. czułam, że świat mnie nie chce, i nagle jakby się przede mną otworzył - ludzie zaczęli się do mnie uśmiechać, okazywać mi sympatię, nie znałam zupełnie realiów życia, musiałam się wszystkiego uczyć od początku, choćby co ile kosztuje.

Człowiek jest obdarzony płcią. Nie wiem, dlaczego ludzie traktują płeć jak coś ohydneho lub wstydliwego. Jeśli jestem gwiazdą, to nie dzięki wytwórciom czy im-presariom, ale dzięki zwykłym ludziom.

Zanim nie pojechałam do Korei, nie przypuszczałam, że działam na ludzi. Niektórzy nie wierzą, że istniejesz naprawdę, że masz swoje prywatne życie. Wytwórcie mówią, że jesteś produktem i tylko rozrywce masz służyć.

Boję się publiczności, tłumy napawają mnie przerażeniem, ale ludziom - pojedynczym ludziom - nie potrafię nie ufać. Bardzo często, gdy wychodzę z mojego nowojorskiego mieszkania, ktoś mnie zaczepia i mówi: »Cześć, Marilyn, jak się dzisiaj miewasz ?«. W jakiś sposób czuję się zaszczyczona. Najpierw pogwizdują, a potem krzyczą: »O Boże, przecież to Marilyn Monroe!«.

Czasem boję się wychodzić z domu, mam wrażenie, że każdy chce urwać dla siebie kawałek mnie, kawałek mojego życia. Nawet nie zdają sobie sprawy, jak jest mi ciężko"¹⁰.

¹⁰ Fragmenty ostatniego wywiadu z Marilyn Monroe dla magazynu „Life”, 3 sierpnia 1962 roku, dwa dni przed jej śmiercią.

Patrzę w lustro. Platynowe włosy, czerwona pomadka i jasny cień na powiece ozdobionej grubą czarną kreską. Jestem Marilyn.

Pójdę na spacer do parku. Wezmę książkę - kocham czytać - usiądę na ławce i zniknę.

I co się tak gapisz? Nie, to nie jest, kurwa, zlot sobowtórów sławnych ludzi, a ja nie jestem pieprzoną, marną, wręcz żalną kopia Marilyn. Naprawdę tego nie dostrzegasz? Przecież JA JESTEM Marilyn! Nie słyszałaś o niej? Ile ty masz lat, dziecino, że nie słyszałaś o Marilyn Monroe? Aha, czyli jednak tak. Tyle bzdur na swój temat dawno nie słyszałam. Prawdą jest, że przed nakręceniem każdej sceny siedziałam zamknięta w garderobie, targana dreszczami strachu, wypełniona tremą po brzegi i z całkowitym brakiem wiary w siebie. Bałam się, że jestem niedoskonała, beznadziejna, taka zwyczajna, nijaka. A gdy już wyszłam z garderoby i stawałam przed kamerą, przemieniałam się z larwy w motyla. Ale czy wiedziałaś, że kiedy już byłam wielką gwiazdą, wyjechałam z Hollywood do Nowego Jorku i zaczęłam uczęszczać do szkoły Lee Strasberga, by uczyć się aktorstwa metodą Stanislawskiego?

Krople łez zmywają czerwoną szminkę.

Zamilcz, kurwa, zamilcz! Znowu się nie popisałaś, ty żalona tleniona blondynko. Jest mi za ciebie wstyd. Jesteś nic niewarta, oni wszyscy mają rację, mówiąc, że jesteś tylko pustą lalą.

przypadkowe spotkanie z tobą jakby mnie Bóg pogładził po policzku
Maria Duszka

Mona Moorea - nowy początek

I kiedy już na nic więcej nie liczysz, gdy codziennie zrywasz kolejną kartkę z kalendarza, a sens twojego życia to pisanie i spotkania, na które jeździsz jak szalona, by choć przez chwilę nie czuć się samotna, wtedy zjawia się ON.

Układa cię od początku - widocznie lubi wyzwania - z chaosu emocjonalnego, odradzasz się zdrowa, mądra, rozsądna i ułożona.

Nowa ty. Tylko on wiedział, jak cię zbudować od początku. Tak, zbudować, nawet nie ułożyć. Poddawałaś się temu, zmęczona odwieczną walką z samą sobą, i z uśmiechem witałaś nową siebie. W sprawnych palcach utalentowanego rzeźbiarza powstawały kolejne części ciebie, byś w efekcie stała się tym, kim czułaś, że jesteś, ale nie umiałaś odszukać do siebie drogi.

Mijają dni, tygodnie i lata. Każdy dzień jest lepszy od poprzedniego, każdy tydzień piękniejszy od minionego, każdy rok scala was mocniej.

Najpierw jest myśl - a może by tak zaprosić małego człowieka na ten świat? Skoro chcemy wędrować razem do końca i mamy tego absolutną pewność, to dlaczego tylko we dwoje? Myśl kiełkuje, rodzi wiele innych, nie tylko tych „za”, ale i tych „przeciw”. Kolejno jedną po drugiej odrzucamy i choć kilka „przeciw” jest całkiem racjonalnych, to wysyłamy je do kąta i wybieramy podróż we trójkę. Myśl przeradza się w konkretny plan i realizację.

Tak, chcemy mieć dziecko. I kiedy wreszcie po sześciu miesiącach starań na teście pojawiają się dwie czerwone kreski... Tak smakuje szczęście.

Smak goryczy, rozpaczy i rozczarowania poznaliśmy kilkanaście dni później. Dopiero przywitaliśmy, a już musieliśmy żegnać. Krótka radość, długi smutek.

Tak wiele skrajnych emocji w tak krótkim czasie. I czujesz, że jesteście jeszcze bliżej, bliżej siebie, że te wszystkie problemy, przeszkody i dramaty są jak spoiwo, które łączy was już na zawsze.

A gdy po tym kolejnym trudnym doświadczeniu leżysz w jego ramionach, skóra do skóry, on mówi, a ty chłonisz i zapamiętujesz każde słowo, byle tylko nie zapomnieć, bo to piękne i ważne.

Oddycha spokojnie, twoja głowa na jego prawym ramieniu, lewym jesteś przykryta. Oddycha spokojnie i cicho mówi, głaszcząc cię po plecach:

- Zawsze chciałem, żebyś mi się zdarzyła...

Dzisiaj znowu piłam. Właściwie to sama nie wiem, która z nas sączyła czerwone wino. To taki substytut, pisarki nie zarabiają tak dobrze, by pijać Dom Péri-gnon, rocznik 1953, i zajadać się kawiozem.

Marilyn do ust by tego sikacza nie wzięła, nie mówiąc już o słonych orzeszkach. Przeczytałam, a może ona mi powiedziała, sama już nie wiem, ale czuję się tak, jakbym to przeżyła, że „kiedy była żoną Jima, piekła co drugi dzień chleb i próbowała różnych eksperymentów kulinarnych, które jej nie wychodziły. Potrawy dobierała raczej kolorystycznie, na przykład marchewkę z groszkiem. Nie miała doświadczenia w gotowaniu i często zdarzały jej się pomyłki, jak dosypanie do kawy soli. Jim uwielbiał łowić ryby, których ona nie potrafiła przygotować na obiad. Lubiała jeść kanapki z sałatą i tuńczykiem, a Jim dostawał do pracy lunch w postaci kanapki z zimnym jajkiem. W 1952 roku w czasopiśmie »Pageant« ukazał się artykuł, w którym aktorka opisywała swoją dietę. Na śniadanie jadła surowe jajko wymieszane z ciepłym mlekiem. Obiad składał się ze steku, wątróbki lub jagnięciny z dodatkiem surowych marchwi. Na deser jadła pucharek lodów z gorącą polewą krówkową.

Kiedy nie była na diecie, to jadła hot-dogi i hamburgery, ale jej największą miłością były steki z pieczonymi ziemniakami, na które często zapraszała swojego masażystę Ralpa Roberta"¹¹.

I tu zdecydowanie się różnimy, bo ja, jeśli jem mięso, to białe, okazjonalnie, nie dlatego, że jestem wegetarianką, ot tak, zwyczajnie, nie przepadam. Gotować, owszem, lubię. Moja kompulsywność sprawia, że wkręcam się we wszystko na tysiąc procent i nie potrafię ani zachować właściwych proporcji, ani przestać. I nie dotyczy to niestety wyłącznie kulinariów. Wkręcam się nie tylko w konfitury, liczone już na setki słoików, czy robione na drutach rękawiczki i szaliki, ale przede wszystkim w ludzi. Mogę kogoś pokochać i oddać za niego życie, ale gdy mnie skrytykuje, mogę także próbować mu odebrać jego.

Nadmierne troszczenie się i chęć pomocy innym wynikające z kompulsywności to podstawowy sposób przejawiania się nadmiernej zależności emocjonalnej. Kompulsywność, kompulsywność. Co to jest, do cholery? Czytam, czytam. Internet to wielka, gigantyczna biblioteka. Tyle że nie pachnie. Nie można niczego dotknąć, poczuć. A jeśli nie można, to czy w ogóle istnieje?

¹¹<http://www.marilyn-monroe.cba.pl/viewtopic.php?f=20&t=139&start=0>

Mówią, że mam rozszczępiony umysł. Należę do elitarnego grona jednego procenta ogólnej populacji w społeczeństwach cywilizowanych.

Twoje zdrowie, Marilyn. Gdziekolwiek jesteś, mam nadzieję, że świetnie się bawisz.

Dzwonek telefonu wyrywa mnie z tego zamyślenia. Wcale nie mam ochoty odbierać, ale to moja córka, Pati. Coś krzyczy w słuchawkę, nie rozumiem, o co jej chodzi, przecież powiedziałam wyraźnie (albo mi się tylko tak zdawało), że nie mam czasu z nią rozmawiać, bo uczę się tekstu nowej roli. I o co ten cały raban? Po co mam iść do lekarza, skoro nic mi nie dolega? Jestem perfekcjonistką, do każdego zadania podchodzę niezwykle poważnie, wszystko byłoby dobrze, gdyby nie ta panika, która nie pozwala mi wyjść z kampera, dlatego ciągle się spóźniam na plan. Kto jak kto, ale moja córka powinna to wiedzieć.

Prawdziwy świat jest tam, gdzie są potwory. Dopiero tam przekonujesz się, ile jesteś wart.

Rick Riordan, *Złodziej pioruna*

Mona Moorea

Gdy spojrzałam przez okno, ciepłe promienie wpadające do mieszkania zaprosiły mnie, by cieszyć się nimi pełniej, głębiej. Słońce to energia. Słońce to życie. Życ mi się chce, bardzo chce, ale energii mi brakuje, spontanicznie więc, tak jak stałam, w klapkach, byle jakiej sukience i całkiem *saute* odpowiedziałam na zaproszenie i wybiegłam z domu. Pędziłam przed siebie, jakby bojąc się, że jednak zmienię zdanie i zawrócę, a coś, jakaś nieznana siła, pchała mnie w stronę ciężkiego parkowego ogrodzenia. Gdy dotarłam do celu, zwolniłam, szłam spokojnie, tak jak zazwyczaj się spaceruje, gdy tak po prostu chce się odpocząć. Gdy celem samym w sobie jest tylko spacer. Rozglądałam się z ciekawością małego dziecka. Na ławce siedział starszy pan, bardzo mi kogoś przypominał. Szczupła twarz, błękitne, niemal przezroczyste oczy, siwe włosy. Siedział bez ruchu. Nagle

zaczął się kiwać - do przodu i do tyłu, a potem na boki, jak wahadło zegara. Ławka zaczęła skrzypieć. Dlaczego ta ławka skrzypiała?

Flesz. Jestem na poddaszu starego domu, kiedy idę, deski podłogowe przeraźliwie skrzypią. Mam trzynaście lat. Szukam go. Wołam. Odpowiada mi cisza. Na strychu suszy się pranie, białe prześcieradła powiewają jak skrzydła ptaka. Szukam wyjścia, trzepot prześcieradeł staje się coraz głośniejszy, nie mogę znaleźć drogi. Wołam go, wołam, by mi pomógł, ale nigdzie nie mogę go znaleźć. Skrzypienie wcale nie pochodzi z podłogi. Idę, zaczynam biec, strych jest ogromny. Odgarniam prześcieradła, by wydostać się z tego miejsca. Ostatni rząd, za chwilę zobaczę drzwi... Skrzyp, skrzyp, skrzyp - widzę go. Miarowo buja się na linie zawieszanej na drewnianej belce... Ma otwarte oczy i wyraz twarzy, którego nie zapomnę nigdy. Ból głowy pojawił się nagle i niemal rozłupał mi czaszkę...

Jestem Marie. Jeszcze mnie nie znacie, ponieważ rzadko wychodzę. Ona szczelnie zamknęła mnie w swojej głowie i tylko siłą udaje mi się wydostać na zewnątrz. Sama nie wiem, czy to dobrze, czy powinnam, może lepiej zostać w środku. Tyle że gdy tam jestem, to się duszę. Duszę się już tyle lat, że po prostu muszę czasami wyjść. Mam na imię Mańe i mam dwanaście lat. Siedzę skulona w schowku pod schodami. Tutaj jest mi najlepiej. Słyszę

jego kroki, ciężkie wojskowe buty zwiastują moją zgubę. Podłoga skrzypi pod ciężarem jego ciała, tak jak łóżko, gdy leży na mnie i mi „to” robi. Ojciec kilka dni temu przyszedł do mojego pokoju. Zamknął za sobą drzwi. Stanął nade mną. Przestraszyłam się. Zaczął odpinać klamrę ciężkiego wojskowego czarnego pasa. A potem suwak w spodniach. Chwył mnie mocno za ręce i nie swoim całkiem głosem wy sapął:

- Dotknij go.

Zobaczyłam jego penisa. Po raz pierwszy w życiu zobaczyłam.

Opierałam się. Złapał mnie mocno za włosy i wydał kolejną komendę:

- Weź go do ust i zrób mi dobrze, mała kurwo. Na pewno już wiesz jak. Widziałem cię z tym gówniarzem od Kowalskich, przyznaj, że się z nim gziłaś.

Siedziałam jak zamurowana, sparaliżowana. Nie mogłam uwierzyć w to, co się dzieje. W domu nie było nikogo poza nami.

Włożył mi go do buzi. To było straszne.

- Jeśli nie będziesz robiła, co ci każę, rozpowiem wszystkim, że jesteś małą kurewką, że mnie sprowokowałaś. Robiłem ci zdjęcia, gdy się kąpałaś, pokażę je wszystkim w okolicy. I przyprowadzę kolegów, żeby zrobili ci to, co ja. Tatuś cię nauczy, jak zrobić dobrze mężczyźnie, jeszcze będziesz mi za to dziękować. Ssij go, pokaż, jak kochasz tatusia.

Potem rzucił mnie na wersalkę. Kazał mi się rozebrać i ja to zrobiłam. Kazał mi się położyć i ja to zrobiłam. Kazał mi rozchylić nogi i ja to zrobiłam. Tyle lat rosłam wśród terroru, strachu, wypełniania poleceń, że nie wyobrażałam sobie, jak mogłabym mu się przeciwstawić. Wiedziałam, że mój protest na nic się nie zda.

Powiedział, że jestem szmatą, dziwką, że na pewno sama tego chcę, a jak komuś o tym powiem, to i tak mi nie uwierzą. A jak uwierzą, to za karę taką dziwkę jak ja odeślą do domu dziecka. Uciskał łokciem moją szyję. Tak mocno, że nie mogłam oddychać. Drugą rękę włożył mi do cipki. Zabolalo. A jeszcze bardziej, gdy włożył mi penisa. Zgwałcił. Bardzo bolało. Leciła mi krew.

Dzisiaj schowałam się pod schodami, bo wiem, że znowu chce mi to zrobić.

I wiem też, że mnie znajdzie.

Znalazł. Z czasem przestałam się chować. Pogodziłam się z sytuacją i zaakceptowałam ją, bo chciałam żyć, mimo że brzydziłam się i jego, i siebie.

Przychodził prawie codziennie, gdy wracałam ze szkoły, czasem nawet drugi raz w nocy. Już wiedziałam, co mam robić. Nauczyłam się nawet, jak muszę go dotykać, żeby „to” trwało jak najkrócej, żeby sobie poszedł. Jego przyspieszony oddech, nagłe zeszywnienie, jęk i opadnięcie - to dla mnie koniec koszmaru. Nienawidziłam, gdy mnie całował. Tego najbardziej. Jego dotyku, zapachu, wszystkiego, co z nim związane.

- Tatuś jest bardzo zadowolony ze swojej córeczki -sapał. - Tatuś kocha swoją dziewczynkę. A ty kochasz tatusia ? - pytał i wsadzał mi język do ust.

Zdarzało mu się, gdy mnie gwałcił, wy dyszeć pytanie:

- Dobrze ci, maleńka ? Czy tatuś ci robi dobrze ? No, powiedz, córeczko, dobrze ci tatuś robi? - pytał coraz natarczywiej i stawał się bardzo brutalny

- Tak, tatusiu, jest mi dobrze - odpowiadałam i połykałam łzy.

Gwałcił mnie też gumową pałką, wkładał ją w pupę, to bolało najbardziej. Mam na imię Marie i mam dwanaście lat. Dla mnie czas się zatrzymał.

Człowiek, który ma dzieci, nie potrzebuje aniołów.

Graham Masterton

Pati

Mam dwadzieścia pięć lat i jestem córką Mony. Jestem, a właściwie byłam, bardzo krótko, wolontariuszką w hospicjum. Nie ja jedna, jak się okazało, gdy poszukiwałam podobnych do mnie. Trafiłam na blog kobiety, która przeszła gehennę, zanim pogodziła się ze swoim darem. Czytałam z zapartym tchem wywiad z nią, udało mi się z Debrą skontaktować i to ona mi pomogła w oswojeniu się z moim darem, który początkowo odrzucałam, ze strachu i niezrozumienia. Historia Debry została opisana tak:

„Oglądanie ludzi po śmierci nie jest niczym niezwykłym, kiedy pracuje się w takim miejscu, ale spotkania ze zmarłymi, jakie przydarzały się jej, były zbyt upiorne, by można je było zignorować. Jej parapsychologiczne zdolności nie pozwalały na efektywne wykonywanie obowiązków. Potrzeba pomagania żywym ludziom, którzy pragnęli nawiązać

kontakt ze zmarłymi, była w niej tak silna, że zrezygnowała z pracy za 50 tys. funtów rocznie, by zostać medium. Debra zdała sobie sprawę ze swojego daru w 1999 roku, kiedy pracowała jako pielęgniarka. Zobaczyła wówczas kobietę chodzącą po oddziale i przesuwaną dłońmi po zasłonach, choć jej koleżanki widziały jedynie poruszające się zasłony. Debra, pochodząca ze Spennymoor w hrabstwie Durham, tłumaczy, że wiedziała o swoim szóstym zmyśle, kiedy rozpoczęła pracę pielęgniarki, ale decyzja o odejściu z zawodu zajęła jej 13 lat.

- Przez całą swoją karierę zajmowałam się zmarłymi - mówi Debra. - Zaczęłam od pomagania im w przejściu do innego świata, a teraz pomagam im nawiązać kontakt z tym światem"¹².

Stałam się jej fanką, czytałam każde słowo, które znalazłam o niej lub od niej.

„Debra, która jest żoną 47-letniego informatyka Frasera, z którym ma dwie córki, 17-letnią Charlotte i 11-letnią Katie, twierdzi, że zdała sobie sprawę ze swoich umiejętności w wieku trzech lat.

- Zawsze posiadałam dar kontaktowania się ze światem duchowym, ale będąc młodą dziewczyną, uważałam go za coś przerażającego - mówi. - Odczuwałam strach, gdy się budziłam i widziałam duchy

¹² <http://strefatajemnic.onet.pl/duchy/jestem-medium/zf26d>

w moim pokoju. Przykrywałam głowę poduszką i krzyczałam, aby sobie poszły. Kiedy dorosłam, przyzwyczałam się do duchów, które mówiły mi różne rzeczy. Pytałam mijane kobiety, czy wiedzą, że są w ciąży. Większość z nich była, ale ja szybko zrozumiałam, że nie mogę mówić takich rzeczy obcym ludziom. Powiedziałam nawet pewnej pani w salonie fryzjerskim, że w jej życiu nastąpi wielka zmiana, ale że wszystko skończy się dla niej dobrze, tylko musi w to wierzyć. Nie miałam pojęcia, co to znaczy, po prostu przekazywałam wiadomość.

Debra uważa, że to właśnie jej parapsychologiczne zdolności skłoniły ją do pracy w szpitalu.

- Mój dar pozwala mi odczuwać to samo, co pacjenci, ich ból i smutek - mówi.

Niedługo po rozpoczęciu pracy Debra zaczęła widywać chodzących po oddziale zmarłych ludzi, ale musiała się nauczyć utrzymywać te widzenia w tajemnicy. (...)

- W pracy pielęgniarki nie było miejsca na para-psychologiczny aspekt mojego życia - mówi. - Przez pewien czas byłam opiekunką na oddziale pacjentów w terminalnym stadium raka. Często widziałam gromadzącą się przy łóżku pacjenta rodzinę, która czekała, aby zabrać go na drugą stronę. Nigdy nie mówiłam o tym, co widywałam. Byłam profesjonalistką. Jest mi smutno, kiedy pomyślę, że mogłam przynieść ulgę tym ludziom, mówiąc im, że ukochani

po nich przyszli. Jedyne raz powiedziałam coś pewnej starszej pani - dodaje. - Parę lat wcześniej zajmowałam się jej synem, który zmarł na raka. Ona mnie nie pamiętała, a ja nie mogłam jej powiedzieć, że zajmowałam się jej synem z powodu tajemnicy lekarskiej. Pewnego dnia powiedziała mi, że czasami słyszy otwierające się drzwi i czuje, że on wchodzi do sali. Widziałam go przy jej łóżku wiele razy, więc powiedziałam jej, że nie mam wątpliwości, iż jej syn jest przy niej. To była wielka ulga dla tej kobiety, która nie miała na tym świecie nikogo, kto mógłby ją odwiedzić.

Debra bardzo się starała, aby jej współpracownicy nie dowiedzieli się o jej wyjątkowym darze. (...)

- Wielu pacjentów, którzy zmarli, włączyło się nocą po szpitalnych korytarzach, ale nigdy nie wspominałam o nich innym pielęgniarce. Nie chciałam, aby uznały mnie za szaloną.

Wszystko się zmieniło, kiedy w 2006 roku Debra dostała wysokopłatne stanowisko w państwowej klinice.

- Otrzymywałam wysokie wynagrodzenie za swoją pracę - mówi. - Powinnam być zadowolona, a byłam nieszczęśliwa. Zostałam pielęgniarce, ponieważ lubiłam zajmować się ludźmi, a tymczasem zabłąkałam się na ścieżkę prowadzącą mnie ku zarządzaniu. Czułam się zagubiona, więc zapisałam się na wizytę u medium, które okazało się oszustem

i powiedziało mi wiele bzdur. Później uzmysłowiłam sobie, że wizyta u tego oszusta pomogła mi docenić swój dar - dodaje. - Spędzałam wiele godzin w stresującej pracy. Pojęłam, że życie jest zbyt krótkie, by nie czerpać radości ze swojej pracy i że powinnam zostać medium.

- Nigdy wcześniej nie myślałam o zarabianiu na przekazach z innego świata - mówi. - Zawsze robiłam to za darmo, więc dlaczego teraz miałabym żądać pieniędzy? Za dnia wykonywałam swoją pracę, a wieczorami i weekendami pracowałam jako medium i przekazywałam pieniądze różnym organizacjom charytatywnym, w tym schroniskom dla kotów i organizacjom na rzecz leczenia nowotworów. Kiedy uznałam, że mam ustaloną reputację jako medium, porzuciłam pracę w zarządzaniu¹³.

Poznawanie historii Debry powodowało, że po moim ciele wędrowały całe zastępy mrówek, odnajdywałam wiele wspólnych mianowników. Miewałam też sny, w których widziałam umierających ludzi. Lub to, co miało wydarzyć się w niedalekiej przyszłości. Często jedno wydarzenie śniło mi się etapami, nie umiałam od razu posklejać tego w całość. Uświadamiałam sobie, że ja - zwykła dziewczyna, mam niezwykły dar.

¹³ <http://strefatajemnic.onet.pl/duchy/jestem-medium/zf26d>

Wiodłam zwyczajne życie, jak inni, niemający mediumicznych zdolności. Najbardziej jednak uciążliwe w posiadaniu tego daru jest to, że słyszy się głosy i widzi duchy. Często, gdy rozmawiam z żywym człowiekiem, widzę stojącego obok ducha i z nim też rozmawiam. Ludzie myślą, że czytam w myślach, bo potrafię dopowiedzieć czyjeś następne zdanie, zanim ktoś je dokończy, a to za sprawą ducha, który mi podpowiada. Zawsze kiedy kogoś poznaję, próbuję patrzeć mu w oczy i uważnie słucham każdego słowa. Jestem maksymalnie skupiona, nie mogę pokazać po sobie, że rozmawiam z kimś jeszcze. Duchowi się to nie podoba, chce być najważniejszy i bywa natrętny, rozprasza mnie. Obawiam się, że wyglądam wtedy jak obłąkana.

Ale jeśli mam być szczerą, raczej nie zamieniłabym tego daru na inny. Uczę się z niego korzystać jak najpełniej. Czasem znam odpowiedzi, choć nie znam pytań. Ale tak właśnie wygląda życie medium.

Ostatnio byłam bardzo niespokojna. To zawsze było zapowiedzią kolejnego snu.

- Mitch? To ja, Pati. Pewnie cię obudziłam.

- No coś ty, kto by tam spał o drugiej w nocy -odpowiedział ojczym ze śmiechem.

- Mam naprawdę ważną sprawę. Inaczej bym nie dzwoniła. Coś się stało mamie, coś bardzo, bardzo złego.

- Znowu masz te sny?

- Mam je od dziecka i nie przesadzam. Widziałam mamę w jakimś małym, ciasnym miejscu bez powietrza. Nie wiem, co to było, obraz był rozmazany, ale pamiętam, że szukała telefonu.

- To się akurat zgadza. Mona zawsze szuka telefonu.

- Mitch, ja mówię serio. Mama jest w niebezpieczeństwie i próbuje się z nami skontaktować. Masz jej grafik? Nie pamiętam, gdzie dzisiaj miała jechać. Chyba gdzieś daleko.

- Bieszczady.

- Mitch, widziałam las i polanę. W drugim śnie widziałam mamę zamkniętą w czymś w rodzaju trumny...

- Pati, przestań natychmiast!

- Przecież wiesz, że nie wymyśliłam sobie tego. Musimy coś zrobić, szukać jej...

- Pati, weź trzy głębokie oddechy. Mama była w Bieszczadach, a teraz jest obok mnie, zapewniam cię, że leży w naszym łóżku, bezpieczna, choć zmęczona.

- Nie mogłeś mi tego od razu powiedzieć?

- Gdybyś mi tylko dała dojść do słowa. Połóż się już, spróbuj zasnąć. Mama zadzwoni, jak się wyśpi.

Laura

Tydzień to stanowczo za mało, nie tylko na wstrzymanie okresu, ale nawet na naplotkowanie się na zapas.

Chociaż z drugiej strony, jeśli chodzi o plotkowanie, to zdążę się jeszcze nagadać, w końcu jadę do domu wielkiej siostry, a nie na bezludną wyspę.

Oczywiście nie liczę na szczerść tych rozmów, dlatego bardzo chciałabym spędzić czas z moją serdeczną, seksualnie wyzwoloną przyjaciółką Samantą.

Tak naprawdę urodziła się jako Stasia, ale w dwudziestym roku swego życia oficjalnie zmieniła sobie imię, bo -jak twierdziła - Staśka była obciachowa.

Umówiłam się z Samantą w pubie i wypiliśmy trzy dzbanki wina, przegryzając sałatką z kurczaka, absolutnie przepyszną.

Samanta stanęła na wysokości zadania i zadbała o to, by przyszedł na to wino także nasz kochający inaczej przyjaciel z czasów studenckich - Jerzy, także przechrzczony, na szczęście nieoficjalnie, na Jerryego.

Wiedziałyśmy z Samantą, jak bardzo Jerry chciał się pochwalić swoją ostatnią zdobyczą - supermodelem

Klaudiuszem - i doceniałyśmy fakt, że go ze sobą nie przyciągnął. Wyglądał przez to jak skisnięte mleko, ale przyjaźń to przyjaźń.

A tęsknota to tęsknota, i dlatego Jerry mniej więcej co kwadrans dzwonił do Klaudia i zapewniał go o swojej dozgonnej miłości. A tak naprawdę tego sprawdzał, jak podejrzewałyśmy. Gdzieś po trzecim dzbanku dołączyła do nas Klara, która wniosła do naszego towarzystwa chłód i dostojność królowej Elżbiety, ale i jej mądrość.

Królowa spojrzała pogardliwie na zawartość dzbanka, wzięła go do rąk, nie kryjąc obrzydzenia, i powąchała. Skrzywiła się i odstawiła dzbanek zupełnie tak, jakby odpychała od siebie korytko z chlewika.

- Doprawdy nie rozumiem, jak wy możecie to pić.

- Normalnie. Przecież to wino.

- No właśnie, zwyczajne wino - dodał Jerry. - Dajcie spróbować.

Upił łyk i spróbował się nie skrzywić. .

- Hm... smakuje jak... - szukał słów.

Samanta upiła także, zupełnie jakby zapomniała, że wydoiła już tego półtora dzbanka.

- No co? Smakuje jak... Jest bardzo podobne do... Samancie też zaczynało brakować słów. Ale to zrozumiałe, taka nagła amnezja po takiej ilości wina.

Jerry upił jeszcze łyk i aż podskoczył na krześle, jakby go pszczoła w tyłek użądliła.

- Mam, mam: „Karmazynowy przyptyw”!

- *Ee tam, wielkie mi rzeczy, też widziałam - odpowiedziałam, troszkę zdziwiona tą nagłą zmianą tematu. Ale cóż, Jerry często miewa takie przeskoki tematów.*

- *Nie, nie chodzi o film. Wino „Karmazynowy przyptyw”.*

- *Raczej odpływ - sprostowała Klara.*

- *Powiedziałabym, że splyw. Kanalizacyjny. -Samancie nagle uaktywniły się drzemiące do tej pory kubki smakowe.*

- *Znam to wino. Nieraz piję je z chłopakami, w celu zachowania dobrosąsiedzkich stosunków. Upijam łyczek i zmykam do domu, wypływam na klatce schodowej, bo przecież mogłoby mi zaszkodzić. Ale jestem pewien, że to „przyptyw”.*

Nagle Jerry przypomniał sobie o czymś, bo znowu poszedł do toalety.

- *Poszedł zatelefonować do Klaudia - wyjaśniłam Klarze.*

Jerry wybiegł jak halny z męskiego kibla i nadal wzburzony zaczął się trząść.

- *Jerry, kochanie, co się stało?- spytałam, próbując go trochę uspokoić.*

- *Nie odbiera, nie odbiera, nie odbiera! - zaczął wrzeszczeć piskliwie Jerry. - Klaudio nie odbiera.*

- *Może jest zajęty.*

- *Nie odbiera, nadal nie odbiera - znowu zapiszczał, po czym, tak jak nagle się zapalił, tak samo nagle zgasł. Opanował się i powiedział:*

- Oj, dziewczyny, co ja się będę denerwował - on się będzie denerwował, a to ja mam zszarpane nerwy od tych jego hysterii - przecież najważniejsze jest... -z tu Jerry wygłosił Pierwszą Złotą Myśl tego wieczoru - najważniejsze jest zaufanie. A jeśli nie ma zaufania, to wtedy najważniejsze jest TO!

I wyciągnął coś z kieszeni marynarki.

- Co to jest? - spytałyśmy wszystkie trzy równocześnie.

- Jak by wam to powiedzieć... - zaczął się zastanawiać.

- Zwyczajnie - powiedziałam.

- Szybko - dodała Samanta.

-I bez wulgaryzmów - rzuciła Klara. Jerry był zawiedziony, że nie może nas dalej trzymać w napięciu, ale widział, że nie ma szans, więc powiedział:

- To urządzenie do podsłuchu. Najnowszy wynalazek. Bardzo dużo mnie kosztował, ale czy miłość można przeliczyć na pieniądze?

- Kupiłeś podsłuch ? Przyczepiłeś pluskwę swojemu kochankowi i twierdzisz, że go kochasz? To teraz podsłuchuje się z miłości?

- Oj, Sami, ty w ogóle nic nie rozumiesz.

I tu Jerry się mylił. Samanta rozumiała wszystko, i to bardzo dobrze. Miała po prostu bardzo precyzyjny stosunek do seksu i nigdy niczego nie udawała. Co nie znaczy, że ja czy Klara udajemy.

- Skoro już przy tym jesteśmy... - zaczęła Klara.

- Niby przy czym?- wołałam się upewnić, ho może umknął mi jakiś wątek.

- Przy seksie - wyjaśniła.

- Przecież cały czas przy tym byliśmy, nawet na moment nie odbiegliśmy od tematu. Mimo że zwołałam was tu właściwie w innej sprawie.

Bardzo starałam się, żeby ostatecznie zdanie zabrzmiało jak wyrzut. W końcu to ja byłam gwoździem wieczoru, a przynajmniej takie było założenie

Klara zdawała się mnie nie słyszeć i kontynuowała:

- Ja też wczoraj kogoś poznałam. Jest boski. Znamy się tylko jeden dzień, a zadurzyłam się w nim po uszy.

Jeśli Klara się w kimsz zadurzyła, i to w takim ekspresowym tempie, facet musiał być naprawdę wyjątkowy. W związku z tym temat podsłuchu Jerryego został zdominowany nowym chłopakiem Klary. Ze już nie wspomnę, że spotkaliliśmy się dziś wszyscy, żeby omówić kwestię mojego odejścia do domu Wielkiej Siostry.

- Opowiadaj, Klara. Jaki on jest?

- Naprawdę wielki. I czerwony.

- Indianin ?

- Tak, z rezerwatu. Ostatni Mohikanin.

- Oj, to musi być naprawdę piękny. Oni byli tacy męscy. - Jerzemu naprawdę nie trzeba było dużo, taki był kochliwy.

- Penis, kochana, penis - podążyła z wyjaśnieniem domyślna Samanta vel Staśka.

- Łojtam, ale nam nowina. A widziałaś kiedyś zielonego albo niebieskiego?

- *Ja czasem widuję czarne - wyrwała się Samanta. - A niebieskie i zielone są wibratory.*

- *Mogę dokończyć czy nie? - Klara koniecznie chciała dorzucić nieco więcej szczegółów.*

- *Czerwony i ogromny. - Klara była bardzo oszczędna w słowach.*

Samanta upiła porządny łyk wina, zaciągnęła się dymem ze swojego mentolowego vouga i znudzonym głosem powiedziała:

- *Niunia, powiedz wreszcie coś, czego jeszcze nie wiemy. Czy poza tym posiada inne zalety? Czy umie, na przykład, mówić?*

- *Aleś wyskoczyła. To niby ma być zaleta? - Byłam niepokonana. - Gdzie go poznałaś? - Chciałam wiedzieć jak najwięcej.*

- *Natknęłam się na niego w sklepie - powiedziała Klara, ale zaczęła się plątać w zeznaniach. - Sam wpadł mi w ręce.*

- *Dobra, dziewczyny...*

- *Chwileczkę, a ja? - Jerry poczuł się pominięty*

- *Ja wiem, o co chodzi. - Samanta wyjęła puderniczkę i pomadkę. Najpierw przypudrowała nos, a następnie, celowo trzymając nas w napięciu, umalowała usta. - Z jednym Klara ma rację: wydarzyło się w jej życiu coś naprawdę wielkiego.*

Spojrzałam na Klarę i już wiedziałam, co za chwilę usłyszę od Samanty.

Wszyscy wiedzieliśmy, nawet Jerry.

Przysunęłam się do Klary, otoczyłam ją czule ramieniem i szepnęłam do ucha:

- Nie przejmuj się, Klara, przecież obydwie wiemy, że ten pierwszy raz musiał kiedyś nastąpić. Głowa do góry, to tylko wibrator, a nie strzykawka z heroiną.

Tak więc sprawa mojego uczestnictwa w reality show zeszła na dalszy plan, całkowicie zdominowana przez wibrator Klary.

Serce matki to przepaść, na której dnie zawsze znajdzie się przebaczenie.

Honore de Balzac

Pati

Byłam krnąbrna, nieodpowiedzialna i zbuntowana. Głupia też byłam, jak chyba każdy nastolatek. A moja mama zawsze była dla mnie dobrą, wyrozumiałą, kochającą i wybaczącą matką. Chciałam spróbować tego, o czym mówili moi rówieśnicy. I trafiłam na największe gówno, jakie jest dostępne na naszym narkotykowym rynku. Pojęcia nie miałam o istnieniu fencyklidyny, a tym bardziej o tym, że dosypują ją do skrętów z marihuany. Zawartość marihuany w mariuhuanie - znikoma. Za to fencyklidyna, owszem, jest - wystarczająco dużo, by zabić.

„Biały proszek, płyn, tabletki lub kapsułki. Ma właściwości znieczulające, przeciwbólowe i halucynogenne. Najczęściej jest palony - dosypywany do papierosów, dodawany do skręta z marihuany.

Najwyższe stężenie we krwi występuje po pięciu do piętnastu minutach. Wykrywalny jest przez kilka

tygodni. Czas działania to od czterech do sześciu godzin. Wywołuje euforię, rausz, zaburza mowę, upośledza koordynację wzrokowo-ruchową. Powoduje zmiany w obrazie ciała - np. wrażenie posiadania wielkiej, długiej ręki, zniekształcenie zmysłu dotyku. Większe dawki mogą wywołać sztywność, katatonię, puste spojrzenie lub przeciwnie - nadpobudliwość, agresję i nadmierną ruchliwość. Ponadto występuje pocenie się, przyspieszona akcja serca, wzrost ciśnienia, szybkie ruchy gałek ocznych. Powoduje zaburzenia toku myślenia, trudności w zapamiętywaniu, problemy z mówieniem (jąkanie się), ataki lęku i paniki"¹⁴.

W Wielką Sobotę wzięłam naszykowany przez mamę koszyk ze święconką i poszłam do kościoła. Po drodze spotkałam się z dilerem, który z wielkim oddaniem wykonywał obowiązki posłańca śmierci i dilował dwadzieścia cztery godziny na dobę. Niepostrzeżenie wsunął mi torebkę z towarem do kieszeni, a ja wsunęłam mu kilka banknotów. Grzeczna i zdyscyplinowana jak zawsze, wróciłam do domu, odstawiłam koszyk ze święconką na kuchenny stół i poszłam do łazienki, aby wziąć długą kąpiel. Odkręciłam kurek i woda zaczęła lecieć żywym strumieniem. Uchyliłam okno, usiadłam na brzegu wanny

¹⁴ <http://www.psychologia.net.pl/slownik.php?level=114ości>

i upewniwszy się wcześniej, że zamknęłam drzwi na zamek, zapaliłam skręta. Zaciągałam się mocno, wydmuchując dym przez okno. Zapaliłam drugiego. Paliłam aż do chwili, gdy woda wypełniła wannę, rozebrałam się i zanurzyłam w ciepłej kąpeli. Po kwadransie poczułam, że moje ciało przestaje być moje, że zapada się w wielką otchłań, otchłań bez dna. Chciałam krzyczeć, ale ktoś wyciął mi struny głosowe. Próbowałam podnieść dwumetrową rękę, chwycić brzeg wanny i wydostać się, lecz nie mogłam. Ciało wiotczało. Ostatnim nadludzkim wysiłkiem udawało mi się utrzymać przez chwilę głowę nad powierzchnią wody. Potwór, który wyrwał mi wcześniej struny głosowe, teraz mnie topił. Kiedy ostatni pęcherzyk powietrza zatańczył na lustrze wody, poczułam, że przegrałam. Włosy ułożyły się w aureolę, otaczając moją głowę, ciało opadło bez sił. Oczy, wciąż otwarte, wpatrywały się w jasne błękitne niebo, którym w tej chwili stał się sufit łazienki. Ostatnią rzeczą, jaką zarejestrowały źrenice, była twarz mojej mamy, pochylająca się nad moim niemal martwym ciałem. Silne szarpnięcie matczynych ramion wyrwało mnie z objęć zbyt wcześnie triumfującej Śmierci. Matka wyważyła drzwi do łazienki, zaniepokojona ciszą i brakiem odpowiedzi na pytania, których nie słyszałam. Tknięta złym przeczuciem po prostu wyważyła drzwi, nie zastanawiając się wcale, jak to możliwe, że drobna, ważąca

pięćdziesiąt kilogramów kobieta ma tyle siły. Nie myślała o tym także, gdy jednym szarpnięciem wyciągała bezwładne ciało córki z lodowatej wody.

Przywróciła mi oddech i masowała serce, a potem ogrzewała moje zmarznięte ciało swoim własnym, płonącym ze strachu. Obie - ta lodowata i ta gorąca - czekałyśmy na wezwaną już pomoc. Sinofioletowy kolor skóry Lodowatej stawał się na powrót bladoróżowy. Gorącej spadała temperatura i serce zwalniało bieg. Łzy mieszały się z wodą kapiącą z włosów na moją twarz. Świat, który zamilkł na tych kilka minut, odzyskiwał głos. Powietrze odzyskało swoją dawną gęstość, skrawek błękitnego nieba znów był tylko sufitem. Anioł Życia wygrał z aniołem Śmierci, który obsypał mnie pyłem ze swoich skrzydeł.

Nie wiem jak Wy, aleja uwielbiam jesień. Zagrzane wino, gorącą czekoladą, pachnący cynamonem dom. Za ciepłe koce i zaparowane okna. Za mgłą, która wita mnie rano. Za świece rozpalane nocą.
Johann Wolfgang von Goethe

Mona Moorea

Mitch jest taki kochany, że mogłabym go zjeść. Gdy wracam z trasy, czeka na mnie kąpiel w wannie z hydromasażem i pyszna kolacja - jestem tak głodna, że smakowałby mi nawet chleb z samym masłem, choć mój Skarb bardzo się stara, by masło nie czuło się samotne, i zazwyczaj dorzuca kawałek smacznej wędliny.

Donat lub muffin na specjalne okazje. Głównie teoretycznie, bo dbamy o linię. On o moją, ja o linię donata. Skarb masuje mi kark i stopy i czeka, bym opowiedziała mu ze szczegółami, jak było.

I pod żadnym pozorem nie pozwala nikomu mnie budzić
- Cześć, córciu. Podobno dzwoniłaś w nocy. Mitch mówił, że znowu masz te sny. Co tym razem ?
- To Mitch ci nie powiedział? - spytała Pati.

- Skoro pytam, to raczej nie.
- Właściwie to już zapomniałam, mamó. Widocznie nic ważnego. Lepiej powiedz, jak było na wczorajszym spotkaniu? Przyszli jacyś ludzie czy były tylko wilki?
- Były wilki, cała wataha, wpadły dwa brunatne niedźwiedzie, a pod koniec prelekcji przyszła mocno spóźniona para żubrów. Kupili trochę książek.
- Bardzo śmieszne -Ty zaczęłaś.
- No to teraz serio. Jak było, mamuś?
- Cudnie, jak zwykle, córeczko. Przemili ludzie, niezwykle wrażliwi i empatyczni. Oni żyją tam nieco wolniej niż my tu, w mieście. Grzyby marynowane dali, jagody w syropie i miód. Ale wiesz co, córeczko? Wydarzyło się coś, czego nie rozumiem. Po skończonym spotkaniu podeszła do mnie pewna kobieta i zachowywała się tak, jakby mnie znała. A co ciekawsze - zwracała się do mnie imieniem Laura. Była zaskoczona, że zostałam pisarką. I w ogóle mówiła, że nie poznaje mnie, bo tak bardzo się zmieniłam, że jestem kimś zupełnie innym. A przecież piszę od zawsze i od zawsze jestem taka...
- Pokręcona, postrzelona, a czasami zamieniasz się w mentora, powiedziałabym nawet - w guru.
- A ja chciałam powiedzieć, że jestem nudna. -I co z tą kobietą? Przedstawiła się?

- Ma na imię Klara. Kompletnie jej nie pamiętam. Staralam się być miła, ale chyba i tak się obraziła. Powiedziała pod nosem coś w stylu: „Woda sodowa jej do głowy uderzyła i przyjaciół nie poznaje”, i poszła. Smutna była. Humor mi zepsuła.

- Nie myśl o tym. Ludziom często się wydaje, że cię znają. A może to wariatka? Powiedz lepiej, czy dali jajka i swojską kiełbasę.

- A jajka i swojską kiełbasę kupisz na Górnaku. I przestań już kpić, bo zjem wszystko sama.

- Mamuś, to dzisiaj odpoczywasz? Kiedy znowu gdzieś jedziesz?

- Miałam mieć kilka dni wolnego, ale wpadło mi nieplanowane spotkanie, dobrze płacą, to wzięłam.

Poczułam dreszcz przebiegający po plecach. Spytałam:

- Tym razem dokąd?

- Góry Sowie. Pięknie, prawda?

- Kiedy jedziesz?

- Już jutro. Wpadniesz dziś na obiad? Zrobię coś z kuchni meksykańskiej. Albo z hiszpańskiej. Masz ochotę?

- Jasne, mamusiu. Opowiesz mi o wszystkim, gdy się spotkamy.

- Pati, jeszcze jedno. Ta kobieta, Klara...

- Mamo... To nie jest warte zastanawiania się nad tym. Musisz odpocząć, skoro znowu jutro jedziesz.

- Ona powiedziała, że jestem podła i bez serca, bo zostawiłam Antoniego bez słowa. On ciągle czeka. Szukał mnie, wszyscy mnie szukali, ale zapadłam się pod ziemię.

- A kim jest ten cały Antoni?

- Hmm, chciałabym to wiedzieć...

Gdybyśmy znali swoją przyszłość, prawdopodobnie przesiedzielibyśmy życie w fotelu ze strachu przed nią. Ja z całych sił pragnęłam żyć.

Teraz zastanawiam się, czy znam swoją przeszłość.

Laura

Antoni przyjechał nieproszony i zaproponował spacer. Co ja tam będę łąziła z obcym facetem po lesie? Herbata z arszenikiem to co innego. Ale arszenik się skończył, więc herbata była z konfiturami z malin. No, ale żeby od razu do lasu? Jeszcze sobie facet pomyśli, że jestem łatwa. Po chwili namysłu wzięłam Antonia na smycz i poszłam z właścicielem samochodu moich marzeń do lasu. Śnieg skrzypiał nam pod butami, drzewa wyglądały magicznie i udzielił mi się ten nastrój, albo też doznałam jednak jakiegoś wstrząsu w wyniku wypadku, do którego nie doszło, bo pozwoliłam Antoniemu wziąć się za rękę. Mój pies, gdy to zobaczył, zrobił groźną minę, warknął i zmarszczył nos. Samiec to samiec, każdy ma silne poczucie własności, czy chodzi na czterech łapach, czy dwóch. Im głębiej w las, tym więcej drzew, i tym Laura łatwiejsza. Gdzieś między jednym zaśnieżonym świerkiem a drugim stała się rzecz niesłychana: pani pocałowała pana. Muszę koniecznie udać się do szpitala, bo bez dwóch zdań na mózg mi padło.

Chociaż, z drugiej strony, Staśka na moim miejscu już dawno by się gziła z Antonim i wywijala gołą dupą po

śniegu. A ponieważ ja jestem mniej wylewna i bardziej powściągliwa, po prostu go pocałowałam, ku własnemu zaskoczeniu. No właśnie, chyba z powodu mojej powściągliwości byłam już trzy razy zameżna. Czy wspomniałam, że jestem potrójną wdową?

Będąc pod wpływem silnego narkotyku, jakim niewątpliwie jest fenyloetyloamina wydzielająca się z nieznanymi mi powodów w moim mózgu, zaczęłam snuć Antoniemu opowieść.

Mój pierwszy mąż był elektrykiem pozbawionym zdolności lekkoatletycznych - nie umiał skakać. Jak się szybko okazało, również niewielkie pojęcie miał o elektryczności i usiłował ciąć przewód elektryczny, gdy ten był podłączony pod zasilanie 380 volt. Usiłował, bo nie dość, że nie uciął, to jeszcze tego nie przeżył.

Opuścił mnie po zaledwie pół roku małżeństwa. Tak że nie zdążyłam się z nim dobrze zżyć. Nienauczona doświadczeniem z pierwszego małżeństwa, wyszłam za sapera. Zostawił mnie dla innej - na imię jej było Przeciwpancerna. Mina Przeciwpancerna. Wlazł na nią, jak typowy samiec włazi na samicę - była średnio atrakcyjna, ale za to wielkości krowiego placka. Oczywiście zamaskowana. Nie zauważył, ale i nie wyczuł. I poleciał. Trumny na pogrzebie nie pozwolili otwierać, aja nie nalegałam. Wolałam pamiętać Tomka takim, jaki był w jednym kawałku. Co się będę rozdrabniać. Tomasz saper opuścił mnie po roku małżeństwa. Też się nie zdążyłam do niego przyzwyczaić, bo ciągle gdzieś coś rozbijał.

Po tym traumatycznym wydarzeniu spakowałam walizki i pojechałam na wakacje w środku roku. Otworzyłam atlas, zamknęłam oczy i pomyślałam: gdzie postawię palec, tam jadę. Padło na Hiszpanię, na moje szczęście. Bo gdyby wypadło na Alaskę lub Antarktydę, też bym musiała jechać, a strasznie nie lubię zimna. No i tam, w samym sercu Hiszpanii, wyszłam za mąż za Antonia o gorącym sercu - cholera, jak gorącym. Jak już wspomniałam, Antonio również był uprzejmy mnie opuścić, równie szybko, bo po pięciu miesiącach. Tym razem z powodu faceta. Byk niewątpliwie ma penisa, i to niewyobrażalnie dużego. W tej konkurencji nawet czarne penisy Samanty muszą się schować. Gdy uznałam, że już wystarczająco zniechęciłam do siebie Antoniego numer trzy (jasne, że numer trzy, bo niby dlaczego ma być przed moim psem, skoro był ostatni?), zakończyłam opowieść, jednocześnie konstatując, że Antonio - pies - unosi nogę i sika na Antoniego - faceta.

Udałam więc, że nie widzę, podziwiając zaśnieżone czubki drzew. Może i Antoni by nawet nie zobaczył, że Antonio go obsikuje, ale na pewno to poczuł. Zachował się jednak z godnością, w przeciwieństwie do mnie, i po prostu spytał, czy w związku z tym drobnym incydentem mogłabym go zaprosić ponownie na herbatę, a on w tym czasie sobie u mnie zrobi małą przepierkę. Jeszcze czego. U siebie w domu to ja robię pranie. Do herbaty dolałam rumu, bo nieco zmarzliśmy w tym lesie, choć starałam się

opowiedzieć historię moich małżeństw w telegraficznym skrócie. Mimo tego, zanim wróciliśmy do domu, brzeg spodni zdążył już zamienić się w sopelek lodu.

Nie było sensu czekać, żeby odtajał, poprosiłam więc, żeby Antonio zdjął te obsikane spodnie, w zamian częstując go moimi spodniami do fitnessu.

Przezabawnie wyglądał w dresie w kolorze Barbi. Dzięki temu zauważyłam, że jego czarne włosy, gdzieniegdzie poproszone lekką siwizną, wspaniale współgrają z różowym. Powinien nosić różowe koszule, no, może niekoniecznie ten odcień, ciemniejszy też może być.

W łazience miałam okazję odnotować, że mój pies obsikał gucciego. Po wysuszeniu spodni suszarką, oddałam je właścicielowi, a ten zrobił przeproszającą minę, wskazując na metkę, jakby uznał, że musi się przede mną wytłumaczyć z noszenia ubrań od Gucciego.

- Jestem oszczędny - wyjaśnił.

Jasne. Jest oszczędny, więc nosi Gucciego. Ja też jestem oszczędna, ale w mojej szafie nie ma kostiumów od Coco Chanel, nie licząc tego z hiszpańskiego second handu.

- Uważam, że lepiej i korzystniej jest wydawać pieniądze rządziej, ale za to na coś porządnego.

A proszę bardzo. W komplecie od Chanel mogę chodzić na okrągło.

Najbardziej intrygowało mnie, dlaczego Antoni nie skomentował moich małżeńskich przygód.

W końcu zdobyłam się na odwagę i spytałam go o to wprost. Oto co właściciel obsikanych spodni oraz mitsubishi pajero miał do powiedzenia w tej kwestii:

- Pierwszy mąż powinien być o dziesięć lat starszy, żeby się kobietą opiekował. Drugi powinien być jej równo-latkiem, żeby się wy szalała. Trzeci zaś powinien być o 10 lat młodszy, żeby kobieta do końca życia o siebie dbała.

No to wszystko jasne. Po pierwsze, nic nie wspomniał o czwartym mężu, czyli nie bierze pod uwagę siebie. A po drugie, jeśli chodzi o mnie, to nic się nie zgadza.

Dzieciństwo to miejsce, gdzie mieszka się przez całe życie.

Rosa Montero

*Temu, co umarło, trzeba pozwolić umrzeć. Temu, co żyje,
trzeba nieraz pomóc żyć.*

Frida Kahlo

Mona Moorea

Nie mam pojęcia, kto i kiedy pozwolił Pati zaanektować moją szafę. Pewnie znowu za moimi plecami dogadała się z Mitchem. Mają cichy pakt. No, nie żeby spiskowali przeciwko mnie, ale o pewnych sprawach nie wiem, bo - jak twierdzą - wiedzieć nie muszę. Jasne, że nie, ale bez przesady - moja szafa jest moja i trzymam w niej moje ubrania. Od dłuższego już czasu zauważyłam, że część ubrań nie należy do mnie. W życiu bym sobie czegoś takiego nie kupiła. Dzisiaj szukałam czegoś odpowiedniego na spotkanie autorskie, dla odmiany nie czarnego, i ze zdumieniem odkryłam mnóstwo... czerwonych koronkowych bluzek, kobaltowe sukienki, minispódniczki, ale największe zaskoczenie było przy butach

- niebotyczne szpilki, rodem z filmów porno. Szczerze mówiąc, myślałam, że moja córka ma lepszy gust. Bo nie przypuszczam, by Mitch w wolnych chwilach wbijał się w te koronkowe kiecki i śmigał w butach na koturnach. Zadzwoiłam do niej z awanturą, bo przecież mogłaby chociaż spytać, czy może przejąć moją szafę, ale wydawała się szczerze zdziwiona. Powiedziała, że swoje ubrania trzyma w swojej szafie, a ja mogłabym trochę rozsądniej wydawać pieniądze, skoro tak ciężko na nie pracuję. W sumie to miłe, czasem zastanawiam się, kto tu jest czyją matką. Tak czy inaczej nie przyznała się do tych ubrań. Więc spytałam Mitcha. Też się nie przyznał. Ale za to spytał, czy wiem, kim jest Jerry. Jedyne Jerry, jakiego znam, to ten z kreskówki Disneya. Był myszą, zdaje się.

- A co? - spytałam, bo Mitch miał bardzo poważną minę.

- Bo dzwonił dziś do ciebie. Wspominał coś o jakiejś Klarze, ale pytał o Laurę.

- Szkoda, że nie o swojego kumpla, kota Toma -roześmiałam się.

Spojrzałam na Mitcha - zdecydowanie nie było mu do śmiechu.

Nie znam ani Jerry ego, ani Klary, ani Laury. Choć wydaje się, że oni znają mnie.

Placz cudzego dziecka rani uszy, płacz własnego - serce.

Ryszard Podlewski

Pati

Mama zawsze mi wierzyła, kiedy mówiłam to, w co inni wątpili, nazywając mnie wariatką, czarownicą lub oszustką. Mama zawsze mi wierzyła, nigdy nie musiałam jej przekonywać, że naprawdę rozmawiam z duchami. Nie dość, że mi ufała, to z jakiegoś powodu zachęcała mnie, bym z większą odwagą korzystała z mojego daru. Nawet wtedy, gdy...

Nigdy nie poznałam mojego pradziadka. Ta historia owiana jest mroczną tajemnicą, mama ma ich wiele. Nigdy nie dopytywałam o jej przeszłość, dzieciństwo, mówiła tylko tyle, ile chciała, a ja wiedziałam, czułam, że to musi mi wystarczyć. Nie znam też swojego dziadka, a to, zdaje się, jeszcze bardziej mroczna tajemnica. Mama mówi, że dziadek nie żyje od dawna. I tyle. Ani słowa więcej. O mojej babci, a swojej mamie, rozmawiać nie chce. Nie ma też żadnych zdjęć z dzieciństwa. Poza jednym. Jest

na nim ona - siedzi na kolanach siwego mężczyzny o pięknych, mądrych, spokojnych oczach. Widać, że łączy ich coś szczególnego, wielka miłość i bardzo silna więź.

Wychowała mnie mama, która nie ma przeszłości. To znaczy ma - każdy jakąś ma, ale ona nie chce o niej opowiadać. I ja to szanuję. Domyślałam się, że musiał istnieć konflikt, coś, co poróżniło ją i jej rodziców. Nie przypuszczałam jednak, że ta historia to aż tak wielki dramat.

- Oni wszyscy nie żyją - powiedziała kiedyś mama i ucięła rozmowę. Nie drażyłam, choć ciekawość dziecka nieraz prowokowała do rozmowy, do szperania w domowym archiwum. Ale ono było puste. Więc z czasem odpuściłam. Przywykłam i pogodziłam się z brakiem dziadka, babci. Z tajemnicą pradziadka. Aż do tamtego dnia, gdy poszłam na strych powiesić pranie.

Usłyszałam kroki, nie powiem, że się nie przestraszyłam. Ale zawsze bałam się żywych, a nie umarłych. Wtedy już widziałam duchy, więc szybko odrzuciłam strach i zaczęłam się rozglądać. Nikogo nie widziałam, więc postanowiłam zachęcić, ośmielić ducha, i powiedziałam:

- Nie bój się, chcę ci pomóc. Będzie mi łatwiej, gdy mi się pokażesz. Mam na imię Patrycja, ale możesz mówić do mnie Pati. Tak mówi do mnie mama.

Podłoga zaskrzypiała, zrobiło się bardzo zimno. Byłam pewna, że nie jestem sama. Przeciąg zamknął drzwi i okna na poddaszu.

- Jesteś bardzo do niej podobna. Gdy byłaś mała, wyglądałaś identycznie jak ona w twoim wieku -usłyszałam spokojny, męski, ciepły głos.

Jeszcze nie wiedziałam, do kogo należy, ale poczułam się bezpieczna. Ktoś się zbliżał, podłoga skrzypiała coraz głośniejsze i coraz bliżej mnie.

Serce wpadło w galop, drżałam z podniecenia, kogo za chwilę zobaczę.

- Znałeś moją mamę? Czy była ci bliska? - mówiłam jeszcze w próżnię.

- Znałem i kochałem. Była całym moim światem. Ale musiałem ją zostawić. Nie chciałem, ale musiałem. Bo on zagroził, że jeśli tego nie zrobię, zamorduje ją. - Spokojny głos załamał się i zapanowała cisza.

Kroki ucichły. Nasłuchiwałam.

- Jesteś tu jeszcze? Zostań, proszę. Chcę cię zobaczyć, porozmawiać. Jak mogę ci pomóc?

- Jestem i nigdzie się nie wybieram. Opowiem ci wszystko. Ale tylko jeden raz. Wiem, że już jesteś na to gotowa, i wiem, że musisz o tym wszystkim wiedzieć. Żeby jej pomóc. Bo to nie ja, lecz Mona potrzebuje pomocy.

Znowu usłyszałam kroki. I zobaczyłam go. Najpierw obraz był zamazany, ale po chwili nabrał

ostrości. Zbliżał się do mnie mężczyzna z jedyne go zdjęcia, które przechowywała mama. Mężczyzna, na którego kolanach siedziała i który był dla niej wszystkim. Dziadek mojej mamy. Jego duch.

Czasem obracam się i czuję w powietrzu twój zapach, i nie mogę, kurwa, nie mogę nie wyrazić tego potwornego, kurewsko koszmarne go fizycznego bólu kurewskiej tęsknoty za Tobą.

Sarah Kane

Mitch

Nie powiem, że było mi łatwo. Jej absolutna niezwykłość była jednocześnie fascynująca i cholernie trudna. Ale to właśnie cała ona, z nagłymi wybuchami złości i pokręconym charakterem, raz była słodkim, delikatnym dzieckiem, a za chwilę dziką i namiętą kobietą... Przyznaję, były chwile, gdy chciałem się poddać. Zawsze jednak przychodził moment refleksji, toczyłem wewnętrzną walkę i prowadziłem monolog.

Pozwoliła mi przeczytać jedno ze swoich opowiadań, byłem dumny, że mogę być pierwszym recenzentem. Gdy skończyłem czytać, zrozumiałem powód. Bała się tak samo jak ja.

Kiedy się obudziłam, ona już była. Siedziała sobie spokojnie na fotelu i beczelnie na mnie patrzyła. Bez

żadnego skrepowania, choćby udawanego wstydu, w końcu jej nie zapraszałam.

-A co ty tu robisz? - spytałam, przecierając oczy ze zdumienia

- Zdziwiona? - odparła hardo.

- No raczej. Mogłaś zadzwonić, wysłać email, fax, telegram lub krótki SMS. Nie spodziewałam się ciebie.

-Ioto chodzi. Nie spodziewajcie się niespodziewanego, a ono przyjdzie.

- Jednak mogłaś uprzedzić. Posprzątałabym.

-A po co? Przecież i tak ci wszystko poprzestawiam do góry nogami.

- No to fakt. Wywrócisz mi świat i jak zwykle sobie pójdiesz. Tak nagle, jak się pojawiłaś.

-A to akurat od ciebie zależy.

- Weź mnie nie rozśmieszaj. Kto cię nie zna, to cię kupi.

- Podobno. Tak słyszałam. Ale wszystko, co niby jest mną, a trzeba za to zapłacić, to zwykły fejk. Mnie nie można kupić.

- Bosze, to metafora była, no.

- Bosze, wiem przecież. Co ty myślisz, że ja taka głupia jestem?

- Bez urazy, ale czasami nawet bardzo. I w ogóle to co się tu tak rozsiadłaś? Zostać zamierzasz na dłużej?

-A gdyby nawet, to co ty na to?

- Wiesz, co ja na to. Przychodzisz co jakiś czas i nic się nie zmieniło. Dlatego naprawdę następnym razem zadzwoń.

- Skąd pewność, że będzie następny raz ? -I tu mnie masz.
- Więc? Mam sobie pójść?
- Tak. Ale jeszcze nie teraz. Chcę cię tylko dotknąć, musnąć opuszkami palców, poczuć twój zapach. Pięknie malujesz świat na różowo, ale zbyt dobrze pamiętam, że malujesz go potem na czarno. Więc troszkę się tobą pozachwycam, pooddycham tobą i puszcze wolno.
- Postanowiłaś zostać tam, gdzie jesteś? To załóż kaptur, bo ci się zsunął.
- Zdjęłam, bo chcę cię lepiej widzieć. Lewą ręką trzymam się kurczowo gałęzi drzew sherwoodzkiego lasu, do którego zesłałam się sama, zostając banitką, a drugą chcę cię trochę podotykać. Nacieszyć się, skoro już się do mnie pofatygowałaś. Ale nie zostaniesz dłużej niż na herbatę.
- Podejdź bliżej.
- Nie ze mną te numery. Ja podejdę, a ty mnie wypełnisz całą i się ciebie nie pozbędę. Dziękuję.
- Robię krok do tyłu.
- Udajesz, że mnie nie ma? Myślisz, że jak zamkniesz oczy, to zniknę?
- Mam nadzieję.
- Nadzieja to moja serdeczna przyjaciółka. Nie licz, że ci pomoże.
- A wiara? Jest jeszcze wiara.
- No, jak się cieszę, że sama o niej wspomniałaś. Czyli pamiętasz. Ico? Gdzie jest twoja wiara ?

- Chyba na Majorce. Wszystkim dałam urlop. Wakacje są. Tylko ty w wakacje szalejesz. Latem siejesz szczęście, a jesienią zbieramy burze.

- Nie dramatyzuj, Judyta.

-A ty nie mów do mnie tekstem z filmu.

- Ty się mnie boisz, stąd w tobie ta agresja. Wypierasz. Negujesz. Boisz się, że się znowu nie uda. A wiesz, że zawsze nie udawało się przez ciebie ?

-A ty co? Zrobiłaś kurs psychoterapii? Analizujesz mnie?

- Nie. Bo ciebie się nie da. Jesteś beznadziejnym przypadkiem.

- Skoro tak, to co tu robisz? Dlaczego mnie nachodzisz?

- Bo one nalegają - wiara i nadzieja. A ja, jako ta ostatnia z trzech, muszę być im posłuszna.

-I sarkastyczna też musisz być?

- Nie. Ale lubię. Tak jak ty. To jak będzie?

- Tak jak zawsze. Zamknij drzwi z drugiej strony. Nie stać mnie na kolejną śmierć.

-A jeśli chcę ci ofiarować życie, nowe, lepsze, piękniejsze?

- Gwarancję dasz?

- Sama sobie ją musisz dać. Sama musisz nią być. Bez ciebie nic nie zrobię.

-A słuchaj... Przyszłaś do mnie, a gdzieś jeszcze się wybierasz?

- Nooo, przecież jestem w dwóch miejscach jednocześnie. Myśl logicznie.

- Dobrze sobie. Myśl logicznie do blondynki. No i jak tam jest? W tamtym miejscu?

- Gościnnie. Radośnie. Optymistycznie. Różowo. Nie to co u ciebie.

- Tak? To jak tam ci tak dobrze, to sobie tam wracaj.

- No, ty tępa dzido, wróce, ale muszę mieć z czym.

- To sobie weź coś ode mnie i żegnam.

- Mogę, co zechcę?

- A obiecujesz, że pójdziesz i nie wrócisz ?

- Jeśli mi dasz to, o co poproszę, to tak.

- Okej. Bierz suwenir i zwijaj się. Ej, ty, co ty robisz, możesz przestać? Operacja na otwartym sercu bez znieczulenia? Przeszczep? Zostaw mi je, jest mi potrzebne.

-Ado czego? Skoro mnie nie chcesz, jesteś gotowa ze mnie zrezygnować, to po co chcesz dalej żyć? Co to za życie beze mnie? Ale pójdziemy na kompromis. Nie zabiorę ci serca, ale troszkę sobie w nim pomieszkam.

- Nie zgadzam się.

-Za późno, kochana. Już jestem. Spróbuj mnie wykurzyć.

- Zrobię wszystko, żebyś się nie zdążyła zadomowić. Przecież wiesz, że tak bardzo się boję...

- Ja też. Zawsze. A mimo wszystko, od milionów lat umieram i rodzę się na nowo. Bo, mimo wszystko, warto.

- Muszę się zastanowić.

- Przegapisz mnie. Przejdą bokiem i nigdy już nie zobaczysz świata na różowo. Nie odetchniesz łąką pełną kwiatów. Nie zatańczysz bosą po rosie. Nie będziesz gonić wielobarwnych motyli.

- Ale i nie zapłaczą gorzko...

-Ależ zapłaczesz, tylko że z całkiem innego powodu. Zapłaczesz z tęsknoty za mną.

- Wolę płakać z tęsknoty za tobą, bo nie przyszedłeś, niż z tęsknoty za tobą, że odeszedłeś.

-A co, jeśli łzy nie są w kontrakcie? -Zawsze są.

- Zawsze i nigdy nie istnieją. Tak jak nie istnieje czas, gdy jestem ja. Tylko nie próbuj mnie nazwać. Pogódź się z tym, że jestem. Poczuj mnie, nie definiuj.

- Zaczekaj w przedsionku. Pomyślę o tym jutro.

Więc kochałem ją coraz mocniej i mocniej, przesuważąc granice tej miłości, która zdawała się granic nie mieć.

Długie rozmowy, podczas których poznawaliśmy się, i niekończące się rozmowy, gdy już nam się zdawało, że się znamy.

Przechowuję listy od niej. Mają moc. Moc niezapominania.

...jakże obrazową podróż po Twoim dzieciństwie, po okresie dojrzewania pełnym pytań - kim jestem i kim chcę być, a właściwie, kim nie chcę być, co chcę mieć i po

co. Co chcą w życiu robić i dlaczego. To czas ważny dla każdego młodego człowieka - przecież zaczyna wtedy budować własny dom, siebie. Targały Tobą niemal Hamletowskie wątpliwości, z trzeciego aktu, słowa rozpoczynające najstynniejszy monolog pochodzący z tego utworu (wiesz z pewnością, że w całym Hamlecie jest ich siedem, i każdy to filozoficzne rozważania o życiu) - być albo nie być, rozważania nad sensem i celem ludzkiego życia. „Być albo nie być” to pytanie o to, czy warto żyć. Czy ten świat jest tego wart. Człowiek ma przecież wybór, życie nie jest koniecznością, można je w każdej chwili zakończyć. A jednak niemal wszyscy pragną zachować życie jak najdłużej.

Widzą też pojawiający się i rozważany przez Ciebie problem: mieć czy być.

Celem naszego życia nie powinno być posiadanie bogactw, lecz bogactwo bycia. Jeśli jestem tym, co posiadam, i to stracę, czym wówczas będę? Jeśli jestem tym, kim jestem, nie zaś tym, co posiadam, nikt nie może mnie pozbawić pewności ani zagrozić mojemu bezpieczeństwu i poczuciu tożsamości.

Spytałeś, o czym są moje książki. Ja odpowiedziałam, że o miłości, ale nie tylko o tej klasycznej, bo miłość ma wiele imion i kolorów. A ta klasyczna jest schematyczna, szablonowa i zawsze kończy się tak samo.

Spojrzałeś wtedy na mnie, ze zdumieniem wręcz, i spokojnie odpowiedziałeś:

- To bardzo ciekawe, co mówisz.

Nie wiem, czy było faktycznie ciekawe, ale dało początek naszej rozmowie, dało początek czemuś nowemu i pięknemu, przynajmniej w moim życiu.

Wczoraj także napisałam Ci, że są chwile, kiedy się Ciebie boję. Bo Twoja silna osobowość mnie nieco przeraża, zastanawiałam się nad użyciem słowa: przytłacza, ale nie. I nie wiem, czy przeraża też jest właściwe. Nie jestem w stanie Cię ogarnąć. O tak, kiedy myślę o Tobie, brakuje mi przestrzeni na myślenie o czymkolwiek/kimkolwiek innym. Jesteś niedefiniowalny, wieloznaczny, choć tak bardzo określony. Jest w Tobie wielka tajemnica.

Dlatego nie jestem w stanie Cię ogarnąć myślami. Choć teraz już wiem więcej i nie jestem specjalnie zaskoczona tym, co mi napisałeś. Już jakiś czas chodzę bosymi stopami po szkle tego świata, już jakiś czas skaczę przez ogniska, już jakiś czas zdejmuję ludzi z liny, na której nie raz i nie dwa miałam ochotę sama zawisnąć, a w niejednym ogniu płonęłam i nie zliczę, ile odłamków szła wyjmowałam z pokaleczonych stóp. Ale wciąż jestem.

Napisałam Ci - czasami czuję się przy Tobie jak mała dziewczynka, która stłukła kryształowy puchar taty i sama idzie do kąta pokłęczyć na grochu. Oraz że boję się, że Cię pociągnę w dół, a Ty przecież musisz latać wysoko, wyżej, coraz wyżej, i martwię się, że ze mnie zrezygnujesz. A zaraz potem dodałam, że to mi przejdzie, minie, nauczę się Ciebie, poznam, ale i nauczę się siebie.

Przeczuwałam, że zdarzyło się w Twoim życiu coś, co postawiło Cię pod ścianą i musiało spowodować fundamentalne zmiany. Nie jest ważne, co to było - istotne, by nie wróciło.

A także ważne, jaki przyniosło efekt Jakiego Mitcha zobaczyłabym cztery lata temu?

Czy rozpoznałabym Ciebie w tamtym Tobie? Czy zauważyłbyś mnie wtedy?

Często śnią mi się zmarli, których znałam, kochałam, ale i Ci, którzy po prostu byli. Bardzo często do mnie przychodzą, ale tylko w snach. I zawsze widzę ich w miejscach, w których żyli, mieszkali, w ich środowisku. I ja tam jestem.

Moja córka Pań jest medium. Serio. Długo nie mogła w to uwierzyć, odrzucała ten dar, walczyła z duchami, aż w końcu posłuchała mnie i potrafi z tego korzystać.

Pięknie napisałeś o swojej przemianie, która tak naprawdę wciąż trwa. O marzeniach, pragnieniach i walce o nie. O rezygnacji z miłości. „Podjąłem decyzję o rozstaniu z dziewczyną. Nie dlatego, że przestałem ją kochać, tylko dlatego, że przestałem kochać siebie”. Wiesz doskonale, że jeśli nie umiemy kochać siebie, nie pokochamy innych, no bo jak? Bez miłości ludzkość nie mogłaby istnieć ani jednego dnia. Uwielbiam Ericha Fromma, który twierdził, że „niedojrzała miłość mówi: »Kocham cię, ponieważ cię potrzebuję«. Dojrzała miłość mówi: »Potrzebuję cię, ponieważ cię kocham«”.

Miał rację, pisząc: „Jeżeli chodzi o miłość, liczy się wiara we własną miłość, w jej zdolność budzenia miłości u innych i w jej trwałość. Kochać oznacza powierzyć się komuś bez żadnych zastrzeżeń, oddać się całkowicie w nadziei, że nasza miłość wywoła miłość człowieka, którego kochamy. Miłość jest aktem wiary; każdy, kto ma mało wiary, ma mało miłości”.

Jak wiesz, schowałam chwilowo miłość do kartonu z napisem: „wrócić za jakiś czas”. Może właśnie dlatego, że przestałam kochać siebie? Ale przecież kocham ludzi... Więc sama nie wiem. Boję się. Zbyt często wypowiadam te słowa.

A trzeba pozbyć się lęku. Bo lęk jest toksyną, która nas zalewa, łańcuchem, który nas trzyma w jednym miejscu.

To niesamowite, wiesz? Ze tak często, słuchając, czytając Ciebie, mam wrażenie, że rozmawiam z samą sobą, z tą różnicą, że Ciebie SŁYSZĘ! W wielu sprawach jesteśmy zgodni. W bardzo wielu, tych, o których do tej pory rozmawialiśmy, odkryliśmy tę jedynomyślność, a ile jeszcze przed nami?

W jednej ze swoich książek napisałam: „Jestem Wielką Czarownicą. Mam moc. Mogę wszystko. Słowa są jak życzenia, uważaj na to, co mówisz, bo się spełni”.

Pytasz, dlaczego zaczęłam pisać? Przecież wiesz. Bo chciałam żyć. Wtedy chyba bardziej niż teraz. Chciałam odnaleźć w sobie siłę, by przetrwać piekło, w którym się znalazłam. Piekło łamanych na moich plecach kijów

od szczotki, piekło uderzeń w splot słoneczny, piekło szpitali, w których leżałam i okłamywałam lekarzy, że znowu się uderzyłam o niezamkniętą szafkę, że znowu się przewróciłam, że mam niedobór żelaza. Może coś we mnie wiedziało, już wtedy, że kiedy napiszę książkę, to zmieni ona moje piekło w raj? Ze pojawią się ludzie, którzy wzmocnią mnie swoją siłą, że zadzieją się rzeczy, które zbudują moją pewność siebie? Tylko że wiesz, nad czym się zastanawiam? Czy ta pewność siebie to nie jest iluzja - bo może to nie moja pewność siebie wzrosła, ale zmaląła jego? Pięknie mi się Ciebie czyta, każde katharsis jest wzruszające i należy się nad nim pochylić, docenić, ile kogoś kosztowało, ale i ucieszyć się, że coś mu dało. Moje, to najważniejsze, ciągle przede mną. Ty jesteś na początku drogi, choć niewyobrażalnie dużo już zrobiłeś, praca, jaką wykonałeś nad sobą, jest ważna i daje mi nadzieję na to, że kiedyś i mnie się uda.

Twoja przemiana jest piękna. Moja chyba zaczęła się właśnie wtedy, gdy zaczęłam pisać pierwszą książkę. I potem utknęłam gdzieś we wszechświecie.

Rok temu poznałam kogoś, kto mnie „odkorkował”. Mary i Alan Earle.

Ale znowu zapomniałam, że potrafię.

Może Ty mnie odkorkujesz, może udroźnisz kanały i zaczniesz płynąć nimi życiodajna woda?

Od czasu jakiegoś jestem pod ogromnym wrażeniem filozofii życiowej Mary Earle - miałam to szczęście poznać ją osobiście. Jej męża, Alana, także. Jako

nałogowy pożeracz książek pochłonęłam jej „PeLoHa. Żyjąc w świetle”. Cytaty, całe strony - wydrukowałam i okleiłam nimi regał i szafki w kuchni. Na przykład: „Wiem, że muszę znaleźć swoją drogę do domu. Do siebie. Do serca. Przez tak wiele lat żyłam w strachu, który stworzył w moim życiu zbyt wiele potworów. Może czas, bym stworzyła świat miłości? Powrót do domu to pamięć o tym, kim jesteśmy. Każdy z nas jest inny, więc mamy własną mądrość. Trzeba tylko odzyskać swój codzienny rytm, a tym samym naszą równowagę.

Dzisiaj wiem, że jeśli kiedykolwiek powiem komuś: »To przez ciebie jestem nieszczęśliwa«, muszę skierować palec w swoją stronę.

Rozpoczynamy wspólną podróż, wędrówkę po znanym i nieznanym. Rozpoczynamy podróż do domu. To wielki zaszczyt i radość mieć Ciebie za towarzysza tej podróży. Obym tylko umiała dotrzymać Ci kroku.

Chcę stworzyć związek. Związek z samą sobą. Przebaczyć sobie. Całkowicie kochać i akceptować siebie za to, kim jestem, bo kiedy to zrobię, wtedy partner, którego spotkam, będzie mnie wzmacniał. Nie będę szukała kogoś tylko dlatego, że mi czegoś brakuje, bo kiedy wejdem w taki związek, zamieni się on w zależność i rozpadnie się. Potrzebuję świadomości: jestem, która jestem. Jestem całkowicie szczęśliwa z tym, kim jestem. Tylko wtedy mogę spotkać kogoś, kto mnie do siebie przyciągnie, poczujemy bezpośrednie połączenie serc, będę czuła się tak, jakbym znała go całe życie, dlatego że on zawsze

był częścią mojej duszy. Przecież łączymy się z kimś nie po to, żeby go zmienić, ale po to, by pozwolić mu być tym, kim jest. Każdy z nas musi znaleźć własną drogę do domu. Do siebie. Drogę do serca. Przez tak wiele lat żyliśmy w strachu. Strach stworzył w naszym życiu tyle różnych potworów. Tak wiele razy sadzimy nasionka strachu w naszych dzieciach. A teraz tworzymy świat miłości. Powrót do domu to pamięć o tym, kim jesteśmy. Wszyscy otrzymaliśmy dary i teraz powinniśmy ich używać. Nie jutro, nie za rok, tylko dziś. Każdy ma prawo być szanowany i kochany. Ale miłość zaczyna się od siebie. Podróż zaczynamy od przyjscia do domu. Chcę wracać do niego każdego dnia, coraz bardziej świadomie"¹⁵.

Kiedyś, gdy było źle, napisałem dla niej piosenkę:

Cicho tak, zamilkł świat
Słowa dawno sens straciły
Ciepły dom w zimny schron
Bezpowrotnie zamieniły
Dźwięku słów pragnę znów
Milczeć dłużej nie mam siły
Ciebie chcę, obudź się
Powiedz, że ten lód stopimy.

¹⁵ PeLoHa. *Żyjąc w świetle*, Irena Stanisławska, Mary Earle; Wydawnictwo Ravi, Łódź 2010.

Ref:

Nie nie nie

Nie zatrzymam się

Jestem ogniem, który płonie

Nie nie nie

Nie zatrzymasz mnie

Podejdź do mnie, ogrzej dłonie

Tak tak tak

Niech to wreszcie już się stanie

Nie nie nie

Nie godzę się

Na to nasze niekochanie.

Chwyciłem gitarę i coś tam brzdąkałem, śpiewając pod nosem. Choć śpiewać nie umiem i nie powinienem. Nie słyszałem, kiedy wróciła. Musiała stać za moimi plecami dobrych kilka minut. Podeszła do mnie i oplótła mnie ramionami, położyła brodę na moich włosach, czułem, jak szybko bije jej serce. Wstałem, odwróciłem się i przyciągnąłem ją do siebie. Jej oczy błyszczały. Płakała. Tej nocy kochaliśmy się jak dawniej. Była ogniem. Ogień gasi się ogniem.

Śmiejecie się ze mnie, ponieważ jestem inny, a ja śmieję się z was, ponieważ wszyscy jesteście tacy sami.

Jonathan Davis

Mona Moorea

- Jest pani świetną aktorką! Byłam zachwycona! Julia w pani interpretacji to prawdziwa uczta dla duszy - zaczęła mnie dzisiaj w autobusie pewna kobieta. - Niewiele spodziewałam się po amatorskim teatrze, ale po raz kolejny przekonałam się, że życie zaskakuje. Ma pani talent, hipnotyzuje pani widza, sprawia, że wstrzymuje oddech, zastyga w oczekiwaniu na rozwój wydarzeń. Różne Julie widziałam, ale pani jest najlepsza...

- Przepraszam bardzo - uśmiechnęłam się - ale pani mnie z kimś pomyliła. Nie jestem aktorką. Jestem pisarką - powiedziałam skonsternowana.

- Może pisarką też pani jest, ale nie mam żadnych wątpliwości, że grała pani Julię w spektaklu amatorskiej grupy „Zachwyceni teatrem”. Ja jestem zachwycona panią. - Kobieta nawet na chwilę nie

przestawała mówić, a ja nie byłam w stanie zebrać myśli. Wariatka. No, jakże inaczej.

- Kiedy pani była na tym przedstawieniu?

- Doskonale pamiętam, ponieważ to były moje urodziny. W ubiegłą sobotę. Wszyscy byli panią oczarowani, faktycznie, troszkę inaczej pani wtedy wyglądała, ale charakterystyka i takie tam, teatr przecież. Przyszliśmy całą grupą, bo wie pani, my jesteśmy stowarzyszeni, integracja seniorów, to teraz takie modne, byliśmy na tym spektaklu w ramach cotygodniowych imprez integracyjnych. Rozumie pani...

Potok słów zdawał się nie mieć końca. Niczego nie rozumiałam. Zrobiło mi się słabo, czułam, że natychmiast muszę wysiąść z tego autobusu.

- To nie ja - powtarzam. - Na pewno nie ja. W ubiegły weekend byłam w domu - powiedziałam jakoś mało przekonująco. Bardzo chciałam w to wierzyć.

Kobieta wcisnęła mi do ręki kawałek papieru, odruchowo wzięłam, nie wiedząc, co to jest, a do moich uszu dobiegły zakłócone przez uliczny szum słowa:

- Jestem pewna, że to pani, proszę spojrzeć na ulotkę...

Reszty nie słyszałam. Jej słowa zderzyły się z powietrzem.

Szłam coraz szybciej, zderzając się z mijającymi mnie ludźmi.

Gorączkowo próbowałam przypomnieć sobie, co dokładnie robiłam w tamtą sobotę. Na moim czole zaczęły pojawiać się krople potu, brakowało mi powietrza. Przystanęłam, wyjęłam telefon i nacisnęłam szybkie wybieranie.

Mitch odebrał już po pierwszym sygnale.

- Kochanie, co robiliśmy w ubiegłą sobotę?

- Ja byłem na meczu z Pati, a ty miałaś spotkania autorskie w Krakowie. Wróciłaś, a właściwie przywiozłem cię, bo film ci się urwał, po dwóch dniach. W niedzielę po południu.

O mój Boże! Dlaczego niczego nie pamiętam? Gdzie byłam, gdy mnie nie było?

Bóle głowy stają się coraz częstsze i silniejsze, a zaniki pamięci coraz dłuższe.

Dojrzewa we mnie myśl, by pójść do specjalisty. Tylko nie bardzo wiem jakiego.

- Halo, kochanie, jesteś tam jeszcze? - Mitch się nie rozłączył.

- Jestem, jestem. Zamyśliłam się. Co tam?

- Wiesz, że mnie ten twórczy nieład nie przeszkadza, ale kiedy dziś wróciłem do domu, pomyślałem, że mieliśmy włamanie.

- A mieliśmy? - zaniepokoiłam się.

- Po dokładnym przyjrzeniu się, stwierdziłem, że na szczęście nie, jedynie ty prawdopodobnie czegoś szukałaś. Dość intensywnie, mówiąc delikatnie.

- Powiesz mi wreszcie, co się stało?

- Liczyłem, że dowiem się tego od ciebie, kochanie. Może kiedyś przywyknę do tego bałaganu. Co się stało? Wszystkie ubrania leżały na środku pokoju, szuflady powysuwane, buty porozwalane, kosmetyki porzuciłaś wszędzie, gdzie się dało. Całkiem jakbyśmy rewizję mieli. Ja rozumiem, że wybór sukienki może być niesłychanie trudnym zadaniem, ale żeby aż tak? Kiedy już ochłonąłem, spojrzałem na to z innej strony i doszedłem do wniosku, że mieszkanie wygląda tak, jakby mała dziewczynka bawiła się w dorosłą kobietę i zakładała wszystkie kiecki mamy.

- Wybacz, ale to nie ja - powiedziałam stanowczo.

- A niby kto? Ja? I nie robię ci wymówek, chodzi mi tylko o to, by następnym razem jednak nie dostać zawału.

- Nie będzie następnego razu. Przepraszam, to się już nie powtórzy - powiedziałam, przyznając się do czegoś, czego - byłam o tym przekonana - nie zrobiłam.

W mojej głowie działy się rzeczy, których nie rozumiałam i nad którymi nie panowałam.

Laura

- Dobra, to teraz omówmy kwestię twojego pobytu w domu Wielkiej Siostry. - Jerry postanowił być tego wieczoru konsekwentny i przynajmniej rozpocząć nasze drugie już pożegnalne spotkanie od właściwego tematu.

Od dnia, kiedy dowiedziałam się, że przyjęli mnie do programu, minęły dokładnie trzy dni i trzy noce, te ostatnie dla mnie niestety bezowocne, nad czym ubolewam.

- Powiedz nam, jak to się stało, że cię przyjęli? - Samanta chciała wiedzieć wszystko.

- Nie, nie, zacznij od początku. Jak to się stało, że wysłałaś zgłoszenie? - Klara jak zwykle była precyzyjna.

- Sama nie wiem. Pamiętam tylko, że nie byłam całkiem trzeźwa, gdy pisałam do nich ten list. To było zaraz po moim powrocie do Polski, po tym, jak mój Desperado doznał spotkania trzeciego stopnia z byczkiem Fernando, więc byłam w rozpacz...

I w tym momencie Samanta zaczęła chichotać.

-...więc byłam w rozpaczy - powtórzyłam - i pewnego wieczoru, analizując swoje dotychczasowe życie -bądźmy szczerzy, nieszczególnie udane - zobaczyłam, wprowadzie przez mgłę, ale jednak, reklamę nowego

realityshow, ogłaszali casting. Ostatkiem sił sięgnęłam po zeszyt i długopis i pokrótce, bo zeszyt był szesnasto-kartkowy, opisałam im moje życie. Następnego dnia, będąc zapewne na kacu i mając jeszcze we krwi tequilę, wysłałam zeszyt, dołączając swoje zdjęcie w ubraniu służbowym Antonia, to znaczy w kostiumie torreadora.

-Aha! To wszystko jasne! - Jerry radośnie klasnął w dłonie. - Z taką przeszłością! Tylko głupiec odrzuciłby takie cacko jak ty.

- Prawdziwą kopalnię pomysłów - dodała Klara.

- Hola, hola, wypraszam sobie, różnie już mnie nazywano, ale jeszcze nigdy kopalnią. I dlaczego pomysłów?

-Jaw życiu bym nie wpadła na to, by trzy razy wychodzić za mąż - wtrąciła Samanta.

- Wątpię, żeby ci się chociaż raz udało - Jerry mnie pomścił.

- Nie zamierzam próbować, lubię to, co mam.

- Jasne, jak się nie ma, co się lubi, to się lubi, co się ma - dodałam.

- Nie to ładne, co ładne, tylko co się komu podoba -dorzuciła Klara.

-A co to? Wieczór przysłów polskich ? - Staśka się ocknęła.

- Przysłów i anegdot. - Jerry nie miał zamiaru odpuścić.

Ponieważ coraz częściej myślę, że on nie znosi Samanty, kopnęłam go dyskretnie pod stolikiem, upraszając w ten sposób, by spasował.

-I co zamierzasz zrobić z tym zaproszeniem ? - wróciliśmy nareszcie do tematu.

- No właśnie nie wiem.

- No, ty chyba sobie z nas żartujesz? O Jezu, ona mnie kiedyś zabije, ratujcie mnie. Moje serce... - prawie bez tchu wyszeptał Jerry, łapiąc się za pierś i bezwładnie opadając na krzesło.

Zaniepokojony kelner podbiegł do nas natychmiast, oferując pomoc. Samanta odprawiła go z promiennym uśmiechem.

- Jerry, kochanie, serce masz po lewej stronie - powiedziała.

Jerry otworzył jedno oko.

- A trzymasz się za prawą.

Jerry otworzył drugie oko i powiedział:

- Och, mój Boże, tak się przejąłem, że zapomniałem. I jak było, dziewczyny?

Zorientowałyśmy się właśnie, że oto przed chwilą nie byliśmy świadkami kolejnej typowej dla Jerry'ego sceny omdlewania, lecz tym razem był to profesjonalny, zdaniem głównego wykonawcy, pokaz.

- Musisz jeszcze potrenować, jeśli chcesz kiedykolwiek nas na to nabrać.

- Zapisalem się do szkoły aktorskiej. Wiecie, kto tam wyklada?

Nie wiedziałyśmy, ale za to doskonale znany był nam obiekt westchnień Jerry'ego.

-I naprawdę myślisz, że Linda cię czegoś nauczy?

- Już mnie nauczył - powiedział Jerry i przeszedł od słów do czynów. Założył nogą na nogę, poprawił okulary przeciwsłoneczne, które zawsze nosił na głowie, wziął do ust wykałaczkę i zaczął ją przeżuwać. Dziwnie poruszał głową, zupełnie jakby zgadzał się z tym, o czym właśnie myślał.

I nagle oto usłyszałyśmy:

- Bo to zła kobieta była.

Jerry wrócił do swojej normalnej, gejowskiej pozy i oczekiwał naszej reakcji.

Szybko przebiegłam wzrokiem po moich przyjaciółkach i zdałam sobie sprawę, że jednak naprawdę muszę kochać Jerry 'ego.

Klara ze wszystkich sił powstrzymywała mimikę twarzy przed mimowolnym uśmiechem, a Samanta... Cóż, Samanta w tym momencie zdobyła Oscara za pierwszoplanową rolę żeńską. Na jej twarzy malował się nieklamany zachwyty.

A ja ? Mnie po prostu zamurowało.

Jerry jak zwykle zinterpretował nasze milczenie tak, jak mu było wygodnie, i powiedział:

- Wiedziałem, dziewczyny, że was urzeknę. A to dopiero początek. Sam się boję, co będzie dalej, gdy odkryję wszystkie moje ukryte talenty.

- Och, Jerry, my też się boimy - wszystkie nagle odzyskałyśmy głos.

Czasem sama się gubię w tej przyjaźni. Wydawać by się mogło, że głównie chodzi o szczerść, ale może niekoniecznie tak do końca. Chwilami być może lepiej czegoś nie powiedzieć niż zburzyć czyjeś marzenia. Naturalnie powinno się pamiętać o cienkiej czerwonej linii, będącej granicą bezpieczeństwa. Ale tu zazwyczaj sprawdza się tak zwana intuicja. I to właśnie ona podpowiada nam, czy drobne kłamstwo bądź po prostu przemilczenie czegoś jest szkodliwe czy też nie.

W tym wypadku nasza intuicja podpowiadała nam, aby nie uświadamiać Jerry ego, jak zabawnie wyglądał, odtwarzając scenę z Psów.

- Konkretnie się wpakowałaś. I co teraz zrobisz? -Klara powtórzyła pytanie sprzed pół godziny.

- No właśnie nie wiem - powtórzyłam swoją odpowiedź.

- Jak możesz nie wiedzieć? - Samanta nie miała żadnych wątpliwości.

- Jak możesz nie wiedzieć? -jak echo powtórzył Jerry.

- Pójdiesz! - wyjątkowo zgodnie powiedzieli oboje.

- Hipotetycznie założmy, że tak właśnie zrobię. Ale są co najmniej dwa problemy.

- Okej, ja już wiem, o co chodzi. - Samanta była bardzo bystra. - Jeden problem ma na imię Antoni. Ale nie wiem, co z drugim.

- Nie no, Lauro, nie martw się o psa, wezmę go do siebie - z miejsca zaofiarował się Jerry.

- Nie o psie mówią, tylko o Antonim, który ubiera się u Gucciego, bo jest oszczędny.

Zabiją ją kiedyś albo wyrwą ten długi jęzor. Jest moją przyjaciółką, ale jęzor ma nie dość, że niewyparzony, to na dodatek do pasa.

Po chwili Jerry i Klara zostali w telegraficznym skrócie poinformowani o okolicznościach, w jakich Antoni wkroczył w moje życie.

- No tak, znamy już ten pierwszy powód, ale nadal nie wiemy, jak na imię ma drugi.

- Drugi nazywa się okres. Nie mogę wtykać sobie tamponów w kiblu, w którym są kamery. Albo przynajmniej ja nie będę miała pewności, że ich tam nie ma.

- To żaden problem. Przecież okres można zatrzymać - powiedziała Klara.

Samanta zawiesiła na mnie wzrok i przeciągle powiedziała:

- Laura przecież to wie. To bardzo proste, wystarczą tabletki hormonalne. Dużo trudniej jest zatrzymać faceta, którego właściwie się jeszcze nie zna.

Za to właśnie kochałam Samantę. Chwilami miałam wrażenie, że ma jakąś sondę zapuszczoną do mojego serca i mózgu, i w sobie tylko znany sposób monitoruje mnie bez przerwy.

Prawda była taka, że wahałam się tylko z jednego powodu. Znałam Antoniego tak krótko, ale czułam, że łączy nas coś szczególnego.

Nie każdego dnia prawie wpada się pod samochód, rozbija małżeństwo i zaprasza nieznanego faceta do domu na herbatę. I to wszystko w dwadzieścia minut. I akurat teraz, gdy znajomość z owym facetem zaczynała nabierać rumieńców, podobnie jak i ja, miałam ją zakończyć, bez szans na: poznanie ciągu dalszego, skonsumowanie związku oraz happy end.

Bo przecież nie ludzę się ani przez moment, że ja sobie wejdę do domu Wielkiej Siostry, teraz - na samym początku tak fajnie zapowiadającej się znajomości, a on na mnie zaczeka, wiernie kibicując mi przed telewizorem.

Na pożegnanie Samanta wcisnęła mi coś do kieszeni, mówiąc, że być może to pozwoli mi spojrzeć na mój problem w innym świetle..

W domu rozpakowałam aluminiową folię i znalazłam skręta z marihuany.

A, co mi tam. Kiedyś musi być ten pierwszy raz.

Podobno po kilku dymkach robi się już dobrze, lekko i beztrosko. Ja wypaliłam całego, stosując się do wskazówek Samanty, skreślonych pośpiesznie na kawałku serwetki. Wdychałam dym z maryški i trzymałam go w płucach. Mimo to, w oczekiwaniu na te wspaniałe efekty, zasnęłam. Nie tylko nie mogę zrobić kariery szczęśliwej mężatki, ale i niepisana mi kariera narkomanki. Ja nie działam na mężczyzn, a narkotyki nie działają na mnie.

Byłam rozsypanką - od dawna nie układanką zamkniętą w pudełku przewiązanym wstążką czarną. Leżałam na strychu, ukryta głęboko w starej szafie. Rozsypane puzzle emocji przywykły do ciemności, braku dotyku, za którym nawet już nie tęskniły, podobnie jak zapomniały, czym jest miłość jakie to uczucie, gdy ktoś zaczyna nas układać.

Odnalazłeś drogę do mojego domu, wszedłeś na strych i wyjąłeś mnie z szafy, po prostu zanurzając dłoń, bez szukania, jakbyś wiedział, gdzie mnie znajdziesz. Delikatnie starłeś ze mnie kurz, rozwiązałeś wstążkę i wyrzuciłeś za siebie.

Podniosłeś wieczko i spojrzaleś. Trzymałeś mnie w dłoniach i patrzyłeś tak, jakbyś chciał się upewnić, czy zdołasz mnie ułożyć. Uśmiechnąłeś się do swoich myśli, a ja usłyszałam jedną z nich -

„JUŻ CIĘ UŁOŻYŁEM, TERAZ CZAS, ABYŚ SAMA SIĘ POUKŁADAŁA. OD POCZĄTKU”. Zamknąłeś pudełko, z kieszeni wyjąłeś wielobarwną wstążkę i przewiązałeś mnie. -

„JAK BĘDZIESZ GOTOWA, MOJA ROZSYPANKO, BY ZOSTAĆ MOJĄ UKŁADANKĄ, TO PO PROSTU ZAPUKAJ. USŁYSZĘ. GDZIEKOLWIEK BĘDĘ”.

Mona Moorea

Jestem coraz bliżej dowiedzenia się, kim jestem, do kogo przynależę, do którego ze światów, i ile jest mnie we mnie. Mój psychiatra ma już diagnozę, ale jeszcze jej nie znam. Wiem natomiast z całą pewnością, że jestem bardzo mocno zaburzona, nie znam tylko przyczyny, ale po to właśnie chodzę do specjalisty.

Czasami nic nie pamiętam z tych wizyt, Mitch i Pati wydają się być bardzo mocno zaniepokojeni. Ale milczą, a ja nie ciągnę ich za język. Dużo czytam, ponieważ mam teraz przymusową przerwę w moich spotkaniach autorskich. Niedługo znowu wyruszę, to jest mi bardzo potrzebne. Człowiek, jego siła i słabość. Relacje, jakie tworzy, mosty, które buduje i te, które za sobą pali.

„Co to znaczy mieć związek z samym sobą? Przebaczyć sobie. Całkowicie kochać i akceptować siebie za to, kim jesteśmy. Kiedy to zrobimy, wtedy partner, którego spotkamy w życiu, będzie nas wzmacniał. Nie będziemy szukali partnera dlatego, że czegoś nam brakuje. Jeżeli wchodzimy w jakiś związek, myśląc,

ze czegoś potrzebujemy, taki związek zmienia się w zależność. I powoli rozpadnie się. Natomiast, jeżeli mamy świadomość, że: *Jestem, który jestem. Jestem całkowicie szczęśliwy z tym, kim jestem*, wtedy, gdy spotkamy kogoś, kto nas pociąga, powstanie bezpośrednie połączenie serc. Będziecie się czuli tak, jakbyście znali tę osobę całe życie, dlatego, że ona zawsze była częścią waszej duszy. Łączymy się nie po to, żeby ją zmienić, tylko po to, aby pozwolić jej być tym, kim jest. Kiedy po dwóch latach od spotkania mówicie, że ta osoba jest inna niż ta dwa lata temu, pamiętajcie, że wy również jesteście inni. Jeżeli zauważycie zmianę w osobie, którą kochacie, porozmawiajcie z nią o tym. I zaakceptujcie to. Nie powinniśmy nikogo zmieniać. Jeżeli wchodzimy w związek małżeński i mamy jakieś oczekiwania w stosunku do drugiej osoby, to nie jest to związek. Związek to coś zbudowanego na prawdzie, porozumieniu, dotyku, równości i wolności"¹⁶.

Nie wiem, czy potrafię, ale wiem, że bardzo tego chcę. Coś we mnie pragnie tego do szaleństwa. I coś we mnie nie umiało tego do tej pory zrealizować. Tak, mam córkę, Pati jest dla mnie wszystkim. Łączy nas coś niewidzialnego, nawet nie musimy komunikować się werbalnie, a i tak wiemy, co dzieje się w naszych

¹⁶ *PeLoHa. Żyjąc w świetle*, Irena Stanisławska, Mary Earle; Wydawnictwo Ravi, Łódź 2010.

myślach, sercach, ciałach - życiach. Jestem absolutnie spokojna o to, że gdy jestem sobą, ona mnie zawsze odnajdzie.

Wiesz, jedyne, co mogę na koniec zrobić, to nie pozwolić, aby nasza historia skończyła się tak banalnie. Tak, wzięłam pod uwagę straty w ludziach i migotanie przedsiionków.

Natalia Belcik

Mitch

Była niesamowita. Fascynująca i nieprzenikniona. Owiana jakąś tajemnicą, która czyniła ją jeszcze bardziej interesującą. Miałem wrażenie, że składa się z wielu kobiet, które w niej mieszkały. Nie miałem pojęcia, jak blisko byłem prawdy... Ale wtedy, gdy ją poznawałem, czułem się tym wszystkim podekscytowany, ponieważ Mona miała w sobie to wszystko, o czym marzyłem, gdy myślałem o kobiecie idealnej. I nie tylko seks mam na myśli.

A seks z nią to wszystkie żywioły naraz. Nieziemskie doznania, była jak żywcem wycięta z moich snów. Raz była uległa, cicha, a za chwilę zamieniała się w bohaterkę filmów porno, nie do okiełznania.

Rozmawialiśmy dość śmiało:

- Powiesz mi, jak lubisz się kochać?

- Bardzo lubię się przytulać. Mogę leżeć przytulona całymi godzinami do osoby, z którą chcę się poprzytulać. Lubię kochać się spokojnie, długo. Całować milimetr po milimetrze jej ciało. Każdy zakamarek. Ale lubię także ostre rżnięcie. Lubię to robić wszędzie. W wannie, pod prysznicem, na kuchennym blacie, w restauracji. A ty?

- W wannie, pod prysznicem, na kuchennym blacie, w restauracji. I w wielu innych miejscach. Także lubię kochać się czule, spokojnie, delikatnie. Ale lubię także ostre rżnięcie. Lubię odkrywać to, co jeszcze nieodkryte, i za chwilę odkrywać to na nowo. Lubię spełniać swoje marzenia. Chcę spełnić twoje.

- Co powiesz na seks na śniadanie?

- Seks na śniadanie - jak najbardziej, uwielbiam. Może być zamiast śniadania, przed śniadaniem, podczas śniadania, po śniadaniu i na śniadanie. Pod prysznicem też. A dziś chętnie w łóżku.

- Powiedz, co ze mną zrobisz?

- Zrobię z tobą wszystko, co zechcesz, i wszystko to, co ja będę chciał. Ale mogę to zrobić tylko z tobą wolną. Nie wolno mi krzywdzić innych. Ale gdy powiesz mi, że jesteś wolna, zrobię z tobą wszystko.

Przyznam, że początkowo byłem mocno zaskoczony, gdy słyszałem, jak szepcze mi do ucha: „Rżnij swoją kurwę. Jestem twoją osobistą kurwą, zrobię ci wszystko, co zechcesz”. Nie wiedziałem, jak mam reagować, pragnąłem jej bardzo, myślałem, że ma

takie fantazje, ognisty temperament. Byłem mocno zakłopotany, ale nie chciałem jej niczym urazić, robiłem, co chciała, z początku bardzo delikatnie, ale domagała się większej brutalności.

Niepokoilo mnie to i postanowiłem z nią o tym porozmawiać. Jej reakcja mnie kompletnie zaskoczyła - spojrzała na mnie jak na czubka i powiedziała z autentycznym zdumieniem:

- Ja? Ja odgrywam w łóżku kurwę? Nigdy więcej tak ze mną nie żartuj. I nie oglądaj więcej filmów po północy.

Moje przerażenie zaczęło się nasilać, gdy znikala kurwa, a zaczęła pojawiać się lolitka.

Gdy się kochaliśmy, stawała się dziecinna, mówiła miękkim dziewczęcym głosem i za wszelką cenę chciała... Odnosiłem wrażenie, że chciała być posłuszna i jak najlepiej wywiązać się ze swojego... zadania.

Oniemiałem, gdy spytała:

- Czy tatuś jest zadowolony ze swojej dziewczynki? - i jeszcze intensywniej oralnie sprawiała mi przyjemność.

Pomyślałem, że to kolejna kreacja, albo że się wygłupia.

Chciałem ją powstrzymać, kazałem przestać, ale wpadła w jakiś trans i powtarzała w kółko:

- Kocham tatusia, kocham tatusia, kocham tatusia. Robię tatusiowi dobrze, proszę, nie przyprowadzaj kolegów, przecież nic nikomu nie powiedziałam.

Za chwilę, za godzinę, za dzień już tego nie pamiętała. Patrzyła na mnie jak na jakiegoś zboczeńca albo kręciła kółka na czole i traktowała jak wariata. Nie była w stanie uwierzyć, że faktycznie tak się zachowuje.

Pomyślałem, że może powinienem to nagrać. Ale ta myśl przyszła dużo później.

Za każdym razem, gdy na świat przychodzi dziecko, świat jest tworzony od nowa.

Jostein Gaarder

Pati

Przyśniła mi się mama. Nie ma jej od dwóch dni. Przywykliśmy do tego, że znika. Odkąd wiemy, że jest chora, nie niepokoi nas to tak bardzo, żeby zawiadamiać policję, choć śpimy bardzo niespokojnie.

Ta noc była straszna. Zobaczyłam ją. Poczulałam. Przyszła do mnie.

A teraz się mocno skoncentruj, moja córeczko kochana. Zobacz mnie i usłysz to, co chcę ci powiedzieć. Znajdźcie mnie. Przekaż Mitchowi wiadomość ode mnie: „Znajdź mnie jeszcze raz”.

Spotkanie z czytelnikami zaliczone do udanych, kolejne, może zabrzmieć to nieskromnie, ale jak każde. Człowiek jest stworzony do określonych rzeczy, ja z pewnością zostałam stworzona, by rozmawiać z ludźmi. Za pomocą słowa pisanego, jak i werbalnie, podczas bezpośredniego kontaktu. Kocham tę niezwykłą atmosferę,

ciszą przerywaną westchnieniami, nawet Kocham te łzy wzruszenia. Mnie także często płyną i wcale tego nie kryję. Człowiek potrzebuje człowieka, ludzie potrzebują ludzi. Mówię im: „Nigdy nie przechowujcie niczego na specjalne okazje, a zwłaszcza na czarną godzinę, bo kiedy nadejdzie, nie zdążycie nawet mrugnąć”.

Czas. Każdej doby wszyscy mamy go tyle samo, ale zamiast się tym cieszyć i wymyślać, jak najpiękniej to wykorzystać, marnotrawimy bezcenne minuty.

Wzruszona, rozczulona i szczęśliwa wsiadłam do samochodu i włączyłam nawigację. Nie działała. Przełożyłam do drugiego gniazodka. Nadal nic. Sprawdziłam bezpiecznik. Niestety przepalony. No to kiepsko, bez nawigacji nie wydostanę się z tego miejsca. Przeszukałam auto, ale mapy nie znalazłam. Huston, mamy problem

- pomyślałam i wysiadłam.

- Bardzo przepraszam, ale chyba potrzebuję pomocy

- zwróciłam się do kobiety, która wychodziła z biblioteki.

- Dla pani wszystko. - Nieznajoma się uśmiechnęła.

- Czy wie pani, w którą stronę mam jechać, by dostać się do autostrady?

- W tej kwestii jestem typową kobietą, w dodatku niezmotoryzowaną, nie chcę pani wyprowadzić w pole, ale znam kogoś, kto pomoże. To mój starszy syn. Zaraz po niego zadzwonię. To złoty chłopak, ma samochód i wolny czas, nie będzie problemu, żeby panią pilotował.

- Nie chcę robić kłopotu, wystarczy, jak mi wytłumaczy.

- Nie ma mowy. To bardzo skomplikowane, jest już dość późno, jeszcze tego brakuje, żeby nam się pani w tych lasach zgubiła.

Kiedy jej syn przyjechał, zgodnie z tym, co mówiła jego matka, sam zaoferował, że mnie zapilotuje do autostrady. Nie ukrywam, że byłam z tego zadowolona, bo orientacji w terenie nie mam, bez nawigacji nie istnieję.

Jechałam za nim dość długo, gdy nagle zatrzymał się. Wydawało się, że złapał gumę. Stałam także, otworzyłam szybkę i czekałam na wyjaśnienie powodu postoju.

- Strasznie przepraszam, ale koło mi tłucze. To zajmie chwilę, muszę dokręcić, tak będzie bezpieczniej. Pięć minut i jedziemy dalej.

- Jasne, nie ma problemu. Zadzwoń w tym czasie do córki i powiem, że się spóźnię.

- Obawiam się, że pani nie zadzwoni, bo tu nie ma zasięgu.

Spojrzałam na wyświetlacz mojego telefonu. Cholera, faktycznie.

-Ale tam już będzie. Trzeba przejść parę metrów i tam, w tamtym prześwicie, już złapie pani sygnał.

-Ale nie przejadę, nie dam rady ominąć pańskiego auta.

- Trudno, spacer pani nie zaszkodzi. - Uśmiechnął się i wrócił do dokręcania swojego koła.

Założyłam szmaciane kozaki do kolan - jedyne buty, jakie miałam w aucie - rezygnując z chodzenia po lesie w szpilkach.

No, chyba mnie to nie zabije - pomyślałam, wysiadając z auta.

Nie wiedziałam, że właśnie wyruszam po własną śmierć.

Pamiętam tylko, że gdy go mijalam, spojrzal na mnie tak, że poczułam przechodzące mnie dreszcze. Uśmiechnęłam się, choć już wiedziałam, że stanie się coś nieodwracalnego. Minęłam go, starając się zachować spokój, przyspieszyłam kroku. Usłyszałam, jak idzie za mną. Zaczęłam biec. Usłyszałam, jak łamią się gałęzie pod jego butami. Stałam się zwierzyną, a on myśliwym. Śmiał się.

- Stąd nie ma ucieczki, paniusiu. Zabawimy się.

W tej chwili mnie dogonił i powalił na ziemię. Poczulałam uderzenie w tył głowy i zanim straciłam przytomność, zorientowałam się, że ciągnie mnie po ziemi. Ostatnią rzeczą, jaką zrobiłam, było wsunięcie telefonu do kozaka.

Później zapanowała ciemność.

Człowiek ma obowiązek stać przy swoich bliskich i wspierać ich niezależnie od tego, ile problemów nam sprawiają.

Margit Sandemo

Pati

Obudziłam się cała mokra. To był przerażający sen. Właściwie sama nie wiem, czy sen, czy wizja. Mama - to ona mi się śniła! Odzyskiwałam powoli spokój. Muszę wszystko dokładnie zapisać, wszystko, co mi przekazała.

Nie ma jej od kilku dni. Przywykliśmy do jej zniknięć, choć przecież nigdy nie wiadomo, czy i kiedy wróci. Gdy do głosu dochodzi szalona, pełna przedziwnych pomysłów Laura, Mona nie ma nic do powiedzenia.

Gdy dowiedzieliśmy się, co dolega mamie, zrozumieliśmy wszystko, co dotąd było zagadką. Jak na przykład to, dlaczego mamę zaczepiają na ulicy obcy ludzie, zachowują się, jakby ją znali; niektórzy zwracają się do niej po imieniu - mówią na nią Laura. Inni gratulują świetnie zagranej roli.

Nie tak dawno odwiedził nas zabawny gość, Jerry. Twierdził, że jest najlepszą przyjaciółką Laury - tak, tak powiedział: „przyjaciółką”, i domagał się, byśmy przestali ją ukrywać. Prawdziwy dziwak. Podczas kolejnej wizyty poznaliśmy Klarę i Antoniego - Klara to przyjaciółka Laury, a Antoni to prawie narzeczony.

To był dzień niespodzianek. Dowiedzieliśmy się wówczas, że mama miała trzech mężów i wszyscy byli uprzejmi opuścić ziemski padół. Na szczęście bez jej udziału. Sama mama pojęcia nie miała o swoim potrójnym wdowieństwie ani też o wspomnianych przyjaciółach i potencjalnym mężu numer cztery.

Mina Mitcha była bezcenna, gdy zobaczył swojego konkurenta. Długo musieliśmy wyjaśniać naszym gościom, że Laura tak naprawdę nie istnieje, że jest alter ego Mony. Nie jestem pewna, czy uwierzyli.

Jest jeszcze mała Kasia i nastolatka Marie. Ale nie mam teraz siły, by o nich mówić.

Gdy rządzić zaczyna Marcin, z pewnością wydarzy się coś tragicznego, coś, o czym być może powiedzą w wieczornych wiadomościach.

Jestem niespokojna przez ten sen. Mama nie odbiera telefonu, sygnał wciąż jest. Jeszcze jest.

Laura

I stało się. Jerry, odprowadzając mnie do samochodu, ocierał po kryjomu łzy, jak zwykle się wzruszył. Samanta wcisnęła mi swoim zwyczajem coś do kieszeni, a Klara instruowała mnie, jak należy się zachowywać przyzwoicie i z godnością.

Gdy posadziłam tyłek w jeepie należącym do prywatnej stacji telewizyjnej, która zakupiła licencję reality show Big Sister, kątem oka zauważyłam stojącego za drzewem Antoniego. Chociaż równie dobrze mogło mi się wydawać, że to on.

Postanowiłam przeżyć coś niezwykłego i przedwczoraj poinformowałam go o mojej decyzji. Zniósł to dzielnie, co jest zrozumiałe, jako że nie zdążyły nas połączyć bliższe stosunki. Po prostu pożegnaliśmy się jak znajomi, którzy znają się dopiero od tygodnia i poza całowaniem pod ośnieżonym świerkiem nic ich nie połączyło.

Wmawiałam to sobie i nawet dobrze mi szło, zwłaszcza że Antoni nie robił nic, abym chociaż przez chwilę mogła pomyśleć, że coś do mnie poczuł.

Był wprawdzie taki moment - momencik, chwilunia, gdy mu powiedziałam, że na trzy miesiące znikam,

kiedy wydawało mi się, że posmutniał, ale może tylko sobie coś wydumałam.

Gdy już siedziałam w jeepie, zanurzyłam rękę w kieszeni w poszukiwaniu gumy do żucia, żeby mieć świeży oddech, i natrafiłam na to, co dała mi Samanta. Była to paczka prezerwatyw najwyższej klasy. Rzec by można: do wyboru, do koloru i do smaku.

Przeanalizowałam sobie dokładnie moment pożegnania i zobaczyłam i usłyszałam Klarę, upominającą mnie przed robieniem rzeczy niestosownych, czytaj: także uprawianiem seksu, i jednocześnie widziałam Samantę wpychającą mi do kieszeni coś, co z seksem się kojarzyło.

Ta myśl wywołała na mojej twarzy bardzo przyjemny uśmiech, który ustąpił miejsca niewyobrażalnemu zdziwieniu. Samochód jadący za nami nagle dogonił nas i zrównał się z telewizyjnym jeepem. Chyba tylko z nerwów nie rozpoznałam w nim wcześniej samochodu moich marzeń.

Za kierownicą ujrzałam oczywiście Antoniego, który prawą ręką trzymał kierownicę, a lewą przyciskał do szyby wielką kartkę z jakimś napisem.

Czytałam jak dziecko w zerówce, sylabizując:

Bę-dę na cie-bie cze-kał. Idź i wy-graj! My-ślę, że cię ko-cham.

Myśli? Też mi radość. A ja myślę, że oszalałam, skoro siedzę w tym samochodzie i jadę tam, gdzie jadę. Kierowca mlasnął rubasznie i zapytał:

- Co, narzeczony panią żegna, co?

- Ee, jaki tam narzeczony, ledwie go znam...

I taka była prawda. Właśnie zdałam sobie sprawę, że prawie nie znam Antoniego. Niepokoiliła mnie jednak myśl, że wcale a wcale mi to nie przeszkadza, żeby o nim myśleć. Ciepło myśleć. A ostatnio nawet i snuć fantazje.

Posłałam więc Antoniemu jedno z najbardziej namiętnych spojrzeń i uśmiechnęłam się uwodzicielsko. A co tam, niech teraz o mnie myśli i ogląda w telewizji.

Chyba nie powinnam tak dużo czasu spędzać z Jer-rym, bo się robię strasznie uczuciowa. Zdecydowanie więcej czasu powinnam poświęcać Samancie.

Przynajmniej ona jedna potrafi zachować równowagę emocjonalną.

Na ostatnim spotkaniu organizacyjnym powiedzieli nam, że będziemy mogli prowadzić pamiętnik. I to jest jedyny pewnik.

Dobro i zło muszą istnieć obok siebie, a człowiek powinien dokonać wyboru.

Mahatma Gandhi

Mitch

Niezwykle ciężko było mi zaakceptować fakt jej choroby. Bo zrozumieć, ogarnąć umysłem się tego nie da, zostaje jedynie akceptacja. Wielogodzinne rozmowy z psychiatrą i psychoanalitykiem rzucały coraz to nowe światło na to zaburzenie. Uczyłem się tych zachowań, uczyłem się zauważać pierwsze symptomy zbliżającej się „przemiany”.

Oczywiście tylko wtedy, gdy byłem blisko niej.

Nagły i niewyobrażalnie silny ból głowy był jednym z nich. Zwiastował pojawienie się innej osobowości. Możliwość patrzenia na to była przerażająca i fascynująca zarazem.

Pamiętam pierwsze spotkanie z lekarzem, było z nią już tak źle, że wspólnie postanowiliśmy udać się po pomoc do specjalisty. Ataki porażającego bólu głowy, a po nich amnezja wykluczyły Monę z życia zawodowego. Była przez to coraz bardziej

nieszczęśliwa, gasła. Patrzyłem na to moje zachodzące słońce, gasnącą, spadającą gwiazdę, i czułem się bezradny. Wszystko we mnie wyło, ale nie mogłem jej tego okazać. Nie takiego mnie chciała. Pragnęła u swego boku mężczyzny silnego, umiejącego zmierzyć się z każdym bólem, każdym wyzwaniem i życiowym sprawdzianem. Przecież wiedziała, przez co przeszedłem. A mimo wszystko nie umiała powstrzymać smutku. Dla własnego bezpieczeństwa przestała wychodzić z domu, to było pewną nadzieją, że nie zniknie niespodziewanie dla nas i samej siebie. Nie wiedzieliśmy jeszcze, z czym przyjdzie nam się zmierzyć.

Mona miała już za sobą trzymiesięczną terapię, gdy zadzwonił do mnie jej psychiatra i zaprosił na spotkanie. Poszedłem.

- Panie doktorze, czy już pan wie, co jej dolega?

- Tak, to niezwykle rzadki przypadek w psychiatrii, do tej pory na całym świecie zanotowano ich tylko dwieście. Czy słyszał pan o osobowości mnogiej?

- Słyszeć słyszałem, ale nie wiem, na czym dokładnie polega ta choroba i co ją powoduje.

- Więc proszę usiąść i uważnie słuchać. Nazwa tej choroby to osobowość wieloraka lub też osobowość mnoga, lub inaczej rozdwojenie jaźni. Jest to zaburzenie dysocjacyjne, polegające na tym, że w jednym ciele przebywają co najmniej dwie osoby. Osobowości, ile by ich nie było, nie wiedzą o sobie

nawzajem. Chory traci nad sobą kontrolę i nieoczekiwanie przeistacza się w kogoś innego. Zawsze, podkreślam, zawsze jest to mechanizm obronny przed czymś, co chory ukrył głęboko w podświadomości. Traumatyczne przeżycia z dzieciństwa, pozornie wyparte, bardzo często związane z molestowaniem seksualnym, tragiczną śmiercią, brutalną przemocą. Powrót do nich powołuje dysocjację, mówiąc prościej - dezorganizację ego, rozbitcie wewnętrznego ja, rozdzielenie osobowości.

- Czy już pan wie, przed czym broni się Mona?

- Tak, wiem, ale o tym za chwilę. Najpierw wytłumaczę panu schemat powstania dysocjacji. Najpierw była Mona, urodziła się, miała swoją metrykę. Gdy w dzieciństwie wyparła dramatyczne wspomnienia, rozpadła się na pięć kawałków. Jest też szósta, bezimienna, to Nauczycielka. To właśnie ona powoływała do życia wszystkie osobowości. Gdyby połączyły się w jedną, stałyby się Nauczycielką. Naszą Moną w całości. Jeśli chce pan znaleźć Monę, tę, którą była przed traumą, musimy doprowadzić do sklejenia jej wszystkich osobowości w całość. Może ją pan znaleźć jeszcze raz. Nauczycielka ma ogromną moc, może wywoływać poszczególne osobowości. U Mony dotychczas odkryłem pięć, u jednej osoby może wystąpić kilkanaście, różnią się nie tylko zachowaniem, ale odmienną tożsamością, wspomnieniami, ilorazem inteligencji, pasjami, wiekiem, ostrością wzroku,

ciśnieniem krwi, a nawet płcią, preferencjami seksualnymi, talentami czy wreszcie alergiami.

- Panie doktorze, to mnie zaczyna przerastać, czy może pan przejść do sedna? Jak wygląda proces leczenia? Czy farmakologia wchodzi w grę?

- Pacjentka zostanie objęta opieką psychiatry i psychologa. Niezbędna będzie długotrwała psychoterapia. Mona będzie musiała przede wszystkim nauczyć się akceptować swoją chorobę. Kiedy poszczególne tożsamości zintegrują się ze sobą, ich wysuwanie się na pierwszy plan stanie się coraz radsze. Najprawdopodobniej jednak całkowite wyleczenie nie jest możliwe. Nie ma to żadnego lekarstwa. Przykro mi. Czy chce pan to zobaczyć? Wiem, że trudno to pojąć, może gdy pan to zobaczy, zrozumie.

- Ale jak? Czy można wywołać którąś z osobowości?

- Spróbuję. Najlepiej będzie, gdy wyjdzie Nauczycielka - osobowość „zarządzająca” innymi. Tylko ona wie o pozostałych, tylko ona wie, kiedy się pojawiały, jak mają na imię, ile mają lat. Nauczycielka to suma wszystkich osobowości, wie które, kiedy i dlaczego się pojawiły, może je wywoływać. Proszę jutro przyjść do Mony, zobaczę, co da się zrobić.

- Panie doktorze, czy jej pobyt w szpitalu jest konieczny?

- Nie. Pojutrze wypiszemy pańską narzeczoną. Może wrócić do pracy, ona już wie, co jej dolega. Wie także, jakie symptomy wskazują na zmianę

osobowości. Jedyne, co jej może pomóc, to psychoterapia. Muszę poskładać je wszystkie w całość. Myślę, że nasza rozmowa teraz powinna się zakończyć, polecam lekturę tych dokumentów - powiedział doktor i wstał, wręczając mi na pożegnanie plik kartek. - Wybrałem dla pana to, co najważniejsze. Proszę przeczytać spokojnie, a jutro spotkamy się tutaj o tej samej porze.

Wróciłem do domu, nie - nie do domu, bo dom tworzą ludzie, a ja wróciłem do czterech zimnych ścian, przygotowałem sobie mocnego drinka i zasiadłem do czytania.

Wieloletnie badania nad osobowością mnogą pokazują, że u wszystkich chorych występuje postać pierwotna (wrodzona) i gospodarza, która ujawnia się przez większość czasu, zaś u ponad 85% pojawiają się również osobowości dziecięce, ochraniające, a także postać prześladowcy. Przez większość czasu alternatywna osobowość jest nieaktywna, może ujawnić się ona jednak pod wpływem kolejnych urazów.

Jedną z alternatywnych osobowości jest zazwyczaj postać dziecięca, wynikająca z okresu pojawienia się pierwszych urazów. Natomiast osobowość prześladowcy odtwarza doznawane urazy, co prowadzi do licznych samookaleczeń bądź prób samobójczych. Jest on wrogo i agresywnie nastawiony do ludzi, a przede wszystkim do terapeuty. Okaleczając się, sądzi, że szkodzi komuś

innemu, a nie sobie samemu. W przeciwieństwie do niego działa postać ochraniająca, która pojawia się w momencie działań autodestrukcyjnych. Reprezentuje ona osoby, które dawały wsparcie w trakcie doświadczania krzywd.

Osobowość mnoga występuje niezwykle rzadko, najczęściej pojawia się u kobiet. Nie jest jednak możliwe wyleczenie tej choroby w całości. Chory poddany jest długiej terapii, która pomaga dotrzeć do głęboko ukrytych, przykrych dla niego wspomnień i je uzdrowić. Jednak istnieje zagrożenie, że pod wpływem kolejnych urazów osoba może powrócić do swojego mechanizmu obronnego i pozwoli uaktywnić się alternatywnym postaciom.

Często osobowość mnoga mylnie utożsamiana jest ze schizofrenią, jednak diametralnie się one od siebie różnią. W przypadku schizofrenii pojawiają się zmiany nastrojów, obniżenie aktywności i halucynacje, ale u chorego nie występuje niepamięć wsteczna, jak to ma miejsce w osobowości wielokrotnej. Jest on świadomy obecności innych postaci, natomiast w rozdwojeniu osobowości chory nie uświadamia sobie innych istniejących postaci. (...)

Jednym z najbardziej kontrowersyjnych przypadków tej choroby jest William Milligan, który dokonał licznych uprowadzeń i gwałtów. U niego odkryto aż dwadzieścia cztery osobowości, niektóre z nich współpracowały ze sobą, inne zaś nie łączyły się z pozostałymi, ale oddziaływały na ich pobudki bądź ujawniały się

w niebezpiecznych momentach. Sprawcą porwań nie był więc Milligan, lecz jego alternatywne osobowości: Ragen porwał ofiary, zaś Arthur odpowiedzialny był za organizację napadów. Natomiast gwałtu dokonywała nieśmiała lesbijka Adalana. Choć adwokatom i biegłym trudno było w to uwierzyć, to jednak badania psychiatryczne potwierdziły ich istnienie. Osobowości Milligana bardzo się od siebie różniły. Każda z nich miała inny poziom inteligencji, charakter i przejawiała inne talenty. William (...) przeżył traumatyczne doświadczenia w dzieciństwie, jako dziecko był maltretowany przez ojczyma. Jest on pierwszą osobą w historii Stanów Zjednoczonych, która została uniewinniona z powodu wielorakiej osobowości¹⁷.

Kolejny drink, jeszcze mocniejszy. Krew krążyła szybko, mieszając się z alkoholem, ale umysł miałem jasny.

Dysocjacyjne zaburzenie tożsamości (nazywane dawniej osobowością wieloraką), to wzorzec, który stanowi odpowiedź na rozpoznawalne czynniki stresowe. Pacjent manifestuje przynajmniej dwa - mniej lub bardziej kompletne - systemy tożsamości. Systemy te są dobrze rozwinięte, charakteryzują się różnymi procesami

¹⁷<https://urodaizdrowie.pl/>
rozdwojenie-jazni-najbardziej-skrajne-przypadki

emocjonalnymi i poznawczymi, składającymi się na jedną osobowość, która posiada stosunkowo stałą charakterystykę (wiele odmiennych tożsamości jest raczej fragmentarycznych). Przejście od jednej tożsamości do drugiej może następować w okresach od kilku minut do kilku lat, częściej jednak zdarza się to w krótszych odstępach czasu. Pierwotna osobowość jest zwykle osobowością gospodarza. Pozostałe są najczęściej uderzająco odmienne od pierwotnej oraz od siebie nawzajem (np. jedna może być beztrojska, inna z kolei spokojna i poważna). Potrzeby i zachowania, które są tłumione w osobowości gospodarza, zazwyczaj są swobodnie przejawiane w pozostałych tożsamościach. Termin diagnostyczny „osobowość wieloraka” jest mylący. Sugeruje on, że zróżnicowane, w pełni zorganizowane i koherentne „osobowości” zajmują miejsce w ciele ofiary. Odmienne tożsamości jednak nie stanowią w żadnym sensie oddzielnych osobowości. Są to fałszywe, fragmentaryczne części jednej osoby, które służą jako narzędzia kontroli niemożliwych do rozwiązania problemów psychologicznych. Istotne jest więc zrozumienie, iż odmienne tożsamości to nie odrębne osoby. Nie są to nawet osobowości. To fragmentaryczne części, a osoba jest tylko jedna¹⁸.

18 <http://zdrowie.wp.pl/zdrowie/psychologia/art307,osobowosc-mnoga-kilka-tozsamosci-w-jednym-ciele.html>

Nie zmrużyłem oka tej nocy, rano ubrałem się i poszedłem biegać. To zawsze mnie relaksowało. To był wyjątkowo długi trening. Po równie długiej kąpieli, odświeżony i gotowy na wszystko poszedłem na umówione spotkanie.

spojrzał w okno w bardzo mglisty poranek: „o, nie ma świata...”
Maria Duszka

Mitch

Tego, czego świadkiem byłem następnego dnia, nie da się ani racjonalnie wyjaśnić, ani o tym zapomnieć.

Doktor wywołał najpierw Marilyn Monroe -przynajmniej tak się przedstawiła. Jak na Marilyn przystało, była bardzo śmiała, czasami kapryśna i niemiła, całkiem zmanierowana. Rozedrgana, nieobecna, a jednocześnie miała w sobie jakiś magnes, który sprawiał, że nie mogłem od niej oderwać wzroku. Gwiazda. Wydęła usta, mrużyła oczy, bawiła się tlenionymi włosami. Czasem znudzona ziewała ostentacyjnie, kokietowała, aż trudno było uwierzyć, że jej IQ to 168.

W końcu zaczęła opowiadać o innych.

- Najgorsza jest ta mała kurewka, ma trzynaście lat i na imię Marie. Uważa się za boginię seksu, a to ja nią jestem. Jest bardzo wulgarna, a to przecież

dziecko. Struga waźniarę, ale z własnego doświadczenia wiem (bo pewnie słyszałeś, że też byłam molestowana seksualnie), że ktoś zrobił jej wielką krzywdę. Sama czasami opowiada o jakimś tatuśku, ale dzieci, a zwłaszcza takie pannice, mają wybujałą fantazję. Gdy wpada w trans, powtarza bez końca: „Kocham tatusia, kocham tatusia. Czy tatuś jest ze mnie zadowolony?”. Wydaje jej się, że jest niesłychanie seksowną lolitką, a w ogóle nie ma poczucia rytmu. Nie wiem, czy jej wierzyć, ale mówi, że kogoś zastrzeliła. Lubi kolor zielony. Dostaje spazmów, nie mogę jej ogarnąć.

Ja też nie mogłem tego ogarnąć. Tego, co mówiła Marilyn. Co ja pieprzę - gada do mnie Marilyn Monroe, a ja w to wierzę.

Przed oczami stanęły mi sceny z moją Moną - gdy kochaliśmy się, a ona nagle zamieniała się w kurwę, by za chwilę stać się małą dziewczynką. I te słowa: „Czy tatuś jest zadowolony ze swojej córeczki?”.

Marilyn dalej snuła opowieść:

- Jest jeszcze Laura. Ta to dopiero jest wariatka. Postrzelona wdowa, trzykrotna, wyobrażasz sobie? Jej ostatni mąż był matadorem i zginął podczas walki z bykiem. Podobno nachodzili ją mafiosi, żądając zwrotu długów zaciągniętych przez mężusia, o czym ona pojęcia nie miała. Podobnie jak o jego drugim życiu, drugiej żonie i gromadce dzieci. Zginął na arenie. Na otarcie łez kupiła sobie psa i dała mu

na imię Antonio. Chyba z sentymentu. Ale to jej nie wystarczyło - jej kolejny narzeczony też był Antoni, ale związek się skończył, zanim się zaczął, bo szalona Laura, nie wiedząc dlaczego, postanowiła zostać celebrytką i weszła do domu Wielkiej Siostry i już tam została. Tak myślą ci, którzy ją w tamtym czasie poznali, właśnie jako Laurę. A ona jest tutaj. Lubi zniknąć na kilka dni i nawet ja nie wiem, gdzie jest i co robi. Czasem wychodzi, jest dość szalona i niebezpieczna, szybko zawiera znajomości, trzeba jej pilnować, bo znowu wyjdzie za mąż i będzie z tego tylko kłopot. Dość płynnie mówi po hiszpańsku i świetnie zna się na hiszpańskiej kuchni. Na meksykańskiej też. Świetnie tańczy paso doble, flamenco i bolero. Jest w tym prawdziwą mistrzynią.

Najsmutniejsza z nas jest Malutka. Kasia to pięciolatka, strasznie bita przez zwyrodnialca ojca. Tłucze ją tak, że mała nosi po kilka par spodni, żeby tak bardzo nie czuć bólu. Kasia jest z nas najmłodsza. Tak bardzo cierpi. Jest całkiem bezbronna, nie ma na kogo liczyć. Często w nocy się moczy, jest milcząca i ma objawy choroby sieroczej. Ojciec katował ją, pas lub kabel ciął skórę do krwi. Grube rajtuzy, które nosiła pod spodniami, pomagały tylko trochę. Kasia nie chce się nawet bawić, rysować, mówi, że kredki są zbyt głośne. Skrzypią.

Najbardziej ze wszystkich lubię Marcina. Choć jest niebezpieczny, to całkowicie oddany Marie.

Znają się z rodziny zastępczej, w której oboje przebywali. Nie wiem dokładnie, co Marcin robi przez całe dni, ale obawiam się, że coś bardzo złego. Nosi przy sobie nóż i mam wrażenie, że już z niego skorzystał. Marcin ma szesnaście lat, tak mówi, choć wygląda na mniej. Ma wygląd dzieciaka i być może dlatego budzi zaufanie. Jest przebiegły i bardzo inteligentny. Niezwykle cierpliwy, metodyczny i dyskretny. Nosi czapkę bejsbolówkę, tyłem do przodu, co dodaje mu jedynie nieco zadziorności, a nie zmienia wyglądu dzieciaka. Spodnie z krokiem w kolanach i T-shirt to jego codzienny outfit. Często jeździ na deskorolce, dlatego ma ciągle poobijane kolana i łokcie. Jest bardzo szybki. Potrafi też bezszelestnie się poruszać, skrada się jak kot. Kiedy akurat nie jeździ na deskorolce, to czyta. Pod pachą lub w przepastnych kieszeniach spodni lub powyciąganych bluz zawsze ma jakąś książkę.

Ja też uwielbiam czytać. Ludzie mają mnie za głupią blondynkę z dużym tyłkiem, pustą lalę z tlenionymi włosami i wydętymi ustami, a guzik o mnie wiedzą. A ja czytam jak wariatka. Śpię, piję szampana, gram, czytam, czytam, czytam i sama też czasem coś napiszę. Uwielbiam czytać wszystko, absolutnie wszystko. To mnie uspokaja. Lubię się uczyć. A książki to ogromna wiedza. Czasem wymieniamy się z Marcinem książkami. On gustuje bardziej w kryminalistyce: patomorfologia, psychologia dziecięca,

a ja wolę poezję, mam kilkaset książek w swojej biblioteczkę, każdą wolną chwilę spędzam z nosem w książce - w zaciszu swojego domu lub w bibliotece.

- Czy możesz wywołać Marcina? - spytałem, kierowany narastającą ciekawością.

- Nie wiem. On rozmawia tylko z tymi, z którymi chce.

- Może mogłabyś go sprowadzić?

- To nie takie proste. To musi się wydarzyć. Ale myślę, że mogłabym go poprosić, by z tobą porozmawiał.

- Spróbuj - powiedziałem.

Ciało Marilyn zaczęło jakby „cofać się” w siebie. Jej blada twarz stała się jeszcze bledsza, niemal przezroczysta, oczy stały się szklane, wydęte dotąd usta zacisnęły się. Marilyn mówiła coś, nie słyszałem jednak wypowiedzianych jakby do wnętrza słów. Jej oczy wędrowały z boku na bok. Rozejrzała się wokół, jakby właśnie ktoś obudził ją z głębokiego snu. Zawiesiła wzrok na mnie i w jednej chwili z kokietującej mnie gwiazdy zamieniła się w prowokującego nastolatka o twarzy aniołka.

- Widziałeś moją deskorolkę? - zapytał głosem po mutacji. - Nie pamiętam, gdzie ją zostawiłem, a to, cholera, bardzo ważne.

Rozsiadł się arogancko na krześle i nie spuszczał ze mnie wzroku.

- Ty jesteś Marcin? - spytałem, starając się, by mój głos zabrzmiał przyjaźnie.

- To zależy, kto pyta.
- Mam na imię Mitch, jestem narzeczonym Mony.
- Chcesz się ze mną zaprzyjaźnić, a zaczynasz od kłamstwa?
- Od kłamstwa? - Naprawdę się zdziwiłem
- Narzeczonym nie jesteś. Ociągasz się z tymi oświadczeniami. A ona się niecierpliwi.
- Mówiła ci coś o tym?
- Głupi jesteś, nie znasz się. Ona nie wie o moim istnieniu, nie mogła mi niczego powiedzieć. Ale za to ja wiem sporo o niej. Nie wiem, na co czekasz.
- Chciałbym cię o coś spytać
- Pytaj, najwyżej nie odpowiem - powiedział i odchylił się do tyłu. Zaczął kiwać się na fotelu.
- Po co się pojawiłeś? Jaką rolę masz do odegrania?
- Słuchaj, obrażasz mnie. Ja nie odgrywam żadnych ról. Ja mam misję.
- Wybacz, źle się wyraziłem. Przepraszam.
- Nie przepraszaj, mam uraz, to słowo źle na mnie działa. Gdzie jest moja deskorolka?
- Pomogę ci szukać, ale teraz rozmawiajmy. Jaką masz misję?
- Unieszkodliwiam robactwo. Wiesz, wrywam chwasty. Sprawiam, że świat staje się lepszy, piękniejszy.
- Czy robisz coś złego? - Poważnie się zaniepokoiłem
- Złego? Ja czynię wyłącznie dobro.
- Ale czy czyniąc dobro, czynisz zło?

- Nudzisz mnie. I irytujesz. Idę szukać mojej deskorolki.
- Zaczekaj. Powiedz, dlaczego to robisz?
- Nie dla czegoś, a dla kogoś - sprostował.
- A zatem dla kogo?
- Dla Marie.
- Kim jest Marie?
- Tego musisz dowiedzieć się sam.
- Czy mógłbyś ją zawołać?
- Ona nie gada z facetami
- Proszę, to ogromnie ważne.

Mona zamknęła oczy, jej ciało zaczęło drżeć, twarz znowu pobraźla. Poruszała ustami, mówiąc coś do siebie. Nagle otworzyła szeroko oczy i dziewczęcym głosem krzyknęła:

- O mój Boże, myślałam, że nie żyję!

A potem, widząc mnie, zeskoczyła z fotela i jak przestraszone zwierzę wbiła się w kąt pokoju, stając do mnie tyłem.

- Kim jesteś? - spytałem. Odpowiedziało mi ciche szlochanie. Wstałem z zamiarem zbliżenia się do niej, ale jej głos mnie zatrzymał:

- Stój, gdzie stoisz. Nie zbliżaj się, bo ciebie też zabiję. Mimo to postanowiłem powoli do niej podejść. Zbliżyłem się na wyciągnięcie ręki.

- Mam na imię Mitch i jestem narzeczoną Mony - powiedziałem to dzisiaj po raz drugi.

- Chciałbym wiedzieć, kim ty jesteś. Nie bój się, nie skrzywdzę cię.
- On też tak mówił, a każdej nocy przychodził do mojego pokoju.
Miał tyle lat co ty.
- A ty ile masz lat?
- Teraz mam szesnaście. Ale gdy zaczął mnie gwałcić, miałam dwanaście.
- Czy ty jesteś Marie?
Odwróciła się do mnie przodem, mogłem zobaczyć jej twarz. Ogromne oczy zaczęła mrużyć, wyduła usta, zakołysała biodrami i zrobiła krok w moją stronę.
Położyła swoją dłoń na moim policzku i powiedziała głosem wampa:
- Niezły jesteś, dla ciebie mogę mieć na imię tak, jak zechcesz.
Jej dłoń powędrowała w okolice mojego rozporoka. Odsunąłem ją delikatnie.
- Co jest, tatuśku? Nie masz ochoty się zabawić? On zawsze miał.
- On, czyli kto?
- Nie mogę ci powiedzieć. - Skurczyła się znowu w sobie, zbladła i schowała do kąta. - Nie mogę ci powiedzieć, bo mimo że go zabiłam, to miał wielu kolegów. Boję się ich. Muszę wracać - powiedziała i ukryła twarz w dłoniach.
Kiedy opuściła ręce, spojrzała na mnie ogromnymi dwukolorowymi oczami mojej Mony.

- Co się stało, kochanie? Dlaczego tak mi się przyglądasz? - spytała, rozglądając się po pokoju. Zniknęła Marilyn, zniknął Marcin i poszła sobie też Marie. Wróciła moja Mona.

Nie poznałem wszystkich jej osobowości, ale to, co dziś zobaczyłem, mną wstrząsnęło.

- Czy wciąż jestem w szpitalu?

- Tak, kochanie. Ale jutro zabieram cię do domu -powiedziałem i wsadziłem nos w jej blond grzywkę, zaciągnąłem się mocno jej zapachem i mocno przytuliłem.

*Kochać kogoś, to przede wszystkim pozwalać mu na to,
żeby był, jaki jest.*

William Wharton, *Tato*

Mitch

Następnego dnia zjawiłem się w szpitalu, by zabrać Monę do domu. Kiedy wszedłem do świetlicy, gdzie zazwyczaj spędzała czas, zauważyłem kogoś, kogo w pierwszej chwili wziąłem za nią. Kiedy Mona wstała i odwróciła się, zorientowałem się, że nie jest to ani Mona, ani żadna z osobowości, które dotychczas poznałem. Domyśliłem się, że jest to Nauczycielka.

- Czy ty jesteś Nauczycielką? - spytałem. Skinęła głową.
- Postanowiłam się ujawnić, ponieważ potrzebujesz pomocy. Widzę, że bardzo ci zależy na Monie.
- Nawet nie wiesz, jak bardzo. Ona jest całym moim życiem. Chcę poznać was wszystkich. Już czas poskładać was w całość.
- Nie wiem, czy się uda - odparła smutno.

- Zrobimy wszystko, by tak się stało. A tymczasem, czy zechcesz opowiedzieć mi o pozostałych osobowościach?

- A kogo już znasz?

- Poznałem Marie, Marcina i Marilyn.

- Jest jeszcze malutka Kasia i szalona Laura. Kasia ma pięć lat i jest najmłodsza ze wszystkich. Nie znam innego dziecka, które byłoby tak katowane w dzieciństwie jak ona. Ojciec bił ją, czym popadło - drewnianym kijem, wojskowym pasem, metalowym prętem. Chodziła opuchnięta, obolała, często miała złamane kości. Jej świat to karton i kredki, pięknie malowała, miała wielki talent. Pięciolatka malująca pejzaże, portrety w różnych technikach. Nawet ja nie wiem, skąd to się u niej wzięło. Ale przestała rysować, gdy pewnego dnia skatował ją za to, że kredki skrzypiały. Nigdy więcej nie wzięła do ręki ani kredek, ani farb. Przestała malować, przestała mówić, przestała komunikować się ze światem zewnętrznym. Babcia zaprowadziła ją do lekarza, ale żaden, poza jednym, nie wiedział, co się wydarzyło, że dziecko stało się nieme. Kiedy już babcia straciła nadzieję, ktoś postawił diagnozę - stwierdzono, że Kasia jest dzieckiem autystycznym. Bzdura. Kasia jest całkiem normalna, zdrowa, zamknęła się w sobie ze strachu przed potwornym zwyrodnialcem - jej ojcem.

Laura pojawiła się, by Mona mogła robić to, o czym marzy każda młoda dziewczyna - cieszyć

się życiem. Szaleństwo ma w genach. Nieco mi się wymyka spod kontroli, nie sposób jej upilnować. Laura to poszukiwaczka miłości, pragnie jej całą sobą, każdym milimetrem skóry, i ma odwagę -w przeciwieństwie do Mony - o nią walczyć i szukać jej do upadłego. Fakt, że do tej pory nieszczególnie jej to wychodziło, ale się nie poddaje. Trzech mężów, wszystkich pochowała. Nie żeby się do tego przyczyniła, tak się po prostu złożyło. Gdy Laura wychodzi, wszystko może się zdarzyć - nawet ja nie jestem w stanie jej upilnować. Laura jest sumą marzeń i pragnień Mony - marzeń o życiu pełną piersią. Ciągłe pakuje się w kłopoty, ale zawsze spada na cztery łapy, jak kocica.

- Czy pomożesz mi?

- Przecież właśnie to robię. Chętnie pozwolę ułożyć się w całość, bo, szczerze mówiąc, już mam ich wszystkich dość. Będę współpracować.

Hipnoterapia przynosi bardzo dobre efekty w leczeniu tego schorzenia. Tak powiedział doktor. Kocham Monę i kochać będę wszystkie jej osobowości. Przecież są częścią niej.

*Orzeł z reszką, plecy o plecy Nierozłączni jak światem świat Ja - on,
on -ja*

*Nie podzielisz na dwa, no bo jak, bo jak
Jan Wołek, Rękawiczki*

Mona, Mitch

Usiadła w swoim ulubionym fotelu, Kajtek - nasz czworonożny przyjaciel - szybko wskoczył jej na kolana. Usiadła i milczała. Zналиśmy już diagnozę, każde z nas potrzebowało trochę czasu, by się z tym oswoić, robiliśmy to w milczeniu i każde na swój sposób, ale dzisiaj poczuliśmy, że trzeba porozmawiać. Wbiła we mnie ogromne różnokolorowe oczy i patrzyła.

Odezwałem się pierwszy:

- A mogą być jeszcze większe? - spytałem, łagodnie się uśmiechając.

Mówiłem tak zawsze, gdy patrzyła na mnie tymi swoimi oczami - jedynymi takimi na świecie.

- Nie wiem...

- Nie wiesz, czy mogą?

- Nie wiem, co teraz z nami będzie - powiedziała cicho. - Czy nadal będziemy?

- A co? Wybierasz się gdzieś? Bo ja nie mam zamiaru. Moje miejsce jest przy tobie.

- Ale ja nie jestem... normalna. Zdrowa.

- Wielkie rzeczy, a kto jest? Poza tym, kochanie, jakże mógłbym żyć bez wątroby, nerek, trzustki? Jesteś częścią mnie. Nie można tej miłości podzielić na pół, no bo jak? Pokochałem pisarkę i nic się przecież nie zmieniło. Muszę tylko uważać, żebyś mi za mąż nie wyszła albo kogoś nie ukatrupiła. Aha - i nie wyczyściła nam konta. Poza tym żyjemy normalnie.

Podszedłem i wsadziłem nos w jej grzywkę. To mój fetysz, afrodyzjak. Kajtek wyraził lekkie niezadowolenie - podobnie jak ja, chciał mieć Monę na wyłączność.

Moja koszula zawilgotniała na wysokości jej oczu.

- No, nie płakunij. - Przytuliłem ją. Rozpłakała się mocniej. - Proszę. Nie płaczemy. Spakowana jesteś?

Otarła łzy, pociągnęła nosem i otworzyła szeroko oczy:

- A po co mam się pakować? Wyjeżdżam przecież tylko na jeden dzień, rano, a wieczorem wracam

- Nie o tym mówię, kochanie.

- Aaa. Jeszcze nie. Przecież mamy sporo czasu.

- Ale ten czas szybko płynie. A ja chciałbym, w tym wyjątkowym wypadku, by płynął jeszcze szybciej. Tak bardzo nie mogę się doczekać. - Uśmiechnąłem się i pocałowałem ją w czubek nosa.

- Wyjziemy i zaczniemy wszystko od nowa.
- Moja ty jesteś? - spytałem przekornie
- Twoja, a czyja mam być? - Oczy jej się śmiały.
- Nie pójdziesz sobie? - droczyłem się dalej
- Jeśli ty nie pójdziesz, to ja nigdy. Nie dotrzymała słowa.

Epilog pierwszy

*Wolę jedno życie z tobą niż samotność przez wszystkie ery
tego świata.*

J.R.R. Tolkien, *Władca Pierścieni*

To ty byłaś specjalistką od niespodzianek. Mnie na dźwięk tego słowa stawały włosy na całym ciele. Miałaś głowę pełną pomysłów, najczęściej dobrych, choć nie zawsze. Kochałem tę twoją łepetynę, kocham nadal.

Ale grudniowa niespodzianka miała należeć do mnie. Po raz pierwszy w życiu coś wymyśliłem ja - nie ty. Przeżyłem z tobą tak wiele: lot balonem, taniec w tunelu aerodynamicznym, skok ze spadochronem, kolację w przestworzach. Pomimo lęku wysokości. No i lubię widzieć, co jem.

Wsiadłem też na konia. I siedziałem. Tyłem.

To miał być ostatni wyjazd w tym roku. Kolejne spotkanie autorskie. Ileż to razy wyjeżdżałaś i wracałaś? Drżałem ze strachu o ciebie. Bo byłaś bardzo nieostrożna, nierozważna, łatwowierna.

Obiecałaś mi, że wrócisz. Przecież poznałem was wszystkich i wszystkich kochałem, więc dlaczego to zrobiłaś?

Miało być tak, kochanie: wycieczka do Paryża, oświadczyń pod wieżą Eiffla - nocą, kiedy jest oświetlona, przez dziesięć minut każdej pełnej godziny migają na niej tysiące małych światełek. Podobno widok jest niesamowity.

Brzmi banalnie, ale pamiętam, jak kochałaś *Spóźnionych kochanków* Whartona. Pragnęłaś stanąć na wieży i spoglądać na dachy Paryża, może na kościół Saint-Sulpice, gdzie na wieży kościoła John pochował swoją Mirabelle, gdzie gromadziły się i umierały gołębie. Leżała wśród swych skrzydlatych przyjaciół i minie wiele lat, zanim ktoś ją odnajdzie.

Niczego wcześniej w życiu nie byłem tak pewien jak tego, że chcę mieć ciebie u swego boku już zawsze.

Teraz jestem tu sam. Wieje jak cholera. Za chwilę sięgnę do plecaka i zrobię coś, za co być może mnie aresztują albo nawet zastrzelą, biorąc za terrorystę, ale jest mi wszystko jedno. Skoro nie ma ciebie, to nie ma i mnie. Jeden organizm.

Ale najpierw muzyka. Play. Już. Słyszysz? Na pewno, w końcu niebo blisko. Teraz pióra.

Jesteś tu ze mną, mam cię w plecaku. I z tym plecakiem z tobą w środku jutro lecę do Polinezji Francuskiej, na naszą wyspę.

Wracasz na Mooreę, moja Mooreo. To tylko przystanek przed dalszą podróżą.

Epilog drugi

Dziś wiem, że naprawdę byłaś chora. Opowiedz mi, mamó, o tym, co się wydarzyło, gdy wracałaś. Gdzie i kto ci to zrobił. Dopadniemy go z Mitchem. On szaleje z rozpaczy. Kupił broń. Naprawdę. Ma cel. Nowy cel, bo stracił ciebie.

Przyjdź do mnie, proszę. Jestem tu, czekam. To ty przekonałaś mnie, że mam się nie bać tego „daru”, że powinnam go zaakceptować i pomagać ludziom, którzy nie zdążyli pożegnać się ze swoimi bliskimi za życia.

Potwornie się bałam, ale odważyłam się i zaczęłam pytać. Wtedy strach zniknął. Bo poczułam, że zmarli, którzy do mnie przychodzili po pomoc, nie chcieli mnie skrzywdzić, lecz jedynie pragnęli powiedzieć coś tym, których zostawili w świecie żywych.

Korzystam z narzędzi, o których mi opowiadałaś, ale wtedy jakoś to do mnie nie przemawiało - szczerze mówiąc, miałam cię za lekko szturchniętą. Matka artystka, pisarka, żyje pomiędzy światami, nieistniejącymi ludźmi, z którymi rozmawia.

Teraz ja robię to samo. Rozmawiam z tobą. Z tą różnicą, że ty istniejesz, mamó. Zawsze będziesz.

Postscriptum

Niecodziennym widokiem mogli cieszyć oczy obecni zarówno na wieży Eiffla, jak i pod nią, turyści oraz mieszkańcy Paryża.

Z najwyższego piętra nagle zaczął padać śnieg. Dziwnie padał tylko z jednej strony, płatki tańczyły w powietrzu i nie opadały, lecz wznosiły się ku górze.

Podobnie jak oczy Paryżan. Trwało dobrą chwilę, zanim ktoś zorientował się, że to nie śnieg, lecz ptasie pióra.

Mężczyzna, który je wysypywał z plecaka, śpiewał, słyhać też było muzykę. *Spóźnieni kochankowie.*

Spóźnieni o ćwierć wieku, ale nierozłączni pomimo śmierci.

Widziałam to wszystko z bliska, bo stałam obok niego, mamó.

Ptasie pióra dla pisarki. Złapałaś choć jedno?

KONIEC Lipiec 2017

Posłowie

Drogi Czytelniku,
kiedy pisałam tę książkę, przeprowadziłam dość poważny research - obejrzałam wiele filmów, przeczytałam kilka książek oraz mnóstwo artykułów dotyczących zaburzenia zwanego osobowością wieloraką i nie tylko. Być może coś z poniższej listy zainteresuje i Ciebie.

Filmy:

. Sybil (1976)

Sybil (2007)

Trzy oblicza Ewy (1957)

Nigdy nie rozmawiaj z nieznajomym (1995)

Lęk pierwotny (1996)

Tożsamość (2011)

Inkarnacja (2010)

Fight Club - Podziemny krąg (1999)

Split (2016)

Literatura:

American Psychiatric Association. Diagnostic and statistical manual of mental disorders: Fifth Edition, American Psychiatric Publishing, Washington 2013.

• Majgull Axelsson, *Ta, którą nigdy nie byłam*, tłum. K. Tubylewicz, W.A.B., Warszawa 2012.

• Richard Baer, *Switching Time*, Crown Publishing Group, New York 2007.

Daniel Keyes, *Człowiek o 24 twarzach*, tłum. A. Bartkowicz, Wielka Litera, Warszawa 2015. Christa Maerker, *Marilyn Monroe i Arthur Miller*, tłum. A. i B. Baranowie, Wydawnictwo Literackie, Kraków 2011. Morgan Michelle, *Marilyn Monroe. Za kulisami*, Wydawnictwo Dolnośląskie, Wrocław 2014.

• Marilyn Monroe, *Fragmenty. Wiersze, zapiski intymne*, tłum. A. Kozak, Wydawnictwo Literackie, Kraków 2011.

• Andrew O'Hagan, *Rozważania psa Mafa i jego przyjaciółki Marilyn Monroe*, tłum. S. Studniarz, Świat Książki, Ożarów Mazowiecki 2011.

Robert Oxnam, *11 xja. Moje życie z osobowością mnogą*, tłum. A. Pokojska, Wydawnictwo Znak, Kraków 2008.

• Seligman M.E.P., Walker E.F., Rosenhan D.L., *Psychopatologia*, Zyski S-ka, Poznań 2006.

Alfonso Signorini, *Marilyn. Życ i umrzeć z miłości*, tłum. N. Mętrak-Ruda, Świat Książki, Ożarów Mazowiecki 2015.

- *Światowa Organizacja Zdrowia. Klasyfikacja zaburzeń psychicznych i zaburzeń zachowania w ICD-10. Opisy kliniczne i wskazówki diagnostyczne*, Uniwersyteckie Wydawnictwo Medyczne „Vesalius”, Kraków-Warszawa 2000.

- Wciórka, J. (red.), *Kryteria diagnostyczne według DSM-W-TR*, Elsevier Urban & Partner, Wrocław 2008.

- Cameron West, *Pierwsza osoba liczby mnogiej*, tłum. T. Bieroń, Wydawnictwo Zysk i S-ka, Poznań 2003.

Inne źródła

- <http://blog.krolartur.com/> wiele-ja-czyli-osobowosc-wieloraka/

-

<http://healthytime.pl/art,zaburzenie-dysocjacyjne-tozsamosci-czym-je-st-jak-sie-12.htm>

<http://www.psychiatria.pl/arttykul/rozdwojenie-osobowosci/727>

<http://joemonster.org/art/31005>

<http://www.wiecjestem.us.edu.pl/dysocjacyjne-zaburzenie-tozsamosci>

<https://www.youtube.com/watch?v=o71x-fczfXY>
<https://www.youtube.com/watch?v=naiCtjU40Tg>
<https://www.youtube.com/watch?v=HdrdlQYKdzM>
<http://film.onet.pl/artykuly-i-wywiady/ostatni-wywiad-z-marilyn-monroe/lyqfO>
<http://www.psychologia.net.pl/artykul.php?level=758>
<http://centrumerlass.webnode.com/osobowo%C5%9B%C4%87-wieloraka/>
http://www.intropsych.com/chll_personality/dissociative_identity_disorder.html
<http://tuczytam.blogspot.com/2011/12/osobowosc-wieloraka-w-literaturze-i.html>
http://www.poradnikzdrowie.pl/psychologia/choroby-psychiczne/osobowosc-wieloraka-rozdwojenie-jazni-przyczyny-objawy-i-leczenie_36603.html
<https://www.tygodnikprzeglad.pl/my-psychiczni/>
<http://www.edujrinne2.republika.pl/Art2.htm>
<https://zenforest.wordpress.com/2008/11/23/podswiadomosc-swiadomosc-i-nadswiadomosc-wg-huny/>
<http://www.psychologia.net.pl/slownik.php?level=114>

[http://www.portal.spirytyzm.pl/
medium/?print=print](http://www.portal.spirytyzm.pl/medium/?print=print)

[http://szkolaaniolow.pl/portal/articles/
nowa-swiadomosc/77-zyjac-w-swietle](http://szkolaaniolow.pl/portal/articles/nowa-swiadomosc/77-zyjac-w-swietle)

Osobowość wieloraka - wszystko, co chcesz wiedzieć o tym schorzeniu

Artykuł zaczerpnięty ze strony:

<http://www.wiecjestem.us.edu.pl/>

dysocjacyjne-zaburzenie-tozsamosci.

Zaburzenie, o którym poniżej mowa, zostało w pewien sposób spopularyzowane przez amerykański serial *United States of Tara* (w Polsce znany szerzej pod nazwą *Wszystkie wcielenia Tary*). Główna bohaterka cierpi na zaburzenie dysocjacyjne tożsamości, co przejawia się tym, że pod wpływem stresu lub silnych emocji zmienia się u niej osobowość. Tytułowa Tara wytworzyła kilka całkowicie odmiennych charakterów. Co więcej, nie pamięta, co się z nią działo, gdy dane wcielenie przejmowało kontrolę, co prowadziło często do różnych komediowych sytuacji.

Życie to nie serial

Rzeczywistość osób z tym zaburzeniem nie jest jednak tak kolorowa jak w serialu. Dysocjacyjne

zaburzenie tożsamości lub inna nazwa: osobowość wieloraka) wchodzi w szerokie spektrum zaburzeń dysocjacyjnych. Ich wspólną cechą jest częściowa lub całkowita utrata prawidłowej integracji między wspomnieniami, poczuciem tożsamości lub kontrolą dowolnych ruchów ciała. Wspomnienia, wrażenia lub ruchy kończyn mogą być w odpowiednim momencie „włączane i wyłączane”, tak by znajdowały się w polu uwagi. Przyjmuje się, że w zaburzeniach dysocjacyjnych zdolność do świadomej i wybiórczej kontroli jest ograniczona, a ograniczenie to może zmieniać się w nieprzewidywalny sposób (z dnia na dzień lub z godziny na godzinę). Zaburzenia dysocjacyjne badacze uważają za psychogenne, związane z urazowymi wydarzeniami, traumami, nierozwiązywalnymi i trudnymi do zniesienia problemami lub zaburzonymi relacjami interpersonalnymi.

Charakterystyka

W przypadku osobowości wielorakiej istotne jest pojawienie się u jednej osoby dwóch lub więcej odrębnych osobowości, lecz w danej chwili ujawnia się tylko jedna z nich. Co ciekawe, każda z tych tożsamości jest pełna, czyli posiada własne wspomnienia, zachowania, wzory spostrzegania, nawiązywania relacji, myślenia o toczeniu i sobie oraz swoje preferencje właściwe tylko dla niej. Zmiany wydają się być

głębsze, nawet na poziomie biologicznym, ponieważ zaobserwowano, że nowe postaci różnią się ciśnieniem krwi, ostrością wzroku, alergiami czy zdrowiem psychicznym (z reguły tożsamość dominująca jest najzdrowsza). Zdarza się, że charakter powstałej tożsamości wyraźnie kontrastuje z osobowością przed chorobą. W dosyć pospolitej odmianie osobowości podwójnej dominuje przeważnie tylko jedna osobowość, jednak żadna z nich nie ma dostępu do wspomnień drugiej i prawie zawsze jedna nie uświadamia sobie obecności drugiej. W czasie zbierania wywiadów od osób cierpiących na to zaburzenie pojawiała się prawidłowość, według której pierwsze przejście od jednej osobowości do drugiej jest zazwyczaj nagłe i ściśle związane z urazowymi wydarzeniami. Podejrzewa się, że te fragmentaryczne części jednej osoby służą jako narzędzia kontroli trudnych do rozwiązania problemów psychologicznych. Później wytworzone tożsamości w nawracający sposób przejmują kontrolę nad zachowaniem danej osoby i ich pojawienie ogranicza się do wydarzeń urazowych, stresowych, bądź też występują w czasie sesji z terapeutą obejmujących relaksację, hipnozę albo odreagowanie. Uważa się, że dysocjacyjne zaburzenie tożsamości rzadko zanika spontanicznie. Generalnie prognozy na wyzdrowienie są niskie, a terapie żmudne i zniechęcające. Schorzenie to powiązane jest z przytłaczającymi doświadczeniami,

przeżytych traumami lub wykorzystywaniem w dzieciństwie. Dlatego też terapie mogą przybierać różne kierunki. Trzeba dodać, że wśród praktyków nie ma zgody na jedną, właściwą terapię. Najczęściej stosowanym podejściem jest eklektyczny wybór takich metod psychoterapeutycznych jak techniki poznawczo-behawioralne, zorientowane na wgląd, terapie z udziałem hipnozy. Farmaceutyki są stosowane w przypadkach, gdy wraz z osobowością mnogą współwystępują inne objawy. Model psychoterapii zaburzeń dysocjacyjnych koncentruje się na zapobieganiu dalszej fragmentacji tożsamości, przepracowaniu konfliktu, pracy w zakresie kompensacji pseudoprzystosowawczych strategii dysocjacyjnych i integracji osobowości. Leczeniu nie pomaga fakt, że wiele przypadków osobowości mnogiej jest najzwyczajniej w świecie symulowanych. Corbette Thigpen i Hervey Cleckley, autorzy książki *Trzy oblicza Ewy*, uważają, że ta diagnoza pojawia się zbyt często. Badacze ci twierdzą, że w czasie swojej praktyki spotkali się z setkami przypadków, które według innych psychiatrów miały być klasycznymi przykładami na dysocjacyjne zaburzenie osobowości. Jak się okazało, te rzekome schorzenia były często wytworem osób poszukujących uwagi, próbujących zrzucić z siebie odpowiedzialność za popełnione przestępstwa, albo które poszukiwały dramatycznej zmiany w swoim niesatysfakcjonującym życiu.

Na temat występowania tego zaburzenia istnieje mało danych. Międzynarodowe Stowarzyszenie nad Badaniem Traumatyzacji i Dysocjacji podaje, że problem występuje u 1-3% populacji. To zaburzenie dysocjacyjne jest diagnozowane częściej w Ameryce Północnej niż w innych częściach świata, i pojawia się 3 do 9 razy częściej u kobiet niż u mężczyzn.

Stereotypy

Za wiele nieporozumień dotyczących zaburzenia osobowości mnogiej odpowiedzialne są media. Obrazy filmowe, czasopisma i książki często zakrzywiają rzeczywistość w taki sposób, aby udramatyzować zachowanie osób z tym zaburzeniem.

Mit: Przechodzenie z jednej tożsamości do drugiej jest oczywiste.

Rzeczywistość: Takie zmiany jak styl ubierania się, odmienny styl mówienia i nawyki są przekolorowane, aby widz wiedział, że zmiana nastąpiła. Jednak w prawdziwym życiu zmiany te nie są aż tak widoczne.

Mit: Codzienne funkcjonowanie osób z tym zaburzeniem jest bardzo zaburzone.

Rzeczywistość: Ludzie ze zdiagnozowanym dysocjacyjnym zaburzeniem osobowości są generalnie

normalni i mogą pracować i efektywnie poruszać się w społeczeństwie, ale muszą się dobrze kontrolować. Dlatego nie ma potrzeby zamykania tych osób w ośrodkach zamkniętych. W czasie terapii uczą się oni, jak balansować i zmniejszać wpływ innych tożsamości na swoje życie. Można funkcjonować normalnie, jeśli przyjmuje się odpowiednie leki, które pomagają radzić sobie z silnymi emocjami. Ogólnie nie ma dowodów na to, że ludzie z osobowością mnogą są bardziej gwałtowni i niebezpieczni niż inne osoby z jakimikolwiek zaburzeniami psychicznymi.

Mit: Ludzie z osobowością mnogą nie wiedzą nic o innych tożsamościach.

Rzeczywistość: Prawdą jest, że wielu ludzi latami żyje bez świadomości istnienia innych tożsamości. Jednak wraz z diagnozą i terapią uczą się oni zauważania zmian w swoim zachowaniu i przykładowo praktykowania wewnętrznej komunikacji.

Mit: Dysocjacyjne zaburzenie osobowości i schizofrenia to to samo.

Rzeczywistość: Pomimo że oba te schorzenia współdzielą te same objawy, to są to odrębne jednostki chorobowe. Schizofrenicy, w przeciwieństwie do ludzi z osobowością mnogą, nie posiadają innych tożsamości. Mają za to trudności w rozróżnianiu prawdy

od fikcji. Złudzenia często występują w schizofrenii, ale nie w dysocjacyjnym zaburzeniu osobowości.

Problem wykorzystywania seksualnego nieletnich

Artykuł zaczerpnięty ze strony: <https://kobieta.onet.pl/dziecko/starsze-dziecko/dramat-w-czterech-scianach-jak-rozpoznać-molestowanie/53qjq>.

Seksualne krzywdzenie dziecka wiąże się z wieloma symptomami, wiele z nich ma charakter na tyle dyskretny i niespecyficzny, że mogą zostać niezauważone przez otoczenie lub też przypisane zupełnie innym przyczynom. W niektórych przypadkach prawda może nam się wydawać tak niepokojąca, że będziemy bagatelizować zaobserwowane symptomy.

Do fizycznych objawów, które powinny wzbudzić nasz niepokój, należą:

nieokreślone skargi i dolegliwości somatyczne, skargi na bóle lub świąd w okolicy narządów płciowych, odbytu, ból krzyża, w dole brzucha,

- dyskomfort w czasie chodzenia i siedzenia,
- objawy urazów i uszkodzeń w okolicy ust,

zasinienie, obrzęk, otarcia naskórka w okolicy narządów płciowych i na wewnętrznej powierzchni ud,
zaburzenia w oddawaniu moczu.

Reakcja behawioralna na ten typ przemocy może być bardzo różna i zależeć od wielu czynników, takich jak: sposób działania sprawcy i jego relacje z dzieckiem, wiek dziecka, stopień dojrzałości, funkcjonowanie rodziny itp. Zmiany nastroju i zachowania dziecka powinny zawsze obudzić naszą czujność. Należy jednak zauważyć, że mogą one świadczyć o zupełnie innym rodzaju problemów.

Symptomy behawioralne, które mogą wskazywać na to, że dziecko stało się ofiarą przemocy seksualnej to:

niska samoocena,
zmiany w sposobie jedzenia,
• nieuzasadnione nowe lęki, zaburzenia snu,
• zmiana cech osobowości (wrogość, agresja, nadmierna uległość),
depresja,
wycofanie się z kontaktów społecznych, złe relacje z rówieśnikami,
poziom wiedzy o seksie wyszukany, nieadekwatny do wieku.

Oczywiście nie wszystkie z wymienionych symptomów są dostępne obserwacji nauczyciela. Większą szansę dostrzeżenia fizycznych śladów krzywdzenia ma pediatra zajmujący się dzieckiem, nauczyciel ma za to okazję obserwowania zmian w zachowaniu. Do najczęściej występujących objawów należą: nadpobudliwość i zaburzenia koncentracji uwagi, a także uogólniony lęk i nadmierny niepokój w kontakcie z dorosłymi.

Szczególnym znakiem, mogącym sugerować występowanie tego typu przemocy, są nieadekwatne do wieku dziecka zainteresowania i wiedza na temat życia seksualnego. Zainteresowanie sprawami płci nie jest niczym niezwykłym u dzieci w wieku przedszkolnym, jednak szczególne skoncentrowanie na tej tematyce może nasuwać przypuszczenie, że dzieje się coś niepokojącego. Tego rodzaju objawy można dostrzec w zabawach i rysunkach dzieci, a także podczas interakcji z rówieśnikami. Wiedza dziecka nie musi wiązać się oczywiście z fizycznym molestowaniem. Należy jednak pamiętać, że przestępstwem jest także narażanie dziecka na oglądanie scen pornograficznych - to również forma przemocy seksualnej.

Często rodzice dokonujący tego rodzaju przestępstw prezentują charakterystyczny repertuar zachowań. W relacji rodzic-dziecko zwraca uwagę:

- uporczywe przytulanie, dotykanie, całowanie, łaskotanie dziecka, siłowanie się z nim, obejmowanie go, nawet jeśli dziecko stawia opór,
- nadmierne zainteresowanie rozwojem płciowym dziecka,
- przebywanie z dzieckiem sam na sam, także w sytuacjach związanych np. z dbałością o higienę, gdy nie ma to wystarczającego uzasadnienia np. wiekiem, niesamodzielnnością dziecka.

Sprawcy przemocy seksualnej

Problem przyczyn zjawiska seksualnego krzywdzenia dzieci jest złożony i jego szczegółowa analiza przekracza ramy niniejszego artykułu. Poniżej postaram się jedynie krótko przybliżyć podstawowe fakty dotyczące rozwoju relacji kazirodczej w rodzinie. Oczywiście osobną kwestią jest krzywdzenie dziecka przez niespokrewnionego sprawcę. Badacze zajmujący się tym właśnie podejściem wyróżniają dwa podstawowe typy sprawców: sprawca psychopatyczny oraz sprawca regresywny. Typ psychopatyczny to osoba niedojrzała w zakresie rozwoju seksualnego, poszukująca potwierdzenia swoich nieograniczonych możliwości, nie przejawia empatii, nie odczuwa lęku. Dziecko nie jest dla tego typu sprawców preferowanym obiektem seksualnym, ale pełni rolę obiektu zastępczego, pozwalającego

w łatwy sposób wyładować agresję i okazać dominację. Kontakt z nim jest zwykle związany z przemocą fizyczną. Drugi z wymienionych typów cechuje lęk przed dojrzałą partnerką, dziecko staje się więc obiektem preferowanym. Sprawcy ci zwykle wybierają młodsze dzieci, a ich działania zazwyczaj nie wiążą się z kontaktem fizycznym i nie mają cech fizycznej przemocy.

W potocznej opinii sprawcami seksualnego krzywdzenia dzieci są jedynie mężczyźni. Z badań wynika, że około 5% dziewczynek i 20% chłopców, którzy byli ofiarami wykorzystania seksualnego, zostali skrzywdzeni przez kobiety. W przypadku kobiet działania te są zwykle mniej agresywne, ponadto mają częściej epizodyczny charakter, a sprawczynię i ofiarę dzieli mniejsza różnica wieku, niż ma to miejsce w przypadku mężczyzn. Badacze zajmujący się tym problemem wykazali, że rozwój tych zachowań przebiega wg pewnego schematu. U podłoża zjawiska leży zaburzenie rozwojowe sprawcy, mające podłoże w rodzinie generacyjnej. Nieudane próby stworzenia dojrzałego związku powodują poszukiwanie obiektów zastępczych; obiektem tym staje się dziecko. Istnieje wiele koncepcji próbujących wyjaśnić mechanizmy powstawania zjawiska kazirodztwa. Wydaje się, że zjawisko to najpełniej udaje się wyjaśnić, odwołując się do ujęć systemowych, czyli tych uwzględniających cały system

rodzinny. Koncepcje te zakładają, że w powstaniu oraz utrzymaniu kazirodzkiej relacji mają znaczenie zarówno indywidualne deficyty osobowościowe czy rozwojowe rodziców, jak również specyfika funkcjonowania całego systemu rodzinnego.

Praca terapeutyczna z ofiarą krzywdzenia seksualnego

Seksualne krzywdzenie w dzieciństwie może pozostawić trwałe ślady rzutujące na dalszy rozwój. W wywiadach wielu dorosłych osób korzystających z pomocy psychologicznej czasami pojawiają się motywy takich właśnie doświadczeń w dzieciństwie. Samo przerwanie urazowego doświadczenia nie wystarcza - dziecko, a często także cała rodzina, powinno zostać objęte opieką psychologiczną. W przypadku terapii doświadczeń urazowych u dzieci najczęściej stosowane jest podejście poznawczo-behawioralne, a jej formy są dostosowane do wieku dziecka, a także rodzaju przebytego urazu. W początkowej fazie kontaktu terapeutycznego dokonywana jest diagnoza, mająca określić rozmiary i charakter urazu, a także aktualny poziom funkcjonowania dziecka. Doświadczenie przemocy seksualnej często przekracza możliwości adaptacyjne dziecka, stąd w wielu przypadkach reakcją na to ekstremalne doznanie może być rozwinięcie się zespołu stresu pourazowego.

Celem terapii jest zazwyczaj umożliwienie dziecku odreagowania przykrych emocji i odzyskanie poczucia bezpieczeństwa, pozbycie się poczucia winy związanego z wydarzeniami. Zależnie od możliwości rozwojowych dziecka, stosuje się metody oparte na rozmowie, techniki pracy z lękiem, metody relaksacyjne, trening asertywności oraz korygowanie błędnych przekonań.

Cytaty z książek Moniki Sawickiej

Oczy mu zszarzały i straciły dawny blask. Zupełnie tak jak moje...

Serwantka

Coś mnie kłuje w okolicy serca i jak na złość nie chce przestać. Taka już nasza kobieca natura, że rozsypujemy się na drobne kawałeczki.

Serwantka

Są w naszym życiu sprawy, o których trzeba mówić szeptem. Nie ze wstydu, lecz z szacunku do sprawy tak ważne, że nie można ich przemilczeć, ale każde zbyt głośno wypowiedziane słowo sprawia nieopisany ból.

Szeptem

Nigdy nie przechowuj niczego na specjalne okazje, każdy dzień twojego życia jest specjalną okazją.

Siedem kolorów tęczy

A idź w cholerę. Tylko wróć zaraz...

Serwantka

Jest mnóstwo ludzi na świecie, którzy powiedzą Ci, że nie możesz, a Ty musisz po prostu odwrócić się i powiedzieć: NO TO POPATRZ

Szeptem

Uniosłam się lekko na łokciach, wspięłam na palce i zaczęłam wychodzić z dna mojej rozpacz.

Siedem kolorów tęczy

Chcę widzieć świat w kolorach tęczy. Czy możesz go dla mnie nimi pomalować?

Siedem kolorów tęczy

Właśnie postanowiłam, że już więcej nie pozwolę Ci podejść do mnie zbyt blisko z obawy przed tym, że któregoś dnia znowu naznaczysz mnie sobą i zostaniesz, jak tatuaż, jak wylew podskórny, którego nie da się usunąć, zlikwidować.

Siedem kolorów tęczy

Myślała o Nim. On. Ten, którego nie miała prawa pokochać i który nie miał prawa pokochać jej.

Szeptem

Pamiętaj... jeszcze będzie pięknie.

Szeptem

Z czasem zrozumiałam, że nie ma gorszej rzeczy niż rezygnacja z siebie, obojętność, zgoda na trwanie. Zadałam sobie pytanie: CHCĘ ŻYĆ, CZY CHCĘ TRWAĆ? Chciałam ŻYĆ.

Dobrze, że jesteś

Poczucie bezpieczeństwa i poczucie, że jest się kochanym - ona nigdy tego nie miała. Od zawsze próbowała się pod kogoś podczepić, zasłużyć na wszystko. Nie było w niej przekonania, że po prostu warto ją kochać, bo jest fajną, wartościową dziewczyną, dobrym człowiekiem, uważała natomiast, że na każdy uśmiech, gest akceptacji, ciepłe słowo musi zapracować.

Dobrze, że jesteś

To, czym jesteśmy, jest odbiciem ludzi, którzy nas otaczają, życia, jakim żyliśmy i tego, czym nie chcieliśmy się stać. Czasem raniemy ludzi tylko dlatego, że nie chcieliśmy ich zranić. Czasem boimy się samych siebie, czujemy się jak potwory.

Dobrze, że jesteś

Tak bardzo przyzwyczailiśmy się do bycia silnymi, że nie chcemy dopuścić do nas nikogo, chociażby dlatego, żeby go nie zranić.

Dobrze, że jesteś

Nagle uświadomiłam sobie, że sama zamykam się w klatce i mówię:
chcę wolności!

Dobrze, że jesteś

Ale dziś już wiem, że strach przed cierpieniem jest gorszy od samego
cierpienia.

Siedem kolorów tęczy

Ktoś ma pomysł na nas i go realizuje, a my, naiwni jak dzieci,
myślimy, że sami to wymyśliliśmy, lub że po prostu samo się stało.
Wierzę, że przyszło do nas wysłane jak czekoladowy telegram.
Mogliśmy nie przyjąć i nigdy nie poznać smaku pralinek - smaku,
dotyku i zapachu drugiego człowieka.

Czekoladki w formę ulane to dwa serca skrojone na miarę.

Dobrze, że jesteś

To Ty? -To Ty.

- Odeszłaś...

- Odszedłeś...

- Musiałem, bo cię pokochałem.

Dobrze, że jesteś

Życie ma smak dopiero wtedy, gdy boli. Człowiek, by był silny, musi
poczuć krew, pot i łzy.

Dobrze, że jesteś

Bóg poprowadził mnie akurat taką ścieżką, dał posmakować wielu potraw - tych słodkich i tych gorzkich. Mogłam poznać wiele zapachów.

Dobrze, że jesteś

Nie umiałam prosić o pomoc. Aż do wtedy.

Dobrze, że jesteś

Przez wiele lat miałam wrażenie, że żyję „na smyczy własnych uczuć”.

Dobrze, że jesteś

Podświadomość to przyjaciel, ale każdy ma prawo się mylić, zwłaszcza jeśli nigdy nie poznał prawdy.

Dobrze, że jesteś

Bądź trochę mniej niż ty, którą znasz, i zrób trochę miejsca na taką siebie, którą możesz być.

Serwantka

Serce mi się ścisnęło, jak go zobaczyłam. Głupie to serce jakieś, czy co?

Serwantka

Jednak czas nie zawsze goi rany; często z powrotem je otwiera.

Siedem kolorów tęczy

Zamknęłam się w sobie, w świecie bez uśmiechu i kolorów, w świecie, który przestał pachnieć mel-zupą i naftaliną, w głuchoniemym świecie wielkości mojej głowy. Bo czasami i ciało już się nie mieściło.

Dobrze, że jesteś

Pamiętaj też o SŁOWACH. Każde twoje słowo to ŻYCZENIE. Wypowiadasz je, a cały Wszechświat natychmiast się do niego dostosowuje. Słowa mają moc. Tyją masz.

Siedem kolorów tęczy

Nigdy tak bardzo nie byłem pewien swoich uczuć, jak wtedy, gdy cię straciłem.

Serwantka

Widzisz, siedzę i płaczę razem z tobą. Ja to znam. Bo jestem i tobą, i nim jednocześnie. Gdy jestem nim, wiem, że nie chodzi o drugą kobietę. Przynajmniej nie musi. Wydaje mi się, że on, jak każdy człowiek, potrzebuje akceptacji. Dowartościowania jako mężczyzna, w dodatku ambitny - czuje się przy tobie po prostu gorszy...

Mimo wszystko

Związek dwojga ludzi to wielka odpowiedzialność. Nie tylko za siebie i za tę drugą osobę, ale za wszystko to, co się zdarzy lub nie. Nie można też zatrzymać rzeki, bo i tak popłynie innym, nowym korytem.

Mimo wszystko



Monika
Sawicka

Znajdź
mnie
jeszcze
raz

Chciałam być
kochana tak, jak ty.
Ale jak już dostałam
tę miłość, miłość
tak piękną i wielką,
jak tylko można
sobie wyobrazić,
nie umiałam
jej przyjąć.
Nie wiedziałam,
co z nią zrobić.


Replika